KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ **Nr 11/217** **1965**

• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

M. HŁASKO : **PIĘKNI, DWUDZIESTOLETNI**
W. T. DRYMMER : **TRUST**
R. SOKOŁOWSKI : **TRZY OJCZYZNY**
J. MIEROSZEWSKI : **KOŃ PRZED WOZEM**

SPIS RZECZY

Marek Hłasko:	*Piękni, dwudziestoletni*	3
Ryszard Sokołowski:	*Trzy ojczyzny*	20
Paweł Sowa:	*Pamiętnik znaleziony w... Bochni (dok.)*	29

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	*Koń przed wozem*	45
Londyńczyk:	*Kronika angielska*	52
S. W. Kozłowski:	*Przegląd niemiecki*	59

TRYBUNA W.A.Z.

W. A. Zbyszewski:	*Współczesna wersja „Mitteleuropy"* ..	62

SPRAWY I TROSKI

(m. l. d.)	*W oczach Londynu*	83
Benedykt Heydenkorn:	*Problematyka słowiańska w Kanadzie*	89

SĄSIEDZI

W. T. Drymmer:	*Trust*	96

KRONIKA KULTURALNA

Magdalena Czajkowska:	*Rozmowa z A. Czerniawskim*	107
—	*Katedra literatury polskiej w Chicago*	111
Stanisław Piekut:	*Listy T. Lenartowicza do oo. Zmartwychwstańców*	115
—	*Komunikaty*	133

KSIĄŻKI

Maria Czapska:	*Best-seller 1900 r. we Francji*	135
Michał Borwicz:	*„Medal" im. Ossietzky'ego*	140
Zygmunt Markiewicz:	*Polscy przyjaciele Szewczenki*	147

◆

Zb. Grabowski, M. Karajewicz, J. Lindnerowa, H. Noch, J. Oberleitner, Prawdziwy komunista, A. Tymiński, Wł. Żeleński, L. Ciołkoszowa:	*Listy do Redakcji*	151

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad - Novembre 1965

INSTYTUT LITERACKI

NOTA BIOGRAFICZNA

Ryszard SOKOŁOWSKI, ur. w Polsce w 1933, studiował polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim; po wypadkach węgierskich wyjechał za granicę i poprosił o azyl we Francji. Studiował na Sorbonie literaturę francuską i polską. Obecnie wykłada na uniwersytecie w Stanach Zjednoczonych.

WPŁATY NA FUNDUSZ "KULTURY"

Nina Sereda, Montreal (Kanada), po raz dziewiętnasty	F. 49,00
Bezimiennie, St. Max (Francja)	F. 30,00
Ryszard Fiks, Chicago, Ill. (USA) po raz siódmy	F. 19,60
Bezimiennie, Chicago, Ill. (USA)	F. 19,60
K. i B. Sigler, Sunshine, Vic (Australia)	F. 50,00
Bezimiennie, Texas (USA)	F. 1146,60
Dr Jan Dobrucki, Calgary, Alta (Kanada)	F. 49,00

DZIĘKUJEMY

Imprimé en France

Piękni, dwudziestoletni

Część I: SZNUROWADEŁKA, PASECZEK, KRAWACIK

W roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym, w lutym, wysiadłem na lotnisku Orly z samolotu który wystartował z Warszawy. Miałem przy sobie osiem dolarów; miałem dwadzieścia cztery lata; byłem autorem wydanego tomu opowiadań oraz dwóch książek których wydać mi nie chciano. Byłem także laureatem Nagrody Wydawców, którą otrzymałem na kilka tygodni przed wyjazdem z Warszawy. I jeszcze jedno: zostałem uznany za człowieka skończonego i stwierdzone zostało ponad wszelką wątpliwość, że niczego już nigdy nie napiszę. Jak powiedziałem, miałem wtedy dwadzieścia cztery lata — ci, którzy pogrzebali mnie szybko z wprawą zawodowych grabarzy, byli ludźmi starszymi ode mnie o lat trzydzieści, lub więcej. Adolf Rudnicki napisał kiedyś, że najmodniejszym kierunkiem w literaturze polskiej, jest miażdżenie i niszczenie. Ten sam Adolf Rudnicki, kiedy wydrukowałem swoje pierwsze opowiadanie, zapytał mnie: „Czy pańscy koledzy mówią już, że pan się skończył?" „Dlaczego?" — zapytałem. „Bo ja — powiedział Rudnicki — kiedy napisałem *Szczury*, moją pierwszą książkę, spotkałem Karola Irzykowskiego i Irzykowski spytał: Czy pańscy koledzy mówią już, że pan się skończył?"

Wysiadając z samolotu na lotnisku Orly myślałem, że najpóźniej za rok będę z powrotem w Warszawie. Dzisiaj wiem, że nie wrócę do Polski już nigdy; pisząc to jednak wiem także, że chciałbym się omylić. Przez wiele lat nie mówiłem po polsku; żona moja jest Niemką; wszyscy moi przyjaciele są Amerykanami lub Szwajcarami i z przerażeniem zauważyłem, że począłem myśleć w obcym języku i tłumaczyć to sobie na polski. Wiem, że to oznacza mój koniec; moi grabarze z Warszawy nie pomylili się. W tym zawodzie człowiek myli się najrzadziej.

Nie mówiłem nigdy nikomu o motywach które skłoniły mnie do pozostania na Zachodzie. Kiedy pytali mnie dziennikarze — odpowiadałem im najgłupiej jak tylko umiałem; wreszcie odczepili się ode mnie. Nie umiałem odpowiedzieć dlaczego opuściłem mój kraj ponieważ nie opuściłem go nigdy. Spróbuję jednak napisać o tym, dlaczego mieszkam w innym kraju a właściwie w innych krajach: mieszkałem już w Anglii, Hiszpanii, w Niemczech, w Szwajcarii, Francji, Austrii, Danii, Izraelu i jeszcze paru innych.

Zacząłem pisać mając lat osiemnaście; winna jest moja matka która dawała mi książki do czytania — tak, że stało się to moim drugim nałogiem. Szkoły nie ukończyłem; częściowo na skutek komplikacji rodzinnych, częściowo na skutek idiotyzmu, stwierdzonego przez nauczycieli. Nie jestem pewien do dzisiaj, czy między fizyką, algebrą, matematyką i chemią zachodzi jakakolwiek różnica i nigdy się tego nie dowiem. Nie wiem, czy czterdzieści dziewięć da się w ogóle podzielić przez jakąkolwiek cyfrę; jeśli to się w ogóle jakimś cudem uda, to na pewno nie mnie. Przez szkołę powszechną przepchałem się tylko dzięki temu, że nauczycielem matematyki był ten sam nauczyciel który uczył języka polskiego. Kiedy w czasie wojny chodziłem do szkół sióstr zakonnych w Warszawie na Tamce panował tam zwyczaj, że najgorszemu uczniowi przyczepiano olbrzymie ośle uszy z papieru; nosiłem je przez cały czas. Po wojnie „jak wybuchła nowa Polska" sytuacja moja polepszyła się nieco; nie potrzebowałem nosić oślich uszu — po prostu stałem sobie w kącie, odwrócony twarzą do ściany. W tych warunkach ciężko nauczyć się czegokolwiek; ale do ósmej klasy dawałem sobie jakoś radę „jadąc" na wypracowaniach z polskiego.

Potem zaczęła się katorga. Ze szkoły ogólnokształcącej wyrzucono mnie za głupotę: była to szkoła numer dwa imienia La Guardii, potem — Marii Konopnickiej. Na wniosek kuratora posłano mnie do poradni — nie jestem pewien czy dobrze zacytuję nazwę — psychotechnicznej, czy coś w tym rodzaju. Kazano mi układać jakieś klocki, kazano mi do jakichś idiotycznych tekstów wpisywać brakujące słowa, zadawano mi szokujące pytania dotyczące moich rodziców i krewnych; wreszcie kazano mi się rozebrać do naga i uznano za niezdolnego do nauki w szkole typu humanistycznego; posłano mnie do szkoły handlowej we Wrocławiu — czy też do Spółdzielczo-Handlowej, wychodząc widocznie z założenia, że idioci niezbędni są w handlu; być może, chodziło tu o dobro kupujących. Nie wiem.

Kariera moja skończyła się po paru lekcjach matematyki. W tym czasie otworzono w Warszawie Szkołę Techniczno-Teatralną; pojechaliśmy razem z moim bratem Józefem — przez trzy miesiące brat mój odrabiał za mnie zadania z matematyki, chemii i algebry, jednak na skutek tak zwanej waśni rodowej przestał; wyrzucono mnie znowu. Była to dobra szkoła; mieściła się w gmachu YMCA w Warszawie i mieliśmy basen. Dyrektorem szkoły był — o ile pamiętam — Żmigrodzki, imponujący brodacz który mógłby grać kapitana statku z opowiadania Conrada „U kresu sił". Tam też poznałem Basię Świdzińską, ślicznego, rubensowskiego aniołka i zapałałem ku niej uczuciem. Bez wzajemności.

Wróciłem do Wrocławia gdzie zacząłem pracować i chodzić jednocześnie do wieczorowej szkoły rzemieślniczej; już nie pamiętam dlaczego mnie wyrzucono. Wtedy zacząłem grać w klubie sportowym jako środkowy napastnik. Nie byłem utalentowanym graczem; ale na boisku odznaczałem się zwierzęcym okrucieństwem. Jak w tym opowiadaniu Capka, przed każdym meczem sekretarz klubu wzywał mnie, mówiąc: Hłasko — jeśli nie skosicie przynajmniej dwóch, zostaniecie usunięci z klubu dyscyplinarnie. W tymże klubie sportowym nauczyłem się również grać w pokera; tamże poznałem Tadka Mazura, który był „bratankiem" jednego z pisarzy nie ulegającego w sposób przesadny wdziękom kobiecym. Tadek sam próbował pisać; przychodziłem czasem do niego i w ten sposób poznałem jego „wuja" — był to pierwszy człowiek piszący którego poznałem osobiście. Tam też poznałem „Kape" — innego kolegę, który był potem naszym lewym napastnikiem i który umiał kopać przeciwnika najpierw w piszczel a padającego już — w twarz. Kape — to strzał prawą lub lewą stroną buta; oczywiście zewnętrzną. Kape potrafił tak kopnąć zawodnika, że sędzia nie mógł tego zauważyć. Był przy tym bardzo grzeczny: zawsze podnosił skopanego i kłaniał się sędziemu. Widziałem potem podobnego gościa: był to bokser wagi lekkiej, Debisz z Łodzi, „Gentleman ringu": potrafił w mgnieniu oka uderzyć jednocześnie poniżej pasa i doprawić łokciem w łuk brwiowy; po czym ze skruszoną miną kłaniał się sędziemu. Wygrywał dziewięćdziesiąt procent walk przez techniczne K. O.

Tadek, Kape i ja chodziliśmy co niedziela do Hali Stulecia we Wrocławiu gdzie odbywały się mecze bokserskie. Nie dysponując jednak funduszami wchodziliśmy przez dach, co nie wykluczało utraty życia. Gospodarzem hali był wówczas sędzia Mikuła — atletyczny grubas który wyrzucał nas kopniakiem; potem jednak polubił nas wszystkich za fanatyzm i wpuszczał nas bez biletów. Naszym ideałem był wtedy Ryszard Waluga — chyba z IKS Wrocław. Był to dobry *fighter* o silnym ciosie i świetnej technice; potem jednak kochaliśmy wszyscy Kasperczaka „Laleczkę", naszego pierwszego powojennego Mistrza Europy. Cho-

dząc na mecze poznałem — z daleka — dwóch innych pisarzy. Jednym był Staś Dygat, siedzący zawsze w pierwszym rzędzie z miną pełną dezaprobaty; a w czasie mistrzostw Polski w roku 1949 ujrzałem „Strasznego Józia" Prutkowskiego. Widziałem wtedy najpiękniejszą walkę mojego życia: Antkiewicz — Bazarnik w piórkowej. Ale ideałem naszym był „Tolek". Żeby zobaczyć walkę „Tolka" z Czechosłowakiem Tormą jechaliśmy we trójkę bez biletów z Wrocławia do Warszawy; bez biletów weszliśmy na salę i bez biletów wróciliśmy do Wrocławia.

My wszyscy: Tadek, Kape i ja, żyliśmy z pokera, grając — jak to się mówiło — na RGO. Po mału jednak interesy zaczęły się psuć: za hazard usunięto nas z klubu; Tadek poszedł do więzienia a ja z Kapem wzięliśmy się za bandytyzm. Pierwszą poważną pracę przeprowadziliśmy w szkole handlowej; o możliwościach tej imprezy poinformował nas inny kolega klubowy „Kaczor". Kaczor wybił, niby to niechcący, okno w szatni szkolnej wychodzące na sąsiednią ulicę. Następnego dnia Kape czekał już tam a ja wziąwszy teczkę wszedłem z innymi uczniami do szatni i ukryłem się za paltami. Byłem wtedy chłopcem małym o szczerym spojrzeniu Słowianina który kłamie. Lekcja się zaczęła; woźny szkolny zamknął szatnię na klucz a wtedy ja wybierałem co celniejsze sztuki z garderoby i podawałem je Kapemu; potem wyszedłem sam przez okno i już po godzinie sprzedaliśmy wszystko na Placu Biskupa Nankiera gdzie mieścił się czarny rynek. Dowiedzieliśmy się pewnego dnia, że w drugim ogólnokształcącym gimnazjum przy ulicy Stalina, odbędzie się zabawa szkolna i że przyjdzie tam porucznik UB, który kochał się w jednej z uczenic. Wierzyliśmy głęboko, że porucznik zostawi pistolet w szatni, a ja już tam byłem. Broń przydała nam się parę razy; potem jednak Kape upił się, zgubił pistolet i rozwiązaliśmy spółkę.

Skończyłem wtedy szesnaście lat i ustawowo, jako nie uczący się, musiałem zacząć pracować. Pracowałem jako pomocnik szofera w PPB; potem w firmie PAGED, w bazie Bystrzyca Kłodzka. Napisałem o tym książkę; w wiele lat później, Krzysztof Teoplitz, w swym artykule „Święci Młodziankowie" napisał, że jest to opowieść o ludziach jak to sobie wyobraża mały Mareczek. Pytano mnie wielokrotnie, czy rzeczywiście było tam tak, jak o tym napisałem. Nie, nie było tak. Było o wiele gorzej: wstawaliśmy rano o czwartej a o dziesiątej wieczór kończyliśmy rozładunek na stacji; potem jechało się jeszcze czterdzieści kilometrów do domu co przy samochodzie typu GMC z przyczepą, po górskich drogach, zabierało około dwóch godzin. Potem jeszcze gotowaliśmy sobie jeść, a potem dopiero kładliśmy się spać. Niedziel i świąt nie było; pod koniec miesiąca kierownik Bazy

w Bystrzycy Kłodzkiej oświadczał nam, że wyrobiliśmy około czterdziestu, czasami około czterdziestu pięciu procent normy. Pracowałem tam stosunkowo niedługo; odszedłem, gdyż groziło mi więzienie za sabotaż gospodarczy. W tym czasie widziałem dwa wypadki śmiertelne i jeden wypadek złamania kręgosłupa; zresztą ten też zdaje się umarł już w szpitalu, gdyż nie byliśmy w stanie odtransportować go natychmiast; nasze samochody przystosowane były do przewozu kłonic więc nie można go było położyć. Zarabiałem wtedy około siedmiuset złotych miesięcznie. Tak więc, DUŻY KRZYSIU, miałeś rację. Nie było to zupełnie tak, jak o tym napisałem.

Tadeusz Konwicki powiedział mi: to nie jest książka, to jest *Western*. Miał rację. Nigdy nie mogłem zrozumieć na czym polega nieszczęście literatury polskiej. Logicznie rzecz biorąc, mało który naród ma tak wiele szans na dobrą literaturę jak my, Polacy. Mamy wszystko: nieszczęścia, mordy polityczne, wieczną okupację, donosicielstwo, nędzę, rozpacz, pijaństwo — czegóż jeszcze trzeba, na Boga? Żyjąc w Izraelu mieszkałem z najgorszymi szumowinami i prostytutkami. Byłem przez długi czas sutenerem. Nigdy jednak nie spotkałem ludzi tak zrozpaczonych, zwierzęcych i nieszczęśliwych jak w Polsce. Genezą *Western*'u jest obsesja sprawiedliwości: samotny człowiek który musi niszczyć zło i przemoc. To nieważne że robi się tysiące szmir, ale Jesse James, Earp i inni szybkoręcy są postaciami prawdziwymi. Taką postacią mógłby być komunista; człowiek który wprowadza ład i spokój w spalonym kraju i wśród ludzi zdeprawowanych nieszczęściami — gdyby o to chodziło *commies**. Wśród tysięcy śmieci, które przeczytałem o *commies* nie spotkałem takiego człowieka. Tylko jeden Jerzy Andrzejewski pokazał komunistę: to Podgórski z „Popiołu i Diamentu". Podgórski sądzi człowieka który był kapo w obozie, ale ten pierwszy pojedynek przegrywa. Jest jeszcze człowiekiem; w parę lat później stałby się prawdopodobnie majorem z arcydzieła Andrzeja Mandaljana. Lub sędzią Gletkinem z Koestlera. Ale najprawdopodobniej — Rubaszowem, którego sądzi Gletkin.

Jeśli o mnie chodzi, nie mam nic przeciw *commies*. Tak długo jak oni popełniają świństwa a ja mogę o tym pisać — wszystko jest dla mnie O. K. Jestem tylko świadkiem w procesie oskarżenia; sprawa jest dla mnie obojętna, byle by proces był ciekawy. To wszystko. Życie które mi dano jest tylko opowieścią; ale jak ja ją opowiem, to już moja sprawa. Jedynie o to mi chodzi.

Pisząc to, zapytałem jednego ze swych przyjaciół czy mam

* Gwarowe amerykańskie określenie Komunisty.

rację, mówiąc, że my, Polacy, mamy wszystko co trzeba, żeby dobrze mówić. Powiedział, że nie; powiedział, że Polacy są zbyt zmęczeni i ogłupieni; i zbyt zrezygnowani. Nie rozumiem; czy chirurg ma prawo do zmęczenia jeśli przywiozą mu kogoś kogo trzeba operować. Nie wiem. Pamiętam, że stojąc kiedyś z Pawłem Hertzem w barze skarżyłem mu się na kłopoty, na brak pieniędzy, na trudności z redaktorami. Hertz spojrzał na mnie z niesmakiem. Powiedział: „O ile pana dobrze zrozumiałem, pan chce się zająć pisaniem. To nie jest zajęcie przyjemne ani dla pana, ani dla ludzi którzy będą pana czytać. Czegóż pan oczekuje?" Odwrócił się wzruszywszy uprzednio ramionami; nasza rozmowa była zakończona.

Postanowiłem zostać na Zachodzie z przyczyn o których będę pisał później. Już po uzyskaniu azylu, Jan Nowak, Dyrektor Radia Wolna Europa pokazał mi artykuł Sokorskiego, w którym przeczytałem o sobie, że pełnię rolę tłusto płatnego informatora. I pokazał mi jeszcze stenogram jakiejś narady, w czasie której Leon Kruczkowski powiedział, że jak widzimy, niedaleka jest droga od pierwszego kroku w chmurach do ostatniego kroku w bagno wywiadu imperialistycznego. Nie mogłem się bronić inaczej jak tylko w jeden jedyny sposób: poszedłem do Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie i poprosiłem o prawo powrotu. Powiedziałem sobie: Polska, to nie Putrament, nie Kruczkowski i nie KC. Polska, dla mnie, to ci wszyscy młodzi ludzie którzy mnie czytali; to moja rodzina — i tak dalej. Chciałem wrócić do Polski, iść do więzienia, aby pokazać, że nie jestem niczyim szpiegiem i nie dostawałem nic. Owszem: opuściwszy obóz uchodźców w Berlinie dostałem ceratową walizeczkę z napisem: TO JEST DAR NARODU AMERYKAŃSKIEGO DLA UCHODŹCÓW SPOZA ŻELAZNEJ KURTYNY. Darem tym była wspominana już walizeczka, mydło i szczotka do zębów; możliwe, że był tam także ręcznik. Ale nie wpuszczono mnie do Polski; który ze szpiegów tonących w bagnie wywiadu wraca?

Dziś wiem, że to było głupie. Wiem, że nie opłaca się żadna dyskusja z nimi jeśli nie czuje się ściany z tyłu i nie ma się w ręku broni. Kiedy pytali mnie dziennikarze dlaczego chcę wrócić, powiedziałem, że pisarz bez ojczyzny jest niczym. Juliusz Mieroszewski napisał wtedy, że gorzej jest, jeśli pisarz w ojczyźnie jest niczym. Miał rację. Często myślałem o tym, czy ludzie próbujący pisać powinni uciekać, czy nie. I przez długie lata sądziłem, że nie. Dzisiaj myślę, że powinni uciekać. Jeśli uciekną, czeka ich straszne życie. Ale przegrają to życie po swojemu; a to jest jedyne co się w tej zabawie liczy.

Pojechałem do Izraela na zaproszenie pisma „MAARIV" po

czym oszukano mnie przy rozrachunku i nie miałem pieniędzy aby wrócić; nie miałem zresztą dokąd. Pracowałem jako robotnik budowlany; potem w hucie; potem na pustyni; zajmowałem się też zawodem, o którym wspomniałem uprzednio; i nie było to wszystko razem takie straszne. Potem pracowałem dla różnych firm filmowych które bankrutowały akurat wtedy, kiedy ja kończyłem swoją pracę. Moje finanse nie wyglądają dobrze i nie liczę, że Święci Pańscy zaczną mi w przyszłości zrzucać forsę z Nieba. Wiem, że będę musiał się chwycić jeszcze tysięcy sposobów zarabiania; ale chcę przegrać po swojemu. I tylko po swojemu.

Więc odszedłem wtedy z lasu i wróciłem do Warszawy; zacząłem pracować w firmie „Metrobudowa". Pracowałem jako ładowacz; po jakimś czasie zacząłem pracować w dziale zaopatrzenia. Była to świetna praca; po prostu chodziłem po mieście z zamówieniami na części samochodowe do rozmaitych firm i tam przybijano mi pieczątkę: CZĘŚCI BRAK. Potem szło się do tak zwanego sektoru uspołecznionego — czyli do małych wytwórni rzemieślniczych. Jedyna różnica między sektorem państwowym a uspołecznionym polegała na tym, że w państwowym przybijali pieczątkę „CZĘŚCI BRAK" a w uspołecznionym „CZĘŚCI NIE MA". To wszystko. Wtedy robiło się tak zwany „protokół" konieczności zakupu, który podpisywali kierownik zaopatrzenia, kierownik rady zakładowej i sekretarz partii oraz kierowca unieruchomionego samochodu jak również kierownik warsztatu. Potem ja brałem butelkę wódki i jechałem do znajomego magazyniera z innej firmy, który mi dawał brakującą część. Następnie szedłem do sklepu komisowego na Chmielnej gdzie część tę zastawiałem; mój wspólnik przychodził za godzinę i wykupywał; potem urządzało się przyjęcie towarzyskie. Był to mój własny system: wtedy nauczyłem się myśleć dramatycznie.

Któregoś dnia przyszła jakaś straszna baba i wezwał mnie kierownik Bazy.

— Do partii należysz?

— Nie.

— Do TPPR?

— Nie.

— Do Związków Zawodowych?

— Nie.

— To będziesz korespondentem robotniczym.

Ta straszna baba była z „Trybuny Ludu". „Trybuna Ludu" miała swoich tak zwanych „korespondentów terenowych", którzy pisali o bolączkach i osiągnięciach zakładów pracy. Zacząłem więc pisać o tym, że brakuje części zamiennych, że samochody

mają zbyt długie przestoje ponieważ jest zbyt mało pomp benzynowych, które w dodatku nie są automatyczne i o tego rodzaju sprawach. Pewnego dnia wezwano mnie do „Trybuny Ludu". Dostałem nagrodę; była to powieść Anatola Rybakowa pt. „Kierowcy". Tej nie zapomnę.

Zawsze dużo czytałem; jak powiedziałem, winna jest temu moja matka. Moja matka lubi wielu polskich pisarzy, z wyjątkiem jednego: jest nim Marek Hłasko. Po przeczytaniu mojej książki „Wszyscy byli odwróceni" zamówiła mszę na moją intencję. Było to tego samego dnia, w którym umarł Wilhelm Mach. Jak powiedziałem: zawsze czytałem dużo, więc przeczytałem i Rybakowa: on kierowca — ja kierowca. Była to pierwsza soc-realistyczna książka jaką przeczytałem; muszę przyznać, że wpadłem w osłupienie. Tak głupio i ja potrafię, powiedziałem sobie. I zacząłem.

Z „Metrobudowy" wyrzucono mnie. Nie mogłem znaleźć pracy; za dużo było kierowców, za mało wozów. „Trybuna Ludu" wsadziła mnie do Warszawskiej Spółdzielni Spożywców; kiedy zorientowałem się, że jestem konfidentem policji było już za późno.

Praca w WSS była bardzo ciężka: baza mieściła się przy ulicy Sokołowskiej — ja mieszkałem tuż przy Marymoncie. O czwartej rano musiałem być już „na bazie", jak to się mówiło; wstawałem często o drugiej i maszerowałem przez Powązki. Szedłem śpiąc; można nawet i tak. Potem zaczynał się koszmar; silnik nie chciał zaskoczyć; trzeba się było kłaść pod karterem z zapaloną lampą benzynową, gdyż gorąca woda grzana dla nas przez nocnych kierowców pomagała tyleż co wyskakującemu bez spadochronu odmawianie pacierza. Wreszcie jechało się na „Zieleniak" — tam już czekali chłopi-badylarze, którzy jechali przez noc; Warszawa musiała mieć o siódmej rano warzywa. Jechaliśmy zawsze w czterech; ja, mój pomocnik, konwojent i ładowacz. Konwojent płacił chłopu gotówką, warzywa dzielono na trzy kategorie. Kategoria pierwsza była płatna najwyżej: konwojent wypisywał chłopu kwit na pierwszą i płacił za trzecią. Chłop nie miał wyboru; nasi konwojenci z WSS mieli umowę z konwojentami MHD. Jeśli chłop nie chciał sprzedać — nie kupił nikt i musiał wracać do domu i wyrzucić warzywa. Zmowy tej nikt nie złamał: ani nasi z WSS, ani tamci z MHD; za to groziła, jak to nazywają gazety, „rozprawa nożowa". Bardzo słuszna nazwa.

W ten sposób dorabiało się nieco na boku; kiedy wracaliśmy około godziny siódmej na Bazę — czekała tam zawsze policja i sprawdzała czy nie jesteśmy pijani; to już był punkt zahaczenia. Zajęcie ich o tyle było pozbawione sensu, że kierowca

WSS — jak powiadają chłopi — „nie miał prawa" być trzeźwy. W tym celu zakupowano butelkę wódki, którą wręczało się policjantom czekającym „na bramie". Tak robiliśmy my, kierowcy z Zieleniaka. Kierowcy z Ząbkowskiej czyli „Monopolowi" dawali sobie radę na swój sposób. Wódkę ciężko jest ukraść, w wypadku stłuczenia butelki należy pokazać szyjkę z zalakowaną główką i załączyć protokół zniszczenia; ale na to szkoda było czasu. Nabywało się więc strzykawkę lekarską z igłą do zastrzyków domięśniowych; wyciągało się z każdej butelki setkę wódki i uzupełniało wodą.

Potem przeniesiono mnie z Zieleniaka „na rzeźnię". Tam najciężej było kraść; ale kradło się i tam. Przy wjeździe na wagę kierownik rzeźni wypisywał wagę wozu, potem jechało się na halę okrężną drogą. Ja stawałem i mówiłem do pomocnika: „Zdzisiek, spuszczaj wachę". Pomocnik kładł się pod wóz i otwierał kurek chłodnicy: w ten sposób wóz kładł się lżejszy o dwadzieścia kilo — tę różnicę inkasowaliśmy w mięsie. Potem, tuż za bramą rzeźni nalewało się znów wody. Wreszcie ci z rzeźni skapowali; wtedy spuszczało się benzynę. Gdzie „odpalało" się mięso — te dwadzieścia kilo — pozostanie moją tajemnicą.

Przekleństwem naszym, kierowców z WSS, była tak zwana „Akcja ziemniaczana". Jechało się wtedy po kartofle na wieś; ale kartofli sprzedać nie było komu. My, warszawscy kierowcy, i tu znaleźliśmy kolorowego ptaka. Jechało się „na akcję" w kilkanaście wozów; lepsze wozy ciągnęły słabsze; licznik wybijał kilometry a potem benzynę sprzedawało się taksówkarzom prywatnym. Miałem wtedy osiemnaście lat; pisząc o tym dzisiaj, nie wstydzę się tego. Niech się wstydzą ci, którzy mnie do tego zmusili. Pracując po czternaście godzin dziennie, włącznie z niedzielami i świętami, zarabiałem około siedmiuset złotych miesięcznie. Nie miałem mieszkania, mieszkałem na korytarzu. Pierwsze ubranie sprawiłem sobie mając dwadzieścia dwa lata. Dzisiaj nie potrzebne mi nawet i ubranie; i tak nie mam dokąd iść.

Siła *commies* polega na tandecie ich ideologii; robotnik niemiecki oblicza sobie, że z chwilą kiedy majątek Thyssenów czy Kruppów zostanie upaństwowiony — jego dochody wzrosną o tysiąc procent. Siła *commies* polega na fantastyczności zjawiska. Gdybym powiedział robotnikowi niemieckiemu, że pracując czterysta dwadzieścia godzin w miesiącu mogłem sobie za to kupić kiepską parę butów — wzruszyłby ramionami i odszedł. I teraz, gdybym powiedział swojemu pomocnikowi: „Zdzisiek — niemiecki kierowca może w ciągu roku kupić sobie samochód; za swoją miesięczną pracę cztery ubrania; może pojechać do Włoch na urlop" — dostałbym w zęby tak, jak nigdy jeszcze nie

dostałem. Dziennikarze niemieccy zawsze mówili do mnie: „Niech pan nie zapomina o tym, że to oni pierwsi weszli na niebo". Nie jestem inżynierem; ale wydaje mi się, że o sukcesie technicznym można mówić tylko wtedy, jeśli zna się koszty inwestycji. Jeśli kosztem tysięcy drzew wyprodukuje się tysiąc wykałaczek, to wtedy jest tylko zabawa. Kennedy czy Johnson musi się wykłócać z Kongresem o każdy grosz, który idzie na *space-action;* naród amerykański zna te cyfry z prasy i z telewizji; przez lata śmieli się siedząc przy telewizorach i obserwując pociski spadające po trzech sekundach lotu. Nie wiem ilu ludzi zamęczono i zlikwidowano zanim Gagarin ukazał światu swoją twarz; i nie wiem ile było nieudanych prób. Dopóki nie dowiem się o tym nie będę umiał cieszyć się z sukcesów moich kapryśnych braci.

Ale wtedy, w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim, nie myślałem jeszcze o tym. Myślałem o zupełnie innych rzeczach tego dnia, kiedy stałem w Pałacu Mostowskich a dyżurny milicjant powiedział do mnie:

— Paseczek. Sznurowadełka. I krawat.

— Nie noszę krawatu — powiedziałem i podpisałem kwit.

Mistrzem mojej młodości nie był Hemingway ani Jerzy Andrzejewski. Był nim Tadeusz Barwiński, oficer Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Jak powiedziałem, pracowałem w Warszawskiej Spółdzielni Spożywców jako kierowca skierowany tam, przez kierownika wydziału korespondentów terenowych „Trybuny Ludu". Był to rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty drugi. W owych czasach, w każdym dużym przedsiębiorstwie był tak zwany „Samodzielny Wydział Wojskowy": kiedy indziej nazywało się to: „Samodzielny Wydział Ochrony"; i jeszcze inaczej. Była to komórka Urzędu Bezpieczeństwa; referent — taki był tytuł tego bezpieczniaka — miał swoich kapusi wśród pracowników odnośnego urzędu, którzy dostarczali mu informacji o ludziach; a on już wiedział co z tym robić dalej.

Pewnego dnia około godziny siódmej po południu kiedy — jak to się mówiło — „zjechałem" na bazę, dyspozytor powiedział do mnie:

— Masz iść do „samodzielnego".

— Pracujesz dziś na noc? — zapytałem go.

— Tak. Do szóstej.

— Jeśli nie wrócę, powiedz mojej matce.

— Gdybyś miał nie wrócić, zgarnęliby cię z domu — powiedział.

Gdybym w owych czasach czytał Hemingway'a, odpowiedziałbym mu: „To jedna z tych rzeczy których się nigdy nie wie". Powiedziałem jednak tylko: Bóg to jedyny wie.

Poszedłem. Siedział tam mały facet w okularach; drzwi były obite skórą; chodziło pewnie o to, aby w przesłuchiwanym wywołać nastrój grozy. Wszystko jak w kiepskich filmach. Kiedyś widziałem taki film, czy może czytałem taką książkę:

— Czy wiesz co to jest? — zapytał Sean biorąc ze stołu leżącą tam łyżeczkę do herbaty.

— Srebro — powiedział Jack. — Kupiłeś to od Harry-konia. To z tej roboty na 77 street. Można tym mieszać herbatę. Dajesz bardzo kiepską herbatę, Sean. Czy taką piją u was w Dublinie?

— Nie tylko taką — rzekł Sean uśmiechnąwszy się krzywo. — Dostaniesz dobrą w takiej jednej, która nazywa się „Dirty Dick". A co do łyżeczki, to można nią także wyłupać oko.

Tego krzyku Treppengelander już nie zapomni".

Albo inaczej:

„Strzał z czterdziestki piątki szczeknął krótko a ja strzeliłem jej prosto w brzuch,myśląc: Micky, tam przecież siedzi twoje dziecko. Ale nie mogłem inaczej; Chryste, Panie — naprawdę nie mogłem inaczej. Pomyślałem o tym jak Nick szedł na fotel i o jego wystrzyżonej głowie którą mu ostrzygli aby lepiej przylegała elektroda. Gdyby nie Nick, może mógłbym inaczej. Ale nie mogłem; pochyliłem się nad nią i widziałem konające światło w jej oczach.

— Jak mogłeś — szepnęła.

Milczałem przez chwilę; potem rzekłem:

— To nie było wcale trudne".

Może zresztą nie cytuję dokładnie. Nie o to jednak chodzi. Ze mną nie było aż tak zabawnie. „Samodzielny" kazał mi usiąść.

— Jak się nazywacie?

— Marek Hłasko.

— Urodzony?

— Czternasty, pierwszy, trzydziesty czwarty.

— Gdzie?

— W Warszawie.

— Ojciec.

— Maciej.

— Zawód.

— Adwokat.

„Samodzielny" zdziwił się.

— Adwokat?

— Adwokat.

— Żyje?

— Nie.

— Matka?

I tak dalej, i tak dalej. Wreszcie powiedział:

— Wy zostaliście tutaj skierowani przez „Trybunę Ludu"?

— Tak.

— Jako korespondent terenowy?

— Tak.

— Dlaczego przestaliście pisać?

— Pracuję po czternaście godzin na dobę. Nie mam kiedy.

— Nie potrzebujecie więcej pisać — powiedział „Samodzielny". — O wszystkim będziecie mówić mnie.

— O czym?

Teraz zaczyna się Mike Hammer. Może zresztą „Lord Lister, czyli tajemniczy nieznajomy". We wszystkich tych książeczkach zawsze było: „czyli". „Lord Lister — czyli tajemniczy nieznajomy". „Ken Maynard — czyli mściciel prerii". „Jerzy Rolicz — czyli szesnastoletni chłopiec wśród Thugów". Ale najlepszy był Lister. Moja matka, która kazała mi czytać, wepchnęła mi kiedyś Żeromskiego; miałem wtedy dziesięć lat. Przeczytałem zdanie: „Śnica zapuścił sępie spojrzenie swoich źrenic w jej duszę". Poczułem się zwolniony na zawsze od obowiązku czytania Żeromskiego; wziąłem pełne wydanie Mortkowicza i zaniosłem na ulicę Ciepłą, gdzie był warsztat naprawy lalek i jednocześnie antykwariat; zamieniłem komplet Żeromskiego na Lorda Listera i o tym drugim który zawsze mówił: „Nie podaje się nigdy ręki mańkutowi. To mi nieraz ocaliło życie". Już nie pamiętam, jak się nazywał ten szybkoręki. Dostałem od matki pasem, który został jeszcze po moim dziadku; dziadek był komendantem Straży Pożarnej Miasta Stołecznego Warszawy a wszyscy wiemy, że pasy strażackie są najszersze i mają najwięcej miedzianych sprzączek.

„Mike" wyjął pistolet.

— Wiecie co to jest?

— Wiem.

— Co?

— Radziecki pistolet TT.

— A skąd to wiecie?

— Widziałem to na filmie z Pawłem Kadożnikowem. Paweł Kadożnikow był radzieckim wywiadowcą i musiał zabić niemieckiego szpiega. Wyciągnął pistolet i powiedział: „Mocą i prawem danym mi przez ojczyznę..."

Samodzielny przerwał mi:

— Macie narzeczoną?

— Mam.

— Jak się nazywa?

Powiedziałem. I tak bredziliśmy przez dwie godziny; on wychodził i zostawiał pistolet na stole; wracał i znów wychodził: to było śledztwo psychologiczne. W końcu podpisałem protokół, że mam narzeczoną Wandę, i że pistolet typu TT jest mi znany tylko z filmu; że byłem napastnikiem w klubie; i tak dalej, i tak dalej. Kiedy dzisiaj to piszę, samemu nie wydaje mi się to zbyt prawdopodobne. Ale wtedy, przy podpisywaniu protokółu, pomyślałem sobie: „Poczekaj synu. Niech ja się przynajmniej dowiem jak cię ochrzcili". Protokół musi być podpisany przez przesłuchiwanego i przez prowadzącego śledztwo. Nazywał się Tadeusz Barwiński.

Aresztowano mnie w parę dni później za odmowę współpracy. Argumentacja oficera Milicji — tym razem odbywało się to w Pałacu Mostowskich — była prosta: ponieważ pracuję w firmie powszechnie znanej ze złodziejstwa, muszę wiedzieć co się tam dzieje; ponieważ odmawiając współpracy, zapobiegam tym samym wykryciu faktów sabotażu gospodarczego, podlegam karze z artykułu i tak dalej, i tak dalej. Wtedy właśnie zdjąłem paseczek, krawacik i sznurowadełka; Polacy lubią eufemizmy. Nic nie mogę na to poradzić; nie pytano mnie o radę przy urządzaniu Państwa Polskiego.

W więzieniu zawsze jest wesoło, jeśli się to tego podejdzie w sposób właściwy. Wszyscy są zawsze niewinni; wszystko to jest omyłką która się niedługo wyjaśni. W więzieniu w Palermo spotkałem człowieka który zabił narzeczoną i jej matkę; spodziewał się zwolnienia za parę dni. W więzieniu w Monachium siedziałem z facetem który dokonał siedemnastu rabunków: spodziewał się zwolnienia za parę dni. W więzieniu w Jaffie zaprzyjaźniłem się z człowiekiem trudniącym się przemytnictwem narkotyków od czasu powstania państwa Izrael; spodziewał się zwolnienia za parę dni.

W ogóle nie jest tak źle jeśli zaufa się tylko szaleństwu. Mieszkając w Warszawie,byłem stałym gościem komisariatu przy ulicy Bednarskiej za opilstwo i bójki towarzyskie. Po jakimś czasie miałem już tam przyjaciół wśród milicjantów i sypiałem nie „na dechach" lecz w dyżurce, a rano odwozili mnie do domu. Był to najprzyjemniejszy komisariat w Warszawie; tam lądowali wszyscy wychodzący z „Kameralnej" i z „Krokodyla".

W roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym odbywał się festiwal Młodzieży; przyjechał wtedy teatr Bim-Bom ze Zbyszkiem Cybulskim. Spotkałem Romka Polańskiego przed wejściem do teatru: Romek miał bilet, ale nie chciano go wpuścić ponieważ naładowało się mnóstwo publiki bez biletów i sala była przepełniona. Polański tak długo upierał się aby wejść i pokazywał przy tym swój bilet, aż wreszcie zabrali go dwaj policjanci z

„jedynki". Byli to jednak policjanci nowi i nie znali mnie. Polańskiego prowadzili między sobą a ja szedłem za nimi.

Romka zamknięto a ja poszedłem do mojego sierżanta, który mnie zwykle pozbawiał paseczka.

— Puść go — powiedziałem.

— To twój kumpel?

— Tak.

Polańskiego wypuścili; nabyliśmy litr wódki i razem z Romkiem, jego dziewczyną i tymi samymi policjantami którzy go przed dziesięcioma minutami aresztowali — udaliśmy się w pobliskie gruzy celem konsumpcji. Potem nabyliśmy jeszcze dwie butelki; nie wiem dlaczego przyszła mi ochota, aby deklamować Apokalipsę. Milicjanci patrzyli na mnie, mówiąc od czasu, do czasu:

— Panie Mareczku — ostrożnie, ostrożnie...

Miotały nimi sprzeczne uczucia: z jednej strony chcieli bawić się dalej; z drugiej — nie wiedzieli, czy Apokalipsa jest tekstem wrogim, czy też nie. Ta sytuacja, że człowieka zupełnie niewinnego wypuszczają za poręczeniem alkoholika — wydaje mi się świeża, dlatego o tym piszę.

Jak powiedziałem: szaleństwo jest jedyną rzeczą której można zaufać. We Włoszech zaaresztowano mnie za strzelaninę; chciałem w przystępie szaleństwa zabić jednego pana który mi powiedział, że nie zabija się sześciu milionów ludzi bez powodu — rozmawialiśmy o Żydach. Na drugi dzień sędzia śledczy zapytał mnie:

— Pan go chciał zabić?

— Tak — powiedziałem. — I chciałbym zobaczyć włoskiego sędziego który skaże mnie za to, że chciałem obronić pamięć sześciu milionów zamęczonych ludzi.

Popatrzył na mnie przeciągle: oddał mi moje rzeczy; znów popatrzył na mnie i oddał mi broń. Lektura faktów z życia Napoleona może się przydać nawet w sprawach bagatelnych. Nie wiem, czy mój sędzia włoski był odpowiednikiem naszego Rzeckiego; wiem tylko, że zniszczył akta sprawy.

W Pałacu Mostowskich nie siedziałem długo. Pomyślałem sobie: potrzymają cię do śledztwa a potem dostaniesz swojego piątaka. To nie ważne, że nikt nie będzie wiedział dlaczego: wymiar sprawiedliwości nie polega na pytaniu kto jest winien a kto nie; chodzi o to, aby mieć winnego.

Nie czytałem jeszcze wtedy Koestlera gdzie sędzia śledczy prowadzi długie, serdeczne rozmowy z gościem którego chce zlikwidować. Nie czytałem jeszcze wtedy Orwella gdzie Wielki Brat

ma zeza widlastego: nie czytałem nawet Krywickiego. Książki warto pisać tylko wtedy, jeśli przekroczy się ostatnią granice wstydu; pisanie jest rzeczą bardziej intymną od łóżka; przynajmniej dla mnie. *Commies* przekroczyli tę granicę: kiedy Jeżow likwidował Jagodę powiedział zebranym członkom GPU, że znany jest mu fakt, iż Jagoda pracował dla Ochrany. Nikt nie zaprotestował: w czasie kiedy istniała Ochrana, Jagoda miał dwanaście lat. Pomiędzy tymi tam z GPU byli na pewno ludzie którzy walczyli przeciw Kołczakowi, Denikinowi i Piłsudskiemu. Kiedyś byli odważni; ale nikt nie wstał i nie powiedział, że dzieci mając do wyboru jazdę na hulajnodze albo rozmowy z urzędnikami — wolą jednak hulajnogę. *Commies* przekroczyli tę granicę: stworzyli świat fantastyczny w który nie można uwierzyć. To ich siła.

Ja wtedy, w Pałacu Mostowskich, powiedziałem sobie: „Balzak nic ci nie pomoże, Żeromski też nie: ale pomoże ci Lord Lister". W ten sposób zostałem konfidentem policji pracującym pod kryptonimem „Wanda". Wanda, to imię mojej dziewczyny; uważałem, że tak będzie zabawniej. Zwolniono mnie.

Poszedłem do mojego dyspozytora na bazę.

— Przenieś mnie z „Zieleniaka" — powiedziałem.

— Dlaczego?

— Nie chcę nic wiedzieć.

— Chcesz iść na Rzeźnię?

— Nie. Znam Rzeźnię.

— Na Monopol?

— Znam i Monopol.

Byliśmy sami.

— Zrobili się za psa? — zapytał.

— Tak.

— Poczekaj — powiedział. — Przeniosę cię na „Opla-Blitza" 167. To taki wóz, że go się codziennie ściąga z miasta. A ja powiem chłopakom, że jesteś lewy.

— Powiedz im.

Mój „Opel-Blitz" nie zawiódł mnie nigdy; już za bramą wysiadało mi sprzęgło; drugiego dnia — karburator. Pojechałem do warsztatu; majster wiedział o wszystkim — oddaliśmy karburator do naprawy. Trwało miesiąc; potem było delko; potem sprzęgło; potem spalał trzy razy tyle benzyny ile powinien — odstawiliśmy go do ekspertyzy. Ja chodziłem „po bazie" i nie wiedziałem nic.

Od czasu do czasu zjawiało się u mnie dwóch facetów wyglądających jak łapsy z filmu. Już nigdy chyba nie dowiem się czy ci w filmach wyglądają tak jak ci w życiu, czy też ci w życiu tak jak ci w filmach. Bóg to jedyny wie. Kiedy w Londynie

chodziłem na Body-Building widziałem treningi zawodowych średnich. Było tam dwóch menagerów którzy wyglądali tak, jak ci ci z „The Champ" i ci z „The Golden Boy". Nosili meloniki i kamizelki; palili cygara; od czasu do czasu jeden do drugiego mówił: *Harry is over the hill*. Potem pluł: potem to samo mówił drugi.

Ci moi dwaj, mówili: „Oj, bo się pogniewamy". Nigdy nie dodawali niczego więcej; a potem zaczęła się największa zabawa w moim życiu.

Trzeba tylko przekroczyć tę granicę wstydu. Mój pomocnik zaprosił mnie kiedyś na imieniny swojej siostry. Było nudno; w samym centrum zabawy ukradliśmy patefon, wynieśliśmy go na schody a potem wróciliśmy i wraz z innymi gośćmi czyniliśmy bezskuteczne poszukiwania. Milicjanci przenieśli mnie z WSS do MHD i tam rozpocząłem swoją działalność pisarską uskrzydlony myślą, że jestem jedynym na świecie konfidentem *à rebour*. O partyjnych pisałem, że są dwulicowi i że pragną powrotu ustroju kapitalistycznego; o ludziach, którzy mówili źle o Gospodarzu — pisałem, że są szczerymi demokratami kochającymi Złutka-Słoneczko i tak dalej. Donosy pisałem regularnie: dzwoniłem w tym celu do Komendy Głównej i podając swój kryptonim, prosiłem aby połączyć mnie z porucznikiem Jankiem — to jeden z moich łapsów. Narobiłem im strasznego burdelu: nie połapali się nigdy. Nie moja wina: sami tego chcieli.

W tym czasie zacząłem już pisać; spotkałem kiedyś Tadka Mazura który przypadkowo znajdował się na wolności i powiedziałem mu, że zacząłem pisać. Tadek powiedział, abym mu pokazał. Wziął i poszedł do swojej cioty: ta ciota powiedziała, abym spróbował napisać coś dłuższego. Nie miałem jednak gdzie: poprosiłem moją matkę aby posprzątała kuchnię i w trzy noce napisałem dwustustronnicową powieść. Tę powieść przeczytał Bogdan Czeszko: napisał do mnie list. Napisał, że książka do niczego, ale że jego zdaniem powinieniem próbować dalej: zwrócił mi uwagę na wiele rzeczy. Bogdan był mądrym i kochanym człowiekiem — przynajmniej dla mnie. List ten mam do dzisiaj. Bogdan zwracał mi uwagę, że niepotrzebnie nadużywam słów ordynarnych i bardzo mi to odradzał; potem poznałem Bogdana osobiście. Wyglądał jak niedźwiedź; poruszał się jak silne i niebezpieczne zwierzę. Kiedy mówił, z trudem udawało mu się wtrącić zwyczajne słowo. Pamiętam, jak kiedyś powiedział do kelnerki: Niech pani mi da tej w d... j... wody. Jestem sp.. jak k... To najkrótsze co mu się udało powiedzieć; mnie ganił. Nikt z nas, jeszcze jako tako młodych, nie potrafi pisać tak pięknym językiem jak ten miś; jego „Tren" mogę czytać, kończyć i zaczynać. Jest jedynym pisarzem młodego pokolenia który

od początku znalazł swój własny głos i pozostał sobie samemu wierny. Tego nie potrafił ani Brycht, ani Nowakowski, ani ja.

W tym czasie przepisałem książkę Rybakowa pod tytułem „Kierowcy", podpisałem ją swoim nazwiskiem, nazwałem „Baza Sokołowska" i zaniosłem do Związku Literatów. Po jakimś czasie Neverly — będący wówczas opiekunem Koła Młodych zawezwał mnie na rozmowę. Neverly pomógł mi bardzo; pytał mnie o moje warunki, powiedział mi o usterkach „Bazy" i dał mi jedną radę — najmądrzejszą radę jaką słyszałem od człowieka piszącego: „Jeśli pan chce coś napisać, niech pan o tym opowiada. Wszystkim. To nieważne czy pana ludzie rozumieją, czy nie. Niech pan mówi: za każdym razem, opowiadając, musi pan budować swoją historię od początku do końca; po jakimś czasie zrozumie pan, które elementy są ważne a które nie. Chodzi o to, aby pan sam to sobie umiał opowiedzieć". I tak zacząłem opowiadać; mówiłem o tym ludziom w Polsce, w Izraelu; mówiłem o tym na statkach i w łóżku; mówiłem o tym w więzieniu, i mówiłem o tym poważnym Niemcom; i Arturowi Sandauerowi który co chwila mi przerywał, mówiąc: „Do czego pan zamierza?" Nie wiem; o to właśnie chodzi, że nie wiem. Wiem tylko, że będę biegł przez całą drogę; i że będę mówił przez cały czas.

(c.d.n.)

Marek HŁASKO

© Copyright by KULTURA, 1965.

Trzy ojczyzny

28 październik 1962

Więc emigruję do tej Ameryki.

Przed nami noc.

W dole czarna, nieruchoma powierzchnia. Chmury czy morze? Gwiazdy, przygaszone światła w samolocie. Dopiero po chwili widzę jak ta księżycowa masa wzdyma się równomiernie, jakby oddychała. Ocean.

Obok śpią dostatnio ubrani emigranci. Aparaty fotograficzne, kieszonkowe radia. Zamiast tobołków, plastykowe walizki. Zamiast owijających babskie głowy chust — trwałe ondulacje.

Gdzieś za wyspami Brytyjskimi maleje moja Europa. Zamienia się w jeden świetlny punkt — jeszcze jedna gwiazda — moje pięć lat w Paryżu, jego uśmiechnięte ulice i drzewa, obojętni ludzie odgrodzeni niewidzialną twardą szybą, powietrze które pulsuje wiosną, gołębiami, strzępy słów niesione wspomnieniem „cudzoziemiec", „jak się panu tu nie podoba, to niech pan wraca skąd pan przyszedł", kobiety o życzliwych ciałach, zmęczeni urzędnicy, kolejki po przedłużenie karty pobytu, letnie wino...

Pozostała skazana raz jeszcze na zapomnienie inna garść znajomych: najnowszy emigracyjny chlust na obce brzegi: Robert, któremu w końcu udało się kupić stary samochód dzięki pracy jako fotograf uliczny, gdyż jego dyplom z konserwatorium nie dał mu ani grosza, Andrzej — wieczny student, który przerzucił się na inną dyscyplinę, Bogdan, któremu się w głowie pomieszało i ostatnio znajdował się w szpitalu dla umysłowo chorych, Baśka, jeszcze nie wydobrzała po ostatniej skrobance i Witold, któremu się udało i oto zgarnia grube inżynierskie pieniądze.

Oderwałem się od ich wspólnej orbity i wyrzucony zostałem w stronę jeszcze jednego obcego kraju. Z ulgą i strachem. Na gorsze albo na lepsze.

◆

Kiedy moje kombinacje paszportowe uwieńczone zostały sukcesem i znalazłem się w dalekiej, cudownej Francji — miałem cel. Widziałem się po latach w roli triumfatora powracającego z *dalekich* krajów, wypełniony *obcą* kulturą, nieomalże witany przez tłumy na Dworcu Głównym, z misją cywilizacyjną w kraju małym i barbarzyńskim. Wallenrod w murach komunizmu, mędrzec zwrócony rodzinnym pieleszom i tp.

Rzuciłem się z impetem na Paryż, na mury jego książek, idej, ludzi. W każdym z moich listów *tam* do nich przebijała pycha: patrzcie, podziwiajcie, ja *tu* jestem, ja po *tym* stąpam, ja *to* widzę.

Aż do chwili, kiedy opadły mnie wątpliwości. Widzimy z zewnątrz, od strony wielkich przestworzy, kraj zaczął się pojawiać malutkim, dalekim i złowrogim. Dnem studni, skąd nigdy się nie wydostanę, ptak bez skrzydeł, socjalistyczny obywatel.

I pewnego dnia ziemia jakby pękła pod moimi stopami i ja odsunąłem się od Polski o całą gwiezdną przepaść. Poprosiłem o azyl. Paryż jakby wezbrał. Miał mi teraz zastąpić wszystko. Wessany zostałem w jego środek. Dawne racje zniknęły. Moje studia stały się pretekstem do otrzymania ulgowej karty na studencką stołówkę.

Byłem humanistą — po co miałem się spieszyć — od strony filozofii dzielnicy łacińskiej czas był bez brzegów, żyło się tam jak na pogańskiej, pogodnej wyspie, do której nie docierały proporcje i cele innej egzystencji. Chciałem zostać artystą, zapuściłem brodę, nie spieszyłem się — po co, skoro jedno dzieło sztuki może być usprawiedliwieniem całego życia.

Poza moim miejscem zamieszkania rozciągały się anonimowe społeczeństwa którym byłem niepotrzebny. Poza tym, moje studia, obliczone na krajowy rynek, były tutaj jak pomarańcze przeszmuglowane pod tropiki — komu we Francji jest potrzebny cudzoziemiec, którego zawodem jest uczenie francuskiego?

Udało mi się znaleźć mieszkanie. Wszyscy mi go zazdrościli. Moje życie było już *załatwione*. Pozostała do znalezienia jakaś lepsza praca dorywcza, jakieś studia, wieczorne kawiarnie i leniwe przygody.

Kiedy niespodzianie otrzymałem wizę do USA, omal z niej nie zrezygnowałem. Koledzy zaczęli mnie opłakiwać jak udającego się na zatratę — kto z Paryża jedzie do dzikich krajów?

W końcu ciekawość zwyciężyła. Ostatecznie zawsze mogę wrócić, a świat jest taki wielki. Dlaczego żyć *tu*, a nie *gdzie indziej?* Żeby się o tym przekonać rozpędźcie globus i na ślepo zatrzymajcie go palcem w jakimś miejscu. A dlaczegożby *tam* nie żyć? Zresztą zawszę mogę gdzieś wrócić, choćby w ostatecznym wypadku do Polski — zamkną na początek a potem wszystko ucichnie i dadzą spokój facetowi, który się dobrowolnie wymazał. Poza tym — można popełnić samobójstwo. Melodramatyczne, ha?

29 październik 1962

Na dworcu lotniczym w Nowym Jorku odbierają nasz „przydział" zaaferowane starsze panie, przedstawicielki różnych komitetów imigracyjnych. Częstują nas kanapkami w celofanowych opakowaniach, w których wszystko jest, łącznie z łyżeczkami i serwetkami do otarcia ust. *L'Amérique, quoi!*

Za $ 4 wysłałem depeszę do Warszawy. Niech się matczysko nie martwi jak przeleciałem przez morze, poza tym — patrzcie jak mnie daleko zaniosło!

Komitet pożyczył mi pieniądze na podróż i teraz zastanawiam się, jak też oni mi pomogą wystartować.

Starsza pani wiezie mnie do hotelu. Patrzę na wszystko z pewnym rozczarowaniem. Boże, jaki jestem zblazowany! Dużo samochodów mamy i we Francji, piękna autostrada — mamy, tylko drapacze wyglądają z daleka tak samo imponująco jak na pocztówkach.

Ale jakże straszliwie brzydkie i smutne są dzielnice mieszkaniowe na przedmieściach. Koszary, koszary bez końca omotane w żelazną pajęczynę drabin przeciwpożarowych.

30 październik 1962

Po źle przespanej nocy na skutek piekielnego hałasu na ulicy i w rurach kanalizacyjnych wędruję do komitetu imigracyjnego na wyznaczone spotkanie. Biorę metro — jakże inne od paryskiego — ogromne, całe dworce podziemne — nad głową huczą pociągi, pod podłogą pociągi, jak w kopalni. Brudno, smutno. Metamorfoza następuje z chwilą wejścia do wagonu. Czystość, neony, w jaskrawym świetle siedzą pstro ubrani ludzie, dużo Murzynów. Kobiety niedbale rozkraczają nogi, aż odwracam głowę.

Gubię się przy przesiadkach, usiłuję pytać ludzi, ale się

spieszą i bardzo są nieufni. Kiedy zbliżam się do kogoś, patrzy na mnie podejrzliwie, a potem odwraca się pośpiesznie, jakby bojąc się, że go poproszę o pieniądze. Zimne miasto. Zaczynam nienawidzieć tych ludzi.

W komitecie dają mi pieniądze na pierwszy tydzień. Niespodzianka. Płacą mi za hotel plus drugie tyle na życie.

Toż ja za te pieniądze jako student dociągałem do końca miesiąca!

— Będzie panu z tym krucho — mówi starsza pani. Gdyby wiedziała! Mówi, żebym przychodził codziennie, będą mi szukali pracy.

Pokazuję moje uniwersyteckie dyplomy. Przyglądają się im pesymistycznie. Amatorów na tłumaczy jest tu zatrzęsienie, a jeżeli chodzi o nauczanie, to jest początek roku szkolnego. Późno. Trzeba czekać. Poza tym nie mam amerykańskiego doświadczenia. Coś mi znajdzie. Przecież nie gardzę pracą fizyczną.

8 listopad 1962

Pracuję przy dekoracji witryn na gwiazdkę. Duży dom towarowy. Jestem tu od wszystkiego. Noszę deski, przybijam czerwone sukno, przemieszczam manekiny. $ 1.75 na godzinę. Gdy to przeliczyć na Europę — duże pieniądze. Mam pokój z kuchenką i lodówką. Jem w domu — na mieście jakieś kanapki, bo drogo. Oszczędzam.

Dekoratorzy, z którymi pracuję, są to przeważnie młodzi ludzie. Widocznie lubią swoją pracę, bo rzucają się na nią żarłocznie jak sportowcy na pobicie rekordu.

Przez osiem godzin latamy jak opętani. Im bardziej są spoceni, tym bardziej zadowoleni. A może tak pracują Amerykanie?

Nabieram dla nich uczucia, podziwu połączonego z niesmakiem.

Wracam do domu obolały, późnym wieczorem, bo gubię się w metrze. Przeklinam miasto. Od metra brnie się do domu przez śnieżne zaspy. Zima zrobiła się strasznie ostra. Wiatr gania po geometrycznych ulicach, bez jednego zakrętu.

Praca nudzi mnie straszliwie. Nie, nie gardzę wysiłkiem fizycznym, wiem że „początki są trudne" i tp., ale ja już dostałem za swoje we Francji. Dlaczego mam to przechodzić jeszcze raz, za czyje grzechy?

Szkoda tylko, że pozbyłem się mojego mieszkania w Paryżu...

15 grudzień 1962

Wymówiłem pracę, bo źle zrozumiałem polecenie szefa (ten angielski!) i zamiast zostawić płótno na deskach, zerwałem je, czym naraziłem sklep na straty. Nie zwolnili mnie wprawdzie, ale trudno mi było z nimi pozostać z tym poczuciem mojej winy, więc wolałem odejść.

Tym razem postanowiłem znaleźć pracę sam.

17 grudzień 1962

Dzięki wolnemu czasowi poszedłem wreszcie do Greenwich Village. Może tam coś znajdę, co mi przypomni Paryż, bo dookoła obco.

Wygląda to jak Montmartre dla turystów. Jest wprawdzie sporo brodaczy, pięknych, niedbale ubranych dziewcząt, dużo galerii, ale wszystko jakby na pokaz i bardzo drogie.

Jedna kawiarnia zwróciła moją uwagę swoją swojskością. Mały skrawek Europy. Przyćmione światła, na ścianach porozlepiano francuskie gazety, jakieś fotografie. Przy stolikach leniwie siedzą ludzie. Rozmawiają, grają w szachy albo patrzą w kąt, lub na innych. Jeden męski profil wydał mi się skądś znajomy. Andrzej! — Wyjechał z Paryża dwa lata temu.

22 grudzień 1962

W dzień szukam pracy, a wieczorami siedzę w *Figaro*. Dzięki Andrzejowi spotkałem kilku innych znajomych, towarzyszy paryskich perypetii. Andrzej jest Jugosłowianinem. Studiował kiedyś agronomię, potem uciekł, potem coś próbował robić we Francji, ale się nie udało — i oto wylądował tutaj. Bardzo przystojny z niego mężczyzna.

Opowiadał o Amerykankach. Łatwe bo ciekawe innych ludzi, ale skoro dowiedzą się o twojej sytuacji materialnej — ulatniają się. Bo obchodzi je wyłącznie małżeństwo. Mimo to miał tu ogromne sukcesy.

Mężczyźni są nieśmiali, przestrzegają konwenansów, podczas gdy on jest Paryżaninem. Przysiada się bezceremonialnie do sztywnych sekretarek, bierze je za ręce, patrzy po europejsku w oczy, odgrzebuje umarły tutaj flirt. To im się bardzo podoba, bo to takie inne.

Poza tym przestudiował kieszonkowy podręcznik o sztuce i chodzi codziennie do muzeum. Staje przed obrazem z wyrazem

głębokiego skupienia, a gdy przechodzi obok jakaś ładna turystka, krzyczy na nią: „Pani się nie wstydzi tak przechodzić obok arcydzieła!" — i po jej usprawiedliwieniach, bo oni strasznie chcą się uczyć, zaprasza na kawę.

O tutejszych ludziach wyraża się pogardliwie. Prymitywni, nieucywilizowani. (Tak samo nazywali go w Paryżu Francuzi). Za to tutaj Andrzej szybko wyrzuca z siebie francuskie słowa z okropnymi błędami i mocnym słowiańskim akcentem i nazywa się André. I niech mnie pan Bóg broni, żebym komuś powiedział, że on jest Jugosłowianinem.

Spotykam go tu codziennie, bo udało mu się przejść na bezrobocie. Otrzymuje $ 22 tygodniowo zasiłku, więc może robić co mu się tylko podoba. Proponuje mi, że porozmawia ze swoim byłym szefem, równym człowiekiem, żeby mnie zatrudnił, a potem też będę mógł przejść na bezrobocie.

Sam uważa się za straconego, bo go nikt tutaj nie zatrudni w niedokończonym zawodzie, a na prowincję za nic nie wyjedzie. Dość już że opuścił Paryż.

Zresztą może się bogato ożeni. Właśnie ma coś ciekawego na oku...

29 grudzień 1962

Szukam pracy i chodzę od jednej agencji do drugiej. Notują moje kwalifikacje, wymagania. Tu wszystko załatwia się przez pośredników.

Nogi mnie bolą, bo nie ma gdzie usiąść. We Francji przyzwyczaiłem się do częstego zatrzymywania w kawiarniach, wypicia czegoś taniego, pomedytowania i dalszej wędrówki.

Tutaj, ledwo skończysz pić już zgłasza się kelner, a skoro nic nowego się na zamawia cały lokal koncentruje na intruzie wzrok tak naganny, że trzeba się wynosić, nie zabierać drugim miejsca, skoro się nie konsumuje. Nawet jeżeli są wolne miejsca. Zarobiłeś to wydaj.

W rezultacie przeczekuję na ulicach między jednym spotkaniem i drugim, i czuję się jakoś bardzo dosłownie na bruku.

13 styczeń 1963

Moje pięknie opracowane życiorysy i rozdęte europejskie doświadczenie we wszystkich możliwych zawodach spoczywają w biurkach niezliczonych agencji — na razie bez skutku.

Pieniądze prawie całkowicie stopniały.

Oblałem wszystkie wstępne testy do instytucji, do których odesłały mnie agencje.

Do firmy reklamowej nie nadałem się ze względu na brak zmysłu plastycznego, w instytucie aerodynamiki, gdzie potrzebowano tłumacza, zgubiłem się w terminologii technicznej. W biurze projektów nie przyjęto mnie, bo — jak mi wytłumaczył windziarz — żułem gumę, co uważałem za dowód całkowitej asymilacji.

Wreszcie uchwyciłem się ostatniej deski ratunku — tym razem tej początkującego kreślarza. Co za cofnięcie się! $ 1.25 na godzinę. Obok mnie pracował starszy pan, Polak. Strasznie zgorzkniały. Stracił młodość w obozach jenieckich, potem był w Anglii gdzie czymś się zajmował, potem polował na wieloryby z innym, obrotniejszym rodakiem, dopóki tamten nie zbankrutował i oto wreszcie zawędrował do Ameryki, gdzie nauczył się rysunku technicznego. Pociesza się tym, że jego kolega, obecnie minister w Polsce, zarabia mniej w przeliczeniu czarnorynkowym.

Bazgrzę czarne krechy, podpieram się łokciami o deskę, zapadam nosem w papierzyska i czasami ogarnia mnie chęć rzucenia tego wszystkiego. Obok mnie kilku Murzynów również aż wyje z nudów, tylko Portorykańczyk jakoś daje sobie radę z sobą i ponadplanowo nawraca mnie na swoją wiarę.

Prawdziwy ślepy zaułek.

Żeby chociaż było dużo pracy, to byśmy tak nie rozpaczali z tej chandry, ale firma czeka na nowy kontrakt, więc żeby nas nie pozwalniano, szef placówki polecił pracować powoli, żeby dla wszystkich starczyło.

Do Europy na razie nie mam po co wracać, bo jest zima, a w tym okresie wszędzie ciężko wyżyć.

André tłumaczył mi jak się przechodzi na bezrobocie.

15 styczeń 1963

Pierwszy list wiosny nie wróży. Tym bardziej jeżeli zabłądzi przez pomyłkę.

A tak chyba się stało z ofertą nadesłaną mi przez jeden z amerykańskich uniwersytetów.

Tak wysoko przecież nie sięgałem.

A może Francja za bardzo nauczyła mnie pokory?

Bo tam przecież ani rozmawiać ze mną nie chcieli o nauczaniu czegokolwiek.

Zaproponowano mi nauczanie rosyjskiego i francuskiego. Istnieje możliwość uczenia polskiego.

◆

Jak trudno „stać się człowiekiem" kiedy ma się za świadków tylko siebie i innych tak samo zagubionych.

Cokolwiek się zrobi, nikogo to nie ucieszy ani nie zgorszy. Pracuje się — dobrze, nie pracuje — drugie dobrze. Wstydzić się nie ma kogo, bo wszyscyśmy tyle warci.

Gdyby choć jeden z moich rówieśników do czegoś doszedł, czymś został, byłby jakiś precedens, jakaś nadzieja, ale oni wciąż są, w trakcie „stawania się", wciąż zazdrośnie przyszłość rezerwują dla siebie i nikomu nie pozwalają się sądzić, bo to nie typowe bo nigdy nie wiadomo, co jutro zrobią...

Więc niesie nas czas w zagraniczne niewiadome i siedzimy na kawach, narzekamy, znajdujemy mnóstwo usprawiedliwień i zabijamy dni szukaniem kobiet, bo bez miłości, chociaż takiej, rady byśmy sobie nie dali ze sobą.

I nikt nam ręki nie podaje i wszędzie przychodzimy za późno i od nowa uczymy się mówić i chodzić, po to tylko, żeby, gdyśmy już nauczyli się języka i asymilacji wśród obcych — znów dalej się wynieść i znów rozpoczynać od nowa.

20 stycznia 1963

Druga oferta. W dalszym ciągu nie wierzę.

To prawda, że marzyłem o tym, ale teraz kiedy mowa o realizacji, nagle zdaję sobie sprawę jak dalece zwątpiłem we własną przydatność.

Przeświadczenie, że nikomu nie jestem potrzebny weszło w mój system krwionośny.

Tak długo żyłem poza społeczeństwem, że teraz ogarnia mnie strach.

Czy ja to potrafię?

12 luty 1963

Więc podpisałem kontrakt.

Jest to wydarzenie tak ogromne, że jeszcze nie zdałem sobie w pełni z tego sprawy.

Uczyniłem to jakoś mechanicznie i z wciąż kołatającym się podejrzeniem że to jakaś pomyłka.

Zostałem mianowany profesorem na jednym z uniwersytetów. Za kilka dni rozpoczynam pracę.

15 luty

Jeszcze niepewnie ściskam w ręku klucze — od biura, od mieszkania i od samochodu który kupiłem na raty.

Napełniony jestem radością i lękiem dorobkiewicza, który „doszedł" i jeszcze zupełnie temu nie wierzy.

Tak nagle to wszystko się stało.

Jeden podpis gdzieś w anonimowym biurze i oto miałem prawo opuścić ziemię ubogich i znaleźć się przy obficie zastawionym stole.

I nikt nie pytał, jakim prawem? Ani nie wypominał: myśmy tu przez stulecia, a Pan od razu chciałby na gotowe.

To naród emigrantów.

Każdy z nich kiedyś skądś tu przyjechał, po okresie biedy, może rozpaczy... I oni o tym nie zapomnieli...

Wczoraj przyłapałem się, że porównując w klasie jakieś instytucje europejskie z amerykańskimi powiedziałem moim cudzoziemskim angielskim: *my tutaj* — i wszyscy wzięli to na serio. Nikt nie kwestionował — jacy my? *My* to nie *pan*.

I tu przypomina mi się powiedzenie — oczywiście o Żydach — że każdy z nich ma dwie ojczyzny: niebo i Izrael. Czyżbyśmy my Polacy, mieli ich aż trzy?

Ryszard SOKOŁOWSKI

Zapowiedzi wydawnicze

ARTHUR KOESTLER:

FRAGMENTY WSPOMNIEŃ

wzięte z dwóch tomów autobiografii autora, obrazujące jego współpracę z partią komunistyczną, pobyt w Związku Sowieckim, historię jego rozczarowań i powody jego ostatecznego zerwania z komunizmem.

Seria „Archiwum Rewolucji"

Pamiętnik znaleziony w... Bochni (dok.)

Zgłosiłem się nazajutrz rano w Komitecie Powiatowym, czyli w KP. W pokoju 78 przyjął mnie nieznany pan jedząc kanapkę. Za chwilę weszła jakaś pani i powiedziała z uśmiechem, że ją boli głowa, zaś ten pan odpowiedział, że dobra głowa dobrze boli. Potem weszli Bauer z Włodarczykiem i zaczęli ze mną poważną rozmowę. — Tacy ludzie jak Romer nie są nam potrzebni, kolego. My w was widzimy odpowiedniego człowieka. Nie trzeba nam wąskich horyzontów i tanich efektów tylko zdrowego elementu. Myślicie kolego, że my nie moglibyśmy Romerowi zaszkodzić? — Moglibyśmy, tylko nie chcemy — to nie jest ZMP tylko ZMS. Pamiętajcie też kolego o waszej, o waszych kolegów przyszłości. Dalecy jesteśmy od tego, żeby obiecywać wam dostanie się na studia jeżeli wstąpicie do ZMS, ale faktem jest, że swoim członkom pomagać będziemy i to nie mało. My chcemy mieć w państwie wykształconą i świadomą awangardę. Sądzę, że pomyślicie o tym — rzekł i podał mi rękę. Gdy wychodziłem od nich, ten pan, który przedtem jadł kanapkę, zachował się obojętnie, tylko Bauer wyszedł ze mną. Słuchaj stary — przemówił (poprzednio cały czas przemawiał Włodarczyk, a ja siedziałem cicho, bo nie wiedziałem co mu na to odpowiedzieć, zresztą jak skończył mówić zaraz wyszedł, zanim jeszcze zdążyłem ochłonąć) — ze mną możesz pogadać tak normalnie, bo on to lubi filozofować — widzisz, ty masz u chłopaków poważanie, ty byś wszystko mógł załatwić — słyszałeś w Krakowie jak żyją inne organizacje — my mamy różne możliwości — powiedz kumplom, że zrobimy kurs motorowy, różne inne kursy i wyjazdy w czasie szkoły i po szkole na obozy (to są najlepsze ze wszystkich obozów) i na pewno się zapiszą. Zobaczysz jak się u was zrobi organizację, jak to się wszystko zmieni. Bo organizacja tak i tak powstanie, a jak to ty zrobisz a nie Romer,

to się będzie liczyła twoja zasługa, a nie Romera. A jego to jeszcze kiedyś załatwimy jak się wszystko unormuje. Przyjdź jutro do Komitetu i spytaj się o mnie to pogadamy, a po drodze zastanów się o wszystkim.

Rozmowa ta bardzo mi się wbiła w pamięć. Bauer musiał jakoś żywo do mnie przemówić, bo zacząłem zastanawiać się nad jego słowami, chociaż zaraz kiedy go poznałem, uważałem go za coś niższego. Później poprawiłem swój pogląd, że jest to wprawdzie człowiek, który nigdy w życiu się nie wybije, ale w gruncie rzeczy jest coś wart. W końcu doszedłem do wniosku, że może nawet to jest jakiś poczciwina, tylko pracuje w Komitecie, a przecież ktoś musi pracować w Komitecie. Trochę zaniepokoiłem się tym, że jeżeli zacznę zajmować się ZMS-em na serio, dowiedzą się o tym moi „starzy". Właśnie niedawno Wałęga, woźny w „Domu Partii" (tak w Bochni nazywano budynek, gdzie mieścił się Komitet Powiatowy) powiedział na ulicy do mojej babci: „Wasz wnusio u nas bywa, ho, ho, ho!" Babci podobno zrobiło się bardzo przykro, mówiła mi potem i ja kochałem bardzo moją babcię (chyba nie ma już teraz tak dobrze wychowanych kobiet jak ona), ale sądzę, że to uczucie, którego ona wówczas doznała wynikało raczej z tego, że pamiętała jeszcze z czasów przedwojennych Wałęgę, który był ostatnim wycieruchem i ludzie nazywali go „dupkiem". Nie chciałem więc naprawdę ranić uczuć mej babci, ale pomyślawszy tak rozsądnie, to większość chyba rodziców a zwłaszcza dziadków jest w naszym kraju reakcyjna, a przede wszystkim nie chce zrozumieć tego co nowe, a do nas właściwie świat należy. Zresztą zaczęła mnie trapić jedna myśl. „Nie chodzi o to, że za wszystko Romer zbierze zasługi, gorsza sprawa jeżeli do organizacji dostaną się różne „lewusy" i karierowicze, załóżmy teraz, że w innych szkołach tak samo i cały ZMS się nimi zapełni, tak że w końcu zawsze będzie to co było". To ruszyło mnie tak bardzo, że nawet serce zaczęło mi bić żywiej i przyspieszyłem kroku. „Bez względu na wszystko, dużo ode mnie zależy. Nie pozwolę na to, żeby na samym początku rozwinęła się jakaś... no co 'lewizna' ". Pogadałem z chłopakami, ale od razu nie było żadnego entuzjazmu (za dużą grupę wziąłem na raz widocznie) i ponowiłem próby, ale już w ścisłym gronie. Wszyscy wtedy jakbyśmy się obudzili. Przez ZMS będzie w szkole lepiej i raźniej, zorganizujemy różne spotkania i potańcówki, a jak się kurs motorowy uda, będziemy jeździć. Jeden dopowiadał drugiemu (Romera na razie między nami nie było). Janusz, ten co siedział ze mną w ławce, powiedział, że słyszał o organizacji w Technikum, która podobno utworzyła cały zespół jazzowy. Zapaliliśmy się do tego naprawdę, tak że wracałem do domu półprzytomny z nadmiaru wrażeń, jak to mi się

nieraz trafiało. Widziałem się oczywiście w międzyczasie z Bauerem, który klepał mnie tylko po barku i mówił: „No, nie gadałem chłopie, że wszystko będzie jak trzeba!" Czasem trafił mi się jakiś nieprzyjemny zgrzyt, kiedy na schodach Komitetu spotykałem Wałęgę, który się do mnie uśmiechał, ale próbowałem nie zauważać tego, innym razem znów Matejko z „A" klasy potraktował mnie tak jakoś niepoważnie, ale skwitowałem go z pełnym przekonaniem, że ja mam rację a nie on (byłem już wtedy prawie pewien, że to typowy przykład nihilizmu — pięknoduchowstwo to określenie mało trafne). Jak żyć to z rozmachem.

Jednego dnia ze szkoły nie zapomnę. Jeszcze w Komitecie nie bardzo dobrze chyba orientowano się w sytuacji, tak organizacja się szybko zawiązała, a już chyba w tydzień po mojej rozmowie z Bauerem dyrektorka Jasia wezwała mnie do siebie i powiedziała ściskając mi prawicę „Kolego Sowa, wasze zasługi są dla szkoły nieocenione". A więc „zasługi" — widzicie jak to ktoś czasem potrafi się trafnie wyrazić. Zrozumiałem, że dotychczas moje życie nie było zbyt produktywne. Zacząłem zastanawiać się nad zagadnieniem przydatności ludzi na tak zwanych wybitnych przywódców. Przecież nie trudno jest być wybitnym przywódcą. Może to być przywódca małej grupy (np. grupy szkolnej ZMS — cisnęło mi się na myśl), ale gdy jest wybitny to coś znaczy. Sama zaś jego klasa polega na tym, żeby stale był aktywny, wyczuwał wszystkie nastroje i nigdy nie zapominał, że jest przywódcą. Może to jeszcze nie jest dobrze sformułowane — żeby miał oczy i uszy otwarte, żeby dobrze reagował — no już więcej trudno mi dopowiedzieć — chciałbym określić jeszcze coś w rodzaju takiego poziomu — dowódca winien być „na poziomie" — wszyscy wiedzą o co mi chodzi.

Jeszcze do Bożego Narodzenia było w naszej szkole gwarno. Powstawała organizacja, wystąpiłem kilka razy na apelach szkolnych — to kosztowało mnie trochę zdrowia ze względu na grupę Matejki, którzy cały czas na apelu przeszkadzali mi celowo, ale potem i to się uspokoiło, przede wszystkim dlatego, że sam Matejko wiedział, że nie jestem takim typowym „przewodniczącym" czy „sekretarzem" — znał mnie kiedyś bliżej i kumplowaliśmy trochę, a zresztą co najwyżej, gdyby nawet posądzał mnie o brak polotu i wolnej myśli, musiał dojść do wniosku, że lepiej jak ja jestem sekretarzem niż miałby być kto inny.

Na początek, z wszystkich klas zapisało się około czterdziestu chłopaków i dziewcząt. Później jeszcze trochę przybywało, ale to już tylko sporadycznie, więc postanowiliśmy zorganizować wybory. Tak się złożyło, że ani Bauer ani Włodarczyk na nich nie

mogli być bo mieli jakąś egzekutywę, więc zwołaliśmy zebranie sami w jedną sobotę po piątej lekcji. Wtedy zauważyłem, że niepokojący procent członków to młodsze klasy, zdziwiłem się nawet jakim cudem dostały się do naszego grona takie wychudzone tumany jak Marysia Zięba z X b, na którą wszyscy lubiliśmy sobie krzyknąć gdy przechodziła korytarzem. I tu zaszła rzecz nieoczekiwana — zaraz po zagajeniu, zanim zdążyłem się zorientować przy podawaniu kandydatur, ta właśnie Marysia podała jako pierwszą jakąś dziewczynę, potem jeszcze ktoś podał dwie następne i dopiero wtedy ktoś wysunął moją. Zważywszy, że było to po piątej lekcji i każdemu się spieszyło, najwięcej głosów dostać mogło pierwsze nazwisko i ja mogłem odpaść. Obiektywnie nie było to nic strasznego, ale wtedy mnie to strasznie zaniepokoiło, musiało więc mi na tym zależeć. Kiedy zaczęliśmy głosować, faktycznie na tę pierwszą kandydatkę podnieśli ręce wszyscy z młodszych klas i Marysia podniecona zawołała: „No to wybieramy ją jednogłośnie". Fala ciepła zalała mi głowę, a nawet dziwiłem się skąd Marysia zna słowo „jednogłośnie" — byłem jednak bezsilny — zgoła nie wiedziałem jak na to zareagować. Dopiero Janusz zażegnał sytuację: „No, nie będziemy tak jednogłośnie" — powiedział wstając i policzył głosy. Wszyscy bali się go trochę, tak że przy liczeniu widziałem jak kilku schowało rękę. W efekcie i na następne dwie kandydatury głosowano ostrożniej, tak że choć nie dostałem wszystkich głosów, jak mi to wydawało się przed zebraniem, jednak tym I-szym sekretarzem grupy szkolnej zostałem.

Później zaczęły się piękne czasy. Byłem już oficjalną władzą wyłonioną w wyborach. Urosłem w znaczenie, ale ani na chwilę starałem się nie zapominać o swym powołaniu. Przez pierwsze kilka dni nic nie robiłem, aby całkowicie nasycić się samozadowoleniem, później zacząłem działać. O wszystkim meldowałem niezwłocznie w Komitecie i tam też zacząłem być znany. Ta pani, którą często bolała głowa, witała mnie zawsze słowami: „Kłaniam się, kłaniam się, niech towarzysz zaczeka". W Komitecie widzieli mój zapał i chyba uważali mnie za jednego z nieprzeciętnych sekretarzy. Przed samym Bożem Narodzeniem przyjechał do Bochni ten pan z Ka-Wu (Kom. Wojewódzki) i widziałem się z nim. (To był ten sam, który taki ciekawy referat wygłosił wtedy na konferencji, kiedy byłem tam jeszcze za sympatyka). Przywiózł nam kilka zaproszeń na obóz wypoczynkowo-szkoleniowy w góry. Miał on trwać od 27 grudnia do 5 stycznia. Jednakowoż w szkole jakoś nie znalazłem zbyt wielu chętnych, mimo że tłumaczyłem wszystkim, tak samo jak mnie ten towarzysz z Ka-Wu: „Do 27 grudnia wszyscy będą mieli czas pożegnać dom i ciocię, a resztę ferii spędzą na przyjemnym

obozie". Każdy jednak tłumaczył się mimo wszystko oporami w domu, że to święta jednak, że starzy nie chcą o tym słyszeć itp. Ja też w domu, chociaż „starzy" nie chcieli o tym słyszeć, powiedziałem, że to przymusowe, a u mnie w domu jak wiadomo, że coś jest przymusowe, to mowy nie ma żeby tego nie wykonać. W Komitecie nie powiedziałem nawet, że w końcu zorganizowałem tylko trzech chętnych razem ze mną (a czwarte zaproszenie jeszcze leży luzem), żeby nie psuć tak zawczasu wrażenia. Właściwie zauważyłem, że nawet później nie interesowali się tym. Włodarczyk powiedział tylko: „Jak już będziecie wyjeżdżać to umów się z chłopcami na dworcu, masz tu cztery bilety, bo ja w ten dzień na pewno będę zajęty, więc ty wszystko załatw, jesteś bystry". Mimo zdziwienia jego małym zainteresowaniem dla sprawy tak ważnej jak obóz, pochlebiło mi to, że zwrócił się do mnie przez „ty". Później już tak cały czas do mnie się zwracał, z wyjątkiem rozmów oficjalnych.

Obóz, to było coś co przemknęło jak chwila — tam nauczyłem się właściwie tańczyć. Był tam taki jeden, co uczył tańca i potańcówki były co wieczór. Podobała mi się obozowa moralność — pogadało się z dziewczynami, razem chodziliśmy na obiady (a wyżywienie było ho! ho! ho! — paluszki lizać, aż dziw bierze, że w zbiorowym żywieniu można tak gotować), no i te potańcówki. Wziąłem się za najgrubszą dziewczynę na obozie — może ktoś mnie źle zrozumieć „wziąłem się" to znaczy u nas to samo co „uwziąłem się" — chodziliśmy razem na „Cichy Don" (wyjście do kina było zbiorowe, ale siedzieć można było jak kto chciał, więc ja zawsze z Baśką), i spędzaliśmy długie godziny na rozmowach. Była trochę zmanierowana, ale dziewczyna-super, mimo swojej tuszy. Na wykładach też siedzieliśmy razem i często starałem się zabrać głos, ale czasem mi nie wyszło. Raz zapytałem na wykładzie o nowoczesnej młodzieży, czy nam na obozie wolno zadawać się z dziewczętami i trochę się zbłaźniłem. „Nie jesteśmy tu zakonem Kamedułów — bosych w dodatku — żebyśmy mieli jakieś nienaturalne ograniczenia — odpowiedział kierownik obozu, ale nie wiem co kolega rozumie pod słowem zadawać się z dziewczynami — oczywiście jeżeli kolega ma na myśli fakty natury nieokreślonej (tak to powiedział) to oczywiście takich rzeczy tolerować nie będziemy".

— Nie, ja tylko tak ogólnie — odpowiedziałem zaczerwieniony i później czułem się bardzo głupio, a Baśka jak gdzieś wychyliła się to zawsze zdobywała uznanie, nawet wtedy gdy kogoś „zgasiła". Raz na wykład o tolerancji religijnej przyjechał taki facet, którego wszyscy nie lubili, bo był strasznie nudny i kiedy już miał z nami przeszło półtorej godziny mowy, a lubił trochę zaciągać i przy jednym słowie powiedział sobie tak śpiew-

nie: „szy-kaaany stosowaaano" Baśka powiedziała: „O! szy-kaaany" tak samo śpiewnie i on szybko zrozumiał, że czas skończyć, a wszyscy nieomal błogosławili później Baśkę, choćby dlatego, że już do końca obozu tolerancję religijną wykładał nam kto inny.

Kierownictwo obozu zorganizowało nam pięknego Sylwestra był to mój pierwszy Sylwester, który spędzałem w gronie młodzieży. Byłby może najpiękniejszym Sylwestrem w moim życiu, tylko że Baśka mnie kiwnęła — po północy zaczęła się bawić z innym.

Pod koniec obozu zżyłem się z kierownikiem. Pomogłem mu nawet wykryć jedną sprawę — w sali dziewczęcej została nakryta jedna para w sytuacji dość kłopotliwej — wszyscy wyszli do kina, a jedna z dziewcząt wraz sąsiadem z mojej sali zostali na terenie budynku, mając oczywiście bilety. Sprawa wydała się dopiero po powrocie — akurat do tej sali weszła wychowawczyni i nawet jeszcze ona byłaby się nie domyśliła niczego, tylko jedna z dziewcząt sypnęła, że przecież wszystkie one wróciły z pierwszą grupą dziewcząt, a chłopcy z resztą kompanii pozostali jeszcze w drodze, więc jakim prawem Bolek (ten mój sąsiad) znajduje się tu w sali. On tłumaczył się, że niby to po książkę i ze stołu chciał zabrać nieopatrznie pozostawione tam bilety i wtedy wychowawczyni rozjaśniło się w głowie. Bilety zabrała i zameldowała kierownikowi. Bolek jednak był twardy i do niczego się nie przyznał — bolała go głowa, mówił, więc zażył proszki i nie poszedł do kina. Kiedy mu przeszło chciał trochę poczytać i chodząc po korytarzach spotkał tylko tę Władkę, z którą wszedł po książkę, a że było to właśnie wtedy, kiedy wszyscy wracali z kina — spotkała ich wychowawczyni.

Kierownik miał nieprzepartą chęć poznać całą sprawę i wzywał Bolka kilka razy do siebie. Bolek za każdym razem powtarzał tę samą wersję i był niewzruszony, a kierownik za każdym razem mówił: „My i tak wszystko wiemy". W sali jednak Bolek na drugi dzień wygadał się, a ja akurat byłem po południu u kierownika i byłbym może nawet nic nie powiedział, ale on tak jakoś ciekawie zagaił zaznaczając przy okazji, że i tak wie wszystko. Był poza tym człowiekiem tak sympatycznym, że kiedy mnie zapytał czy i ja wszystko wiem, odruchowo powiedziałem, że tak. Wówczas chciał się dowiedzieć po prostu mojej wersji i wówczas zebrał mnie strach, że może jednak kierownik nic nie wie a postępuje tylko jak każdy wychowawca i mówi, że wie. Jednak kiedy powiedziałem, że też wiem, nie mogłem się wycofać. Poprosiłem jeszcze tylko o chwilę namysłu i potem rozważyłem to. Postanowiłem po długim namyśle powiedzieć mu wszystko, i powiedziałem mu wszystko. Czekałem tylko czy

zapyta o ten „fakt natury nieokreślonej", który mógł zajść między Bolkiem a tą dziewczyną, ale nie spytał. Ja zaś, wiedząc, że fakt ten nie zaszedł, chciałem żeby on o to spytał, gdyż jednak chciałem Bolka ratować — tak sobie zresztą tłumaczyłem to, że w ogóle mówię coś kierownikowi. Postanowiłem potem Bolkowi dać cynk co ma mówić gdy kierownik wezwie go jeszcze raz i sprawa załatwiona. Wracając jednak do rozmowy z kierownikiem — nie spytał on o nic, więc ja nie wytrzymałem i spytałem: „Czy chodzi towarzyszowi też o fakty natury nieokreślonej? Otóż takie fakty nie zaszły".

— Nie, nie chcę o tym wiedzieć — odparł kierownik — ważne jest, że kolega wasz kłamał i że był w sypialni tej dziewczyny cały czas, a twierdzi, że tylko po książkę i to wtedy, kiedy wszyscy wracali z kina.

Kiedy próbowałem jednak zagaić Bolka okrężną drogą, żeby później wyklarować mu co ma mówić, powiedział mi: „Co cię to obchodzi, ja sobie dam radę". Głupio wyszło, bo powiedział to tak swobodnie, że nie śmiałem go więcej zagajać, bo by wyczuł, że w tym maczam palce. Zaraz potem wezwano go do kierownika. Wyszedł bardzo czerwony, ale się nie złamał — ciekawy człowiek — powtórzył kierownikowi jeszcze raz starą wersję, a kierownik mruknąwszy „my i tak wszystko wiemy" — powiedział mu tę wersję, którą ja mu opowiedziałem.

Kierownik zastanawiał się później nad wnioskiem do szkoły o usunięcie tej nieszczęśliwej pary, ale na ostatnią potańcówkę przyjechały jakieś grube ryby z województwa, niektórzy z nich tańczyli z dziewczyną Bolka i rozmawiali z nią i widocznie musieli kierownika udobruchać, bo wszystko się rozpłynęło.

Po powrocie z obozu miałem wrażeń do opowiadania na cały miesiąc. W Ka-Pe też było dobrze, nie wykryli nawet, że na ten ostatni darmowy bilet przemyciłem zupełnie niezorganizowanego Edka, który nawet kiedyś w poprawczaku siedział półtora roku, a pojechał tylko dlatego że nie miał gdzie spędzić świąt. W karnawale było kilka zebrań, a także kilka ciekawych zabaw i potańcówek w innych szkołach organizowanych przez ZMS, gdzie zawsze byli zapraszani Włodarczyk i Bauer i zabierali mnie z sobą. Włodarczyk to był bardzo wesoły człowiek i świetnie się umiał bawić, więc było klawo. Jak sobie lekko podpił (mieliśmy prywatny alkohol) to szedł tańczyć rocka z przewodniczącą (która była brzydka i siedziała cały czas) podśpiewując zawsze tak samo:

Lata ptaszek po ulicy, zbiera sobie ziarn pszenicy
Co uzbiera, dzióbkiem kole, a ja sobie rokenrol-le.

Nie przypuszczałem, że przewodniczący KP może być taki wesoły. Bauer też był znośny, ale jak czasami zabierał się jeszcze z nami przewodniczący Związku Młodzieży Wiejskiej, to już było nie tak różowo. Początkowo, kiedy byłem jeszcze w fazie poznawania różnych osobistości z KP cieszyłem się, że poznałem i jego, ale kiedy czasem z nami chodził na potańcówki, zacząłem się buntować. Był on wyjątkowo tępy i psuł nam towarzystwo. Żadna możliwsza dziewczyna nie chciała siedzieć przy naszym stoliku, bo on często lubił się zapić i musieliśmy go wynosić. Najgorsze było to, że upodobał sobie mnie i lubił ze mną dyskutować gdy był podchmielony. Jednak było to mało interesujące, bo stale mówił to samo: „Młodzież jest zawiedziona, czy ty też?" Jak już był pijany, nachylał mi się do ucha i mówił: „Młodzież jest zawiedziona, a t-y nie!" i puk mnie palcem w czoło — robił to właśnie tak obleśnie, że znienawidziłem go prawie.

Później trochę podpadł mi sam Włodarczyk, bo gdy kiedyś starałem się go zahaczyć o coś poważniejszego, dotyczącego ZMS, powiedział mi, że za dużo się przejmuję swoją rolą i że on radzi mi z doświadczenia, że w organizacji dobrze jest się wyróżniać, ale nie za dużo. Przemyślałem to później.

Po pewnym czasie jednak ta jakaś „prywatność" zaczęła mi się podobać. Słowa Bauera „jeszcze się nie wgryzł, przejmuje się bardzo, ale swój chłopok" — wtrąciły mnie w realizm. Pozwoliły mi dostrzegać człowieka w działaczu, a co najważniejsze (to przyszło na końcu) cenić samego siebie. Kiedy tak chodziłem, czasem w przystępie szczerości chciało mi się powiedzieć któremuś z nich: „Jak byśmy tak naprawdę chcieli to i Polskę moglibyśmy sprzedać", ale nie zrobiłem tego.

W szkole zacząłem się również cenić, a szczególnie w stosunku do dziewcząt wyraźnie stałem się hardy. Z chłopcami, owszem, utrzymywałem dawne przyjaźnie, ale dbałem aby od czasu do czasu nie zapominali, że jestem I-szym sekretarzem grupy szkolnej. Na wiosnę Bauer popchnął naprzód obiecaną kiedyś w gorącym okresie sprawę kursu motorowego. Zapłaciliśmy po 60 złotych plus 15 na opłatę urzędową i po dwu tygodniach kursu zdaliśmy egzaminy, a więc prawie jak za darmo, nigdzie taka okazja by się nie trafiła. Złożyliśmy się wprawdzie później jeszcze po dziesięć złotych na część artystyczną dla instruktora, który pytał z jazdy i dla porucznika milicji, który pytał z przepisów drogowych, ale to był wydatek podyktowany roztropnością, a wspominam o tym tylko dlatego, że zbiórkę organizował ten obleśny przewodniczący ZMW i podejrzewałem, że podczas załatwiania całej sprawy z egzaminatorami na pewno sam wypił najwięcej, a już nie wykluczone jest, że część funduszu zagarnął dla siebie.

◆

Tak przyszły wakacje. Pod koniec roku zrobiliśmy dwa zebrania i na ostatnim wytypowaliśmy sześciu najaktywniejszych członków na obóz wypoczynkowy ZMS-wski na szczeblu wojewódzkim i piętnastu również aktywnych na obóz szczebla powiatowego. Byłem oczywiście w tej pierwszej grupie, ale niestety zachorowałem i nie mogłem pojechać. Mało czego w życiu żałowałem tak jak tego obozu. Nie mogłem nawet słuchać wspomnień moich współtowarzyszy, ale trudno — tak się człowiekowi jakoś nie układało od pewnego czasu. Zresztą od tego lata począwszy zaczął się w moim życiu okres głębokiego pesymizmu. Wyszło akurat pechowe zarządzenie (zapomniałem o tym wspomnieć wcześniej), że nauka w Liceum Pedagogicznym trwać będzie pięć lat. Jednym takim zarządzeniem jakiś bęcwał wyciął takiej ilości młodzieży po jednym roku z życiorysu. Oczywiście mieliśmy to odpowiednio wytłumaczone, że dla podniesienia kwalifikacji, że dla rocznego zablokowania dużej ilości nauczycieli, ale co nam z tego, kiedy my traciliśmy rok. Co innego gdybyśmy byli przygotowani na wszystko wcześniej, a tu już każdy wybierał kierunek studiów i nagle pękła bomba.

W samej szkole cały rok każdy zdawał sobie sprawę z bezsensu zarządzenia: brak programów, ciągłe powtórki, nawet profesorów naszych to denerwowało — co niektóry narzekał na brak porządku i organizacji w państwie. Życie prywatne rozwaliło się jakoś — odpadła masa równych dziewcząt i chłopców pozostając w IV klasie — to zresztą też chyba wina niemądrej ustawy, gdyż w razie gdyby jeszcze to się nie stało, to do matury każdy z tych słabszych byłby dopuszczony, a jakby był dopuszczony to by i zdał, bo już do matury każdy się więcej uczy niż trzeba, a tak to został w IV klasie no i w tym układzie stracił dwa lata.

W mojej organizacji wszystko to odbiło się natychmiast — a co najgorsze straciłem całkowicie zapał do wszystkiego. Mało tego — coraz więcej rzeczy zaczęło mnie irytować. Na stanowisku sekretarza utrzymałem się, ale tylko samą marką i wiedziałem dobrze, że to już nie to samo co kiedyś. Jedynie Bauer i Włodarczyk nie zmienili się, tyle tylko, że już rzadziej zapraszali mnie na obiad, czy na jakiś jubel.

Szczerze mówiąc, w organizacji nie działo się nic a nic. Co miesiąc odbywało się tylko jedno zebranie na piątej lekcji i to

wszystko. Gdzieś późną jesienią Włodarczyk dał mi znać żebym z kilkoma światlejszymi członkami organizacji zapisał się na Wu-eS-A — czyli Wieczorową Szkołę Aktywu. Każdy przeważnie aktywista ma już u nas w obecnej dobie ukończoną Wu-eS-A, albo jeszcze jakąś inną szkołę aktywu, więc zapisaliśmy się i my. Na takim WSA były różne wykłady światopoglądowe, informacyjne, polityczne, a nawet było kilka wykładów w charakterze podwalin pod dynamicznie u nas rozwijającą się naukę, jaką jest religioznawstwo. Prócz tego sporo spraw organizacyjnych — a ta wiedza każdemu bardzo jest potrzebna. Siedziało nas zawsze na takim wieczorowym wykładzie około dwudziestu osób — aktywistów z wszystkich szkół (zaprzyjaźniłem się wtedy z Mańką z Technikum mięsnego — siedziała ze mną w ławce), oraz tyle samo aktywu spomiędzy młodzieży robotniczej, w tym kilku takich już starszych co na ZMS-owców nie wyglądali, ale na wykłady chodzili. Kierownikiem tej szkoły wieczorowej był jakiś jeden z Ka-Pe, nic nie wykładał (wykładali tylko na zmianę: komendant milicji, mecenas Wcisło i Włodarczyk), a jedynie rozpoczynał pierwszy wykład krótką przemową i później siedział do końca na sali. Od czasu do czasu odwracał się do tyłu (siedział w pierwszej ławce) i kiwając głową mówił do zebranych: „Ciekawe sprawy". Szkoła trwała zdaje się równe trzy miesiące — do końca stycznia. Jak nam wypisali świadectwa to zakończył się okres mojej działalności. Przyszła Wielkanoc, a już o tej porze należało pomyśleć cośkolwiek o maturze — nic w tym dziwnego, wszyscy tak zrobili.

Ze szkoły dostałem piękną opinię i wysłałem papiery do Studium Nauczycielskiego w Ostrowcu Świętokrzyskim. Wydawało mi się, że trafię na jakieś możliwe środowisko. Boże drogi! — żebym to był przypuszczał, że tak wpadnę — co za towarzystwo. Całe dwa lata prawie dyskutowali wszyscy nad tym, czy po podwyżce płac dostawać będą 1200 zł, czy 1250 zł — niech ich świnia powącha.

Aż trudno uwierzyć jak wiele „lewizny" kształci się teraz we współczesnych szkołach. Z roku na rok młodzież staje się coraz bardziej wyrodzona. Jest szczególnie duży procent takich ludzi-kryzysów, z którymi nigdy nic nie da się zrobić i nigdy nie wiadomo po co oni właściwie żyją. Z mojej szkoły wyszedłem jako „człowiek obdarzony zmysłem organizacyjnym", ale okazało się, że wszyscy moi sąsiedzi ze Studium byli w swoich szkołach „ludźmi obdarzonymi zmysłem organizacyjnym", w tym wielu takich, którzy posiadali „wybitne zdolności organizacyjne". Ciekawiło mnie to w jaki sposób oni faktycznie byli tymi organizatorami. A na ostatnim roku w szkole ja też właściwie nic nie robiłem, więc? Jedną z okoliczności najbardziej niesympatycznych było to, że na Studium chodziło wielu też starszych, doświadczonych cwaniaków, uciekających na przykład przed wojskiem i znających się na życiu, więc moje nieśmiałe marzenia, że i tu będę mógł coś pokazać, mocno się zachwiały. Zresztą w towarzystwie takich seniorów niebezpiecznie było za wiele przebywać, bo przy lada potknięciu gasili: „Co ty tam wiesz, szczeniaku". ZMS istniał tu oczywiście, nawet procent członków był o wiele większy jak w Liceum — przeważnie na każdą klasę (nazwijmy tak dla uproszczenia nasze grupy) tylko kilku nie należało, a reszta to ZMS-owcy, ale to już nie była ta pełna zapału młodzieńczego organizacja co w Bochni. Tam byliśmy, my ZMS-owcy mniej lub bardziej udanymi pionierami, a tu była zbieranina, gdzie tak jak ja na pewno każdy w duchu myślał sobie, że coś tu jeszcze zaszumi. Ponadto każdemu niewątpliwie zależało na tym, żeby się przed zakończeniem studiów jakoś wyróżnić — zawsze to inne perspektywy na przyszłość. Dało się to już zauważyć w drugim miesiącu roku szkolnego, kiedy zaczęły chodzić słuchy, że będzie pierwsze zebranie. Koło wszystkiego kręcił się niejaki Władek Szafraniec, krótko zwany Szafą. Zawarł kilka znajomości ze starszymi kumplami z drugiego roku i musiał się dowiedzieć, że I-szy sekretarz w naszym Studium co roku w listopadzie przekazuje władzę koledze z I-szego roku, gdyż cała nauka trwa tylko dwa lata, a drugoroczniacy mają na głowach egzaminy, więc sekretarzowanie musi być przekazywane rok rocznie. Powstała niebezpieczna sytuacja — pomyślałem sobie — jeżeli teraz mnie nie wybiorą, to na drugim roku nie ma o czym marzyć i już w tej uczelni zabłysnąć nie zdążę. Tak samo jednak musiał też pomyśleć Szafa, tylko że on zastosował chwyt poniżej pasa — na pierwszym zebraniu (które nawiasem było tak długie, że już pod koniec wszyscy byli zupełnie zmęczeni), zaraz po zakończeniu referatu i sprawozdaniu ustępującego sekretarza, wstał Makowski, kolega Szafy, i podał jego kandydaturę, po czym wstał Szafa i podał kandydaturę Makowskiego, później podano jeszcze kilka kandydatur, no i oczywiście zamknięto listę. Mojej kandydatury w ogóle nie podano. Powinienem był pomyśleć — o tym kto poda moją kandydaturę i to dostatecznie wcześnie, bo już raz miałem nauczkę kiedy byłem czwarty na liście i mimo, że znała mnie nieomal cała szkoła o mały włos byłbym nie wybrany. Tu zresztą kolejność na liście odgrywała większą rolę, bo wszyscy mało się znali no i byli zmęczeni, więc głosowali jak popadnie — pierwszy zawsze w takich wypadkach dostaje najwięcej głosów. To zebranie było rodzajem pewnego przełomu w moim życiu. Doszedłem do wniosku, że

życie sprawiło mi psikusa, a przecież można się było przed tym zabezpieczyć, widocznie byłem jeszcze naówczas zbyt naiwny. Zacząłem więc pracować, żeby naprawić swój błąd. Wtedy poznałem Maćka — to był właśnie jeden z tych starszych cwaniaków, tylko wyjątkowo przystępny — i on rzucił mi na całą sprawę zupełnie inne światło. Kiedy dowiedział się jaką przeżywam rozterkę parsknął mi w twarz: „Czego ty żałujesz, głuptasie, przecież ZMS przeradza się z powrotem w ZMP. Ja to bym nie chciał być sekretarzem choćby mnie siłą zmuszali, czy nie ma przyjemniejszych rzeczy do roboty? Jest Związek Studentów Polskich, przyjemniejsza organizacja, przynajmniej nie jest na niczyich usługach". Faktycznie, ta organizacja żyła na terenie naszego Studium, tylko była jakaś taka drętwa, bo właściwie to organizacja dla regularnych studentów a nie ze Studium Nauczycielskiego i prócz tego w takim Ostrowcu nie ma żadnego uniwersytetu, więc ani to kontaktu z innym środowiskiem, ani nic, zresztą cóż się dziwić — w tym mieście cztery ulice na krzyż, jedna kawiarnia młodzieżowa i to wszystko. Czasem to wolałbym już Bochnię. Jednakowoż genialna myśl zaświtała mi kiedyś w internacie — ja poruszę ZSP w Ostrowcu Świętokrzyskim, może będziemy nawet znani w Polsce — w takim małym ośrodku są możliwości dla wybitnych jednostek. Odłożyłem trochę naukę na bok i zapisałem się do ZSP. Najpierw zorganizowaliśmy kilka wypadów o charakterze turystycznym, połączonych z tzw. ogniskami — było bardzo klawo, tylko, że zima się zbliżała i na dalszą metę było to nierealne. Na jednym posiedzeniu naszego szczupłego grona padł projekt zorganizowania DKF, ale ponieważ Dyskusyjny Klub Filmowy wymaga prawdziwego prelegenta i możliwy jest tylko w większym ośrodku, stworzyliśmy coś innego — KDOF — Klub Dyskusji o Filmach. To było początkowo świetne — wprawdzie w mieście są tylko dwa kina, ale jak grali lepszy film robiliśmy wyjście zbiorowe i dyskusję po zakończeniu. W całym internacie rozbudziły się zainteresowania filmowe. Na tablicy ogłoszeń w internacie coraz częściej pojawiała się kartka informująca o następnej imprezie, podpisana moim nazwiskiem. Nie wystarczało mi to jednak, gdyż chodziło o sprawy bardziej twórcze — wtedy ujawnił się Maciek — jak się okazało była to bogata i skomplikowana natura — zaproponował utworzenie czegoś w rodzaju kółka artystycznego, które kiedyś mogłoby przerodzić się w rodzaj estrady studenckiej na wzór różnych STS-ów czy Bim-Bomów. Okazało się, że ten człowiek miał niesamowitą łatwość pisania tekstów i faktycznie napisał nam kilka ładnych piosenek. Pierwsze przedstawienie przygotowaliśmy bardzo starannie i w karnawale daliśmy występ, który musiał być trzy razy powtarzany (w Ostrowcu to rzecz niebywała). W tych to

czasach nabrałem wielkiego znaczenia. W wyborach do szumnie nazywanej Rady Uczelnianej zostałem wybrany na przewodniczącego. Wiedziałem o tym, że Szafa już od pewnego czasu zaczyna coś na mnie uważać. Jak nie trudno zauważyć, nie lubiliśmy się z Szafą, szkoda, że nie doceniałem jego samego — powinienem się był domyśleć, że w sytuacji kiedy on prowadził jedynie nudne zebrania i co najwyżej delegował kilku na Wieczorową Szkołę Aktywu, która nawiasem mówiąc w Ostrowcu była gorsza niż kiedyś w Bochni, ja ze swoją ZSP odciągałem mu członków do pracy rozrywkowej, a poza tym sam jeszcze byłem ZMS-owcem, więc jeżeli cały splendor zamiast spadać na ZMS przypada dla ZSP, on to będzie się starał jakoś załatwić.

Na drugim roku nadarzyła się taka okazja — nie wiedziałem nawet, że będzie ona moją klęską. W internacie wszyscy zastrajkowaliśmy przeciwko nieżyciowemu regulaminowi, który ograniczał nam swobodę i za każdym razem musieliśmy chodzić do dyrektora jeżeli zaszło jakieś nieporozumienie z kierownikiem internatu. Kierownik internatu był szują, to pewne, ale dyrektor obiecywał nam coś załatwić i kiedy widzieliśmy, że nic nie działa, jednego dnia nie wyszliśmy na wykłady. Na drugiej godzinie, kiedy już wszyscy wiedzieli, że to strajk, ktoś musiał iść do dyrekcji z pertraktacjami — wtedy wytypowano mnie, jako działacza społecznego. Poszłem do dyra i zreferowałem całą sprawę — jednak było chyba trochę za wcześnie bo dyro wcale się strajku nie zląkł i powiedział mi: „Strajkujcie sobie dalej". Wówczas ja zastanowiłem się nad wszystkim i doszłem do wniosku, że niełądnie będzie wracać z niczym, a poza tym chciałem jakoś praktycznie wykorzystać swój autorytet i powiedziałem: „Dobrze, będziemy strajkować dalej, ale później wymagania wzrosną". Wtedy dyrektor objechał mnie nieprzeciętnie, ale i ja byłem podniecony i uniosłem się. Niby nie powiedziałem nic niewłaściwego, ale między innymi wyraziłem się: „Co wy sobie myślicie? Pruski rygor tu chcecie wprowadzić?" Gdy wyszłem, po godzinie strajk trwał jeszcze. Następny na pertraktacje poszedł Szafa i rzeczywiście dyrektor zgodził się na pewne ustępstwa, ale zarządził Radę Pedagogiczną w sprawie mojej w stosunku do niego niesubordynacji. Rada była wyjątkowa — bronili mnie prawie wszyscy, poza kierownikiem internatu. Szczególnie wicedyrektor potrafił przekonać salę, że przemawiałem w imieniu wszystkich, a w takich chwilach każdy młody człowiek daje się ponieść jakiemuś duchowi rewolucyjnemu, że nie można tak jak w okresie błędów i wypaczeń karać jednostkę za to, że występowała w imieniu grupy, która chciała jakichś tam ustępstw, tym bardziej, że ustępstwa zostały poczynione, a więc musiały być mniej więcej słuszne. (Rada była oczywiście tajna, ale my i tak wiedzieliśmy

wszystko, bo jeden nasz kolega, który już był po wojsku, chodził z profesorką). Wezwano mnie na Radę — okazałem całkowitą skruchę, a dyrektor przekazał sprawę Sądowi Koleżeńskiemu, gdyż występowałem w imieniu kolegów, więc oni będą najlepiej wiedzieć jaka należy mi się kara. Sąd Koleżeński ZMS-u dziwnym trafem wymyślił dla mnie usunięcie z szeregów ZMS. Z perspektywy czasu widzę, że to właściwie nic takiego wielkiego, ale wtedy miało to dla mnie wielkie znaczenie — byłem pewny, że później na pewno nie zdam egzaminów i pójdę na dwa lata do wojska. Prezesem Sądu był oczywiście ten kumpel Szafy, który kiedyś podał jego kandydaturę. Szafa musiał go napuścić co ma mówić, gdyż Sąd przychylił się to tego wniosku. Podobno Sąd był zdania, że człowiek, który nie potrafi właściwie rozmawiać z władzą nie nadaje się do organizacji. Mnie osobiście wydaje się, że to musiały też poprzeć te dziewczyny z sądu koleżeńskiego — akurat im kiedyś, nie przewidując przyszłości, przygadałem: „Łapcie dziewuchy zawczasu mężów, bo jak wam za rok odbiorą legitymacje studenckie to w jaki sposób udowodnicie, że byłyście studentkami?" Zemściły się bestie.

Gdybym wtedy przy pierwszych wyborach do ZMS-u zakwestionował kandydaturę Szafy i jego satelity, jako podane w sposób niedemokratyczny, to Szafa dziś nie byłby sekretarzem, a jego kompan prezesem sądu, a przede wszystkim baliby się mnie i na pewno takby się to wszystko nie skończyło. Nie zdążyłem się już zrehabilitować. Co najgorsze, nasze kółko artystyczne nie przerodziło się w estradę studencką, bo jedna para naszych artystów została „nakryta" przez wychowawcę za sceną, podobno w trakcie przygotowań do „faktu natury nieokreślonej". Było to już oczywiście po próbie i ja ani Maciek nie byliśmy w najmniejszym stopniu za to odpowiedzialni, ale kółko ze względów moralnych trzeba było rozwiązać. Wtedy ja przygasłem jeszcze bardziej, Maciek natomiast starając się utrzymać jeszcze jakoś to wszystko, zorganizował najprawdziwszą grupę poetycką. Działanie w grupie pobudziło jeszcze raz nasze umysły i wszyscy, choć przedtem z poezją niewiele mieliśmy wspólnego, zaczęliśmy pisać. Zresztą nie było to nawet wcale takie trudne — poezja nowoczesna nie potrzebuje ani rymu ani rytmu, tylko musi być doprowadzona do maksymalnej ekspresji przy pomocy skromnych środków. Pod wpływem spojrzeń Szafy, który widząc moją ostatnią porażkę przymykał oczy i uśmiechał się znacząco, postanowiłem jeszcze raz dokonać jakiegoś szaleńczego już nie przedsięwzięcia, ale zrywu, żeby udowodnić wszystkim, że nie czuję się jeszcze pokonany. Napisałem wtedy wiersz nowoczesny, który odczytałem naszej grupie:

Jeżeli kiedyś
Pozwoliłem sobie zaistnieć
To teraz
Nie wykończy mnie
Lada patałach

Musi najpierw
Po społu z drugimi patałachami
Zdjąć mnie
Z piedestału —

Tak jak ze ścian się
Zdejmuje
Przedawnione portrety.

Podobał się, ale tylko ze względu na formę — że każda zwrotka było o jeden wiersz krótsza, a to coś symbolizowało. Jednak kilku było zdania, że są tam różne niebezpieczne akcenty i po pewnym czasie wszyscy odłączyli się od naszej grupy. Pozostaliśmy tylko my z Maćkiem. Zresztą wkrótce nadeszły nowe emocje. Zastanawiałem się nawet, czy warto przygotowywać się do egzaminów — przecież i tak mnie utrącą. W końcu na wszelki wypadek postanowiłem jednak poduczyć się co nieco. I rzeczywiście — zdałem. Jednak teraz to już nie to co kiedyś — jest jakiś obiektywizm. A może ten mój występ u Dyra nie był taki straszny?

◆

Teraz już trzeci rok jestem nauczycielem i od tamtych czasów wiele się zmieniło. Pracowałem najpierw w Skawinie, a potem przerzucili mnie na wieś koło Nowego Sącza. Czasem, szczególnie w okresie letnim, przyjeżdżam do Bochni, ale już rzadko udaje mi się widzieć z moimi kolegami. Przeważnie pokończyli studia i pracują gdzieś w dalekim świecie, albo dopiero je kończą, ci najbardziej opóźnieni. Nie lubię z nimi specjalnie rozmawiać, bo albo wyrażają zdanie, że zawód nauczyciela jest nędzny i nic nie daje, albo zadzierają nosa. Szczególnie zraziłem się do starej gwardii od czasu kiedy Matejko nie poznał mnie w pociągu. Za to o wiele przyjemniej jest spotkać któregoś z tych szarych niegdyś uczniów, dowiedzieć się co słychać z resztą.

No i tak starsza siostra Skrzypkówna (ta, która zaczęła łysieć) jest kierowniczką szkoły w Gawłówku, niedaleko Bochni. Druga prawdopodobnie uczy w Kłaju. Mój sąsiad z którym siedziałem w ławce rzucił zawód nauczyciela i teraz pracuje w mi-

licji ludowej. Jest już plutonowym, z czasem zapewne awansuje wyżej. To tyle z naszej gwardii ZMS-owskiej, jak zdążyłem się dowiedzieć. Co do reszty, to słyszałem jeszcze o Jance — tej takiej bezczelnej — że już zeszła całkowicie na lewe tory pod wpływem złego towarzystwa; znaczy krótko mówiąc, skurwiła się. Jeszcze ze dwa lata po szkole obijała się po Bochni, a później wyjechała na Śląsk i wyszła za wysokiego wojskowego. Zosia Rojek natomiast, ta którą wujek wspomagał finansowo, wyrobiła sobie paszport i wyjechała z kraju. Mieszka teraz w Stanach. Ma własny samochód.

Paweł SOWA

PACZKI BEZ CŁA - PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI

$ = 72 zł. £ = 201 zł.

PRZEDSTAWICIELSTWO
BANKU P.K.O.

Tel: FRE. 7888

HASKOBA LTD
81 CROMWELL Rd., LONDON S.W. 7

BIURO PODRÓŻY: ANGLOPOL TRAVEL Ltd.
38 Thurloe Place, LONDON S.W. 7 Tel. KEN 3223

Archiwum polityczne

Koń przed wozem

Ubiegłego lata odwiedziło mnie sporo osób z kraju w tym garść młodych ludzi poniżej lat 25. Dokonałem zdumiewającego odkrycia. Owym młodzieńcom należałoby nieco przyciąć włosy i po tej operacji torpedą czasu można by ich spokojnie przewieźć w lata 20-te bieżącego stulecia. Są tak samo piękno-duchowscy i literaccy jak ich poprzednicy. Podobieństwa są wręcz niepokojące. Młodzież humanistyczna pochodzenia inteligenckiego stanowi kopię generacji poprzedniej.

Młody technolog pochodzenia robotniczego, który o „Zaczarowanym Guciu" nigdy nie słyszał, a na wzmiankę o Gombrowiczu wzruszył ramionami — gdy mu opowiedziałem o rozmowach z młodymi humanistami zauważył: „Urodzili się na śmietniku historii, wychowali się i uformowali na śmietniku historii i tam dokonają swego żywota".

Mogłoby się wydawać, że i pod tym względem nic się nie zmieniło. Moi koledzy na uniwersytecie pochodzący z rodzin chłopskich i robotniczych — byli śmiertelnie serio. Nędza jest rzeczą serio. Lecz dziś poza ową rzeczowością i realizmem młodzi inteligenci chłopsko-robotniczego pochodzenia — wykazują pewność siebie i apetyt władzy, co stanowi nowy rys charakterystyczny.

Jeden z młodych humanistów (inteligent z dziada-pradziada) na wzmiankę o Kuroniu wybuchnął: „trzeba być takim Kuroniem, żeby po tylu latach i po tylu doświadczeniach próbować jeszcze raz!"

Jeżeli dziś w Polsce gorzej jest pod wieloma względami niż na Węgrzech, w Czechosłowacji czy nawet w Rumunii — to w pewnej mierze jest to po-klęskowy efekt spowodowany utratą pokolenia. Najwartościowsi reprezentanci swojej klasy, którzy polegli w akcjach AK i w Powstaniu Warszawskim w wieku 20-25 lat — tworzyliby dziś wielotysięczną kadrę dojrzałych ludzi pomiędzy 40 a 45 rokiem życia. Ocalał element najmniej ideowy,

oportunistyczny, karierowiczowski. Stalin skazując to pokolenie na śmierć oddał Gomułce i jego partyjnej administracji niewymierną usługę. Osobiście jestem przekonany, że Październik miałby w Polsce zupełnie inny przebieg gdyby tego pokolenia wówczas nie brakło.

Młodzi humaniści pochodzenia inteligenckiego przypominają do złudzenia swoich ojców z lat 20-tych ponieważ sytuacja była wówczas podobna. Nikt z nas nie był w Legionach, a rządzili nami panowie z „wojennymi" maturami z awansu legionowego. Nikt z nas nie wierzył w możliwość jakiejkolwiek zmiany i daleko bardziej interesował nas „Skamander", „Wiadomości Literackie" i nowinki z Zachodu — niż naprawa Rzeczypospolitej.

Cechą po-szlacheckiej kultury był nie humanizm lecz humanistyczność — tzn. indywidualistyczne zainteresowanie sztuką — poezją, literaturą, malarstwem. W przedwojennym Krakowie jeżeli ktoś chciał być inteligentem nie mógł być tylko lekarzem czy tylko adwokatem. By w pełni należeć do klasy inteligencji trzeba było interesować się sztuką, kolekcjonować obrazy, prenumerować periodyki literackie, bywać w teatrze i td. Poczekalnie lekarzy krakowskich, salony notariuszy czy adwokatów zawieszone były od góry do dołu Wyspiańskimi, Fałatami, Malczewskimi i stanowiły swego rodzaju prywatne muzea.

To nie była tylko moda krakowska. W domach inteligenckich na zapadłej prowincji widywałem biblioteki kolekcjonowane latami, które mogłyby wprawić w zdumienie socjologa angielskiego czy amerykańskiego. Nie było kanalizacji, wody bieżącej, elektryczności — lecz na półkach stały tomy Dickensa w oryginale obok pięknych wydań francuskich i polskich. Nikogo nie raził ów zdumiewający kontrast pomiędzy prymitywizmem kultury materialnej a wysokim poziomem kultury duchownej. Łazienka czy kanalizacja nie świadczyły o niczym — nie miały nawet wartości „status symbol" jak dziś samochód.

Ci sami lekarze, prawnicy czy urzędnicy, którzy wykazywali wysoki poziom humanistyczny — byli przeważnie politycznymi analfabetami. Nigdy nie byłem konserwatystą, lecz po dwu dziesiątkach lat spędzonych w Anglii — choć nie stałem się konserwatystą — w pełni doceniam konserwatyzm brytyjski.

Polska szlachta i jej spadkobierczyni inteligencja nie wytworzyły żadnej doktryny konserwatywnej. Ziemiaństwo w okresie 2-giej Rzeczypospolitej w większości było zwyczajnie reakcyjne, stąd w Polsce konserwatyzm identyfikuje się z wstecznictwem i reakcyjnością. Konserwatyści gdyby reprezentowali rozum, plan i siłę — mieliby szansę ułożenia stosunków z Rosją w innej płaszczyźnie zaoszczędzając nam serii katastrof, które w roku 1939 zakończyła się super-klęską.

Utrata bazy, tzn. własnej państwowości, doprowadziła do elefantiasis nadbudowy. Produkowaliśmy znakomitych pisarzy od Mickiewicza po Żeromskiego — mieliśmy legion Chrzanowskich, Kleinerów, Konopczyńskich i Pigoniów lecz tylko jednego Romana Dmowskiego. Piłsudski był zwycięskim wodzem, lecz nie był twórcą doktryny politycznej. Nigdzie na świecie nie sprawują rządów intelektualiści, profesorowie uniwersytetów czy pisarze. W Anglii jednak trzeba by długo szukać inteligenta, który intelektualnie mógłby sprostować prem. Wilsonowi. To jest człowiek akademicko świetnie wykształcony, oczytany i zorientowany. Przeciętny inteligent brytyjski może się ze swoim premierem zgadzać lub nie zgadzać — nie ma jednak żadnych podstaw do przypuszczeń, że rządzą nim głupsi od niego. Podobnie prezydenci Johnson a przed nim Kennedy — górują nad przeciętnym inteligentem amerykańskim wykształceniem, doświadczeniem, myślowym horyzontem.

W Polsce natomiast od czasu upadku 1-szej Rzeczypospolitej — rządzący (z nielicznymi wyjątkami) wykazują niewspółmiernie niższy poziom od rządzonych. W Polsce Ludowej ów stan rzeczy doprowadzono do nienotowanej uprzednio doskonałości. Tłumami zachłannie czytających, oświeconych, wykształconych inteligentów — od 20 lat rządzi grupa niedouków i kulturalnych półanalfabetów.

Owo typowe dla inteligentów pogardliwe odwracanie się od polityki maskuje całkowitą bezradność. Ponieważ socjologia jest w modzie, co trzeci młody człowiek studiuje socjologię. Za kilka lat będziemy mieli tysiące magistrów i doktorów socjologii i równocześnie najbardziej nieudolne rządy i zacofane instytucje socjalne w całej Europie. To samo dotyczy spraw gospodarczych. W Polsce roi się od młodych dyplomowanych ekonomistów, planistów, statystyków — lecz zdobycie kawałka kiełbasy jest ciągle problemem.

Stosunek inteligentów polskich do demokracji wart jest szczegółowego opracowania. Wszyscy są za demokracją lecz równocześnie znaczny procent nie wierzy w ewolucję. Dzieje demokracji w Anglii czy w Stanach Zjednoczonych nie są tajemnicą. Wiadomo powszechnie, że demokracja nigdzie nie została zadekretowana ani narzucona z zewnątrz lecz przeciwnie ewoluowała stopniowo pod naporem rządzonych a nie rządzących. W wielu wypadkach bardzo trudno jest przekonać Polaków krajowych, że obalenie systemu komunistycznego bynajmniej nie gwarantuje rozkwitu swobód demokratycznych. W okresie dwudziestolecia niepodległości komuniści nie sprawowali władzy, lecz — jak wiemy — z demokracją bywało bardzo rozmaicie. Ci, którzy sądzą, że w obecnych warunkach nie jest rzeczą możliwą pracować w kierunku ewolucyjnych przemian — winni sobie uświadomić, że w okresie po-komunistycznym, być może, w Polsce będzie jeszcze trudniej walczyć o demokrację niż dzisiaj. Propaganda antykomunistyczna ugruntowała w wielu ludziach najfałszywsze w świecie przekonanie, że wystarczy obalić komunizm, by objawiła się demokracja. Demokracja nigdzie się nie objawia tylko wszędzie i zawsze trzeba ją mozolnie i uporczywie wywalczać a ci, którzy rezygnują z walki i z naporu rządzeni są niedemokratycznie i to niezawsze przez komunistów.

Młodzi inteligenci krajowi — którym Kuroń i Modzelewski

wydają się naiwniakami — są w gruncie rzeczy późnymi wnukami inteligenckiego romantyzmu, choć zapewne nie chcieliby się przyznać do tej paranteli.

Autentyczni inteligenci przedwojenni ze szkoły romantycznej — przechowani w rezerwacie emigracyjnym — zwalczają również Kuronia, Modzelewskiego, ewolucjonizm, rewizjonizm i wszystko co zmierza do naprawy ustroju.

W Londyńskim „Tygodniu Polskim" z dnia 11 września br. ukazał się artykuł pióra dr. Stefana Mękarskiego pt. „Stawka na Rewizjonizm?"

W zakończeniu dłuższego wywodu dr Mękarski pisze m. in.:

> „Nie należy przeoczyć, że w sporach z górą PZPR studenci marksistowsko-leninowscy i literaci partyjni lub prokumunistyczni reprezentują często element ideowy i etyczny. Martwi ich tępota i totalitaryzm partii. Chcieliby ją — choć to wygląda na kwadraturę koła — zdemokratyzować w ramach doktryny i narzuconego z zewnątrz systemu i uczynić formacją ogólno-narodową. Reprezentują w ten sposób model komunizmu najniebezpieczniejszy. Chociaż bowiem w zagadnieniach najistotniejszych, a więc w sprawie niepodległości i zależności od Rosji, model ten nie domaga się żadnej rewizji, to jednak rzetelnością swych pobudek w innych sprawach rozbraja, znieczula, zaprasza do kompromisu i oportunizmu, zakłamanego, bo wspartego na motywacji o charakterze ideologicznym".

Istnieje ścisła analogia pomiędzy młodymi inteligentami krajowymi, którzy odrzucają metodę ewolucyjną a „niezłomnymi" inteligentami na emigracji. Pierwsi sądzą, że zdemokratyzowanie ustroju poprzedzić musi upadek komunizmu — drudzy wierzą, że zdobycie niepodległości poprzedzić musi upadek komunizmu. Ani pierwsi ani drudzy nie mają żadnej recepty na obalenie ustroju komunistycznego. Tak jedni jak i drudzy reprezentują klasyczny inteligencki patriotyzm, którego gramatyka składa się tylko z dwóch czasów: czasu przeszłego i czasu przyszłego. Ponieważ trybem działania politycznego jest zawsze czas teraźniejszy — tradycyjna postawa inteligencka jest *de facto* rezygnacją z działalności politycznej.

Na pewnej wyspie na morzach południowych mieszkańcy hołdują religii, którą antropologowie amerykańscy nazwali „Cargo Myth". Istotą owego mitu jest wiara, że kiedyś do zagubionej wysepki przybije statek a biali ludzie wyładują zdumiewające *cargo* w postaci perkalu, konserw i innych pożądanych towarów. Wówczas nastąpi era absolutnej i sytej szczęśliwości.

Polska inteligencja w znacznym procencie hołduje również swoistemu *cargo myth*. Wierzymy (i czekamy), że „coś" się stanie — wojna, bankructwo komunizmu, rozkład Związku Sowieckiego — i nagle okręt wielkiej odmiany przybije do polskiego brzegu. Wówczas będziemy niepodlegli, suwerenni, wolni, demokratyczni, a może nawet mocarstwowi.

Dziś natomiast młodzi panowie oczytani w „Zaczarowanym Guciu" i w „Kosmosie"— sypiący jak z rękawa nazwiskami

autorów francuskich, angielskich i amerykańskich — uważają za rzecz najnaturalniejszą w świecie, że rządzą nimi w dziedzinie kultury tępaki nie odróżniające Gombrowicza od Michała Anioła.

Weźmy inny przykład. Pewien dziennikarz krajowy, mówiący dobrze po angielsku, pilotował po Warszawie znajomych Szkotów, których znał z czasów wojny. „Paliłem się ze wstydu" — opowiadał mi, bo w jakimś lokalu podwarszawskim nie było wygódki. A raczej była wygódka lecz w takim stanie, że jego znajoma Szkotka nie mogła z niej skorzystać. „Po 20 latach jeszcze ciągle nie jesteśmy Europą" — zawyrokował mój znajomy dziennikarz z najszczerszym patetyzmem.

Lecz ten sam dziennikarz nie widzi żadnej przepaści pomiędzy Europą a warszawskim pismem któremu służy. Nie zdaje sobie sprawy, że cenzura, zamordyzm, gomułkizm są daleko istotniejszym powodem do palenia się ze wstydu, niż nieszczęsne polskie „sławojki".

Lecz Europą w polskim wydaniu jesteśmy tylko my — inteligenci obczytani i oblatani, snobujący się wszystkim co zachodnie. Raz rządzą nami Austriacy i Rosjanie, innym razem sanacja, a kiedy indziej Gomułka i komuniści. Zawsze jest ów podział na „my" i „oni". My przywodzimy a „oni" rządzą nami jak stadem baranów.

Gdyby druga Rzeczypospolita istniała 50 lat dłużej — inteligencja polska przemieniłaby się w prawdziwą *middle class*. W ostatnim dziesięcioleciu Polski niepodległej ewolucja w tym kierunku była wyraźnie zarysowana. Komunizm uniemożliwił inteligencji przekształcenie się w nowoczesną *middle class*, która winna dostarczać przywódców politycznych, menadżerów przemysłowych, administratorów w służbie państwowej itp.

Slogan i zasada „nie matura lecz chęć szczera" w Polsce Gomułki obowiązuje nadal w całej rozciągłości. Z jakich warstw społecznych rekrutują się w PRL menadżerowie przemysłowi? Rewelacyjne światło na tę sprawę rzucił artykuł w „Polityce" z 11. 9. br. Cytuję dosłownie:

> „Foteli dyrektorskich mamy w przemyśle 4656 (mowa o dyrektorach naczelnych). Nawet połowa dyrektorów nie ma wyższego wykształcenia. Nie jest ono może nieodzowne, kiedy cały pion techniczny i ekonomiczny znajduje się w fachowych rękach, a dyrektorowi naczelnemu pozostaje tylko ogólne kierownictwo.
>
> Ale „naczelny inżynier" — to funkcja, nie zaś stopień zawodowy. Na 3479 naczelnych inżynierów — inżynierami jest zaledwie 2666, na 7533 głównych księgowych wyższe wykształcenie ma 1275.
>
> Niestety, przypuszczenie, że cała reszta to posiadacze matur, okazuje się mylne. Arkusz statystyczny zawiera wiele rubryk stopniujących wykształcenie, dając tym samym możliwość każdemu, kto choć zawodową szkołę zakończył, odbić się od dwóch ostatnich rubryk: wykształcenie podstawowe i niepełne podstawowe. Niestety i one nie pozostały puste: 192 dyrektorów ma szkołę podstawową, 6 jej nie ukończyło. Analogicznie — 59 naczelnych inżynierów, do których zapewne mówi się per „panie inżynierze", także nie wyszło

poza siedem klas, a jeden i tej bariery nie osiągnął: 355 głównych księgowych ma szkołę podstawową, 5 jej nie ukończyło".

Cytowany artykuł w „Polityce" przytacza obfitą dokumentację w tej sprawie, którą tutaj nie możemy się zająć. Chodziło mi jedynie o zilustrowanie ogólnej tendencji i zasady. W roku 1964 historia powtórzyła się z całą dokładnością. Wśród 420 nowych dyrektorów połowa nie posiada wyższego wykształcenia a 15-tu nowomianowanych „naczelnych inżynierów" nie ukończyło nawet 7-miu klas szkoły powszechnej.

W tym samym roku 1964 wyższe uczelnie wypuściły w świat 30 tysięcy dyplomowanych inżynierów i 7 tysięcy ekonomistów i prawników. Oczywiście wśród owych dziesiątków tysięcy inżynierów wykształconych w okresie 20-lecia PRL przeważają inteligenci robotniczo-chłopskiego pochodzenia.

Powyższy problem zostanie rozwiązany na drodze biologicznej. Generacja niedouków i „naczelnych inżynierów" bez ukończonej szkoły powszechnej musi po prostu wymrzeć. Wówczas okupacja Polski przez półanalfabetów dobiegnie kresu. Dopóki to nie nastąpi nie należy oczekiwać żadnych poważniejszych przemian.

◆

Przytoczona w pierwszej części niniejszego artykułu wypowiedź dr. Mękarskiego stanowi klasyczną próbkę ideologii inteligenckiej.

Spór pomiędzy ewolucjonistami a likwidatorami genetycznie sięga okresu schyłkowego pierwszej Rzeczypospolitej. Przeciwnicy ewolucjonizmu mniemają, że naprawa ustroju tak w sensie społecznym jak i gospodarczym nie ma nic wspólnego z niepodległością. Przeciwnie, dr. Mękarski sądzi, że rewizjonizm-ewolucjonizm „rzetelnością swych pobudek" rozbraja, znieczula i przysłania główny cel, to znaczy odzyskanie niepodległości.

W okresie gdy pierwsza Rzeczypospolita chyliła się ku upadkowi byłoby się nam opłaciło dobrowolnie zrezygnować z części suwerenności na rzecz Rosji za cenę możliwości przeprowadzenia modernizacji gospodarki. Wszystkie insurekcje zawiodły, bo nie byliśmy zdolni do niepodległości ani społecznie ani gospodarczo.

Najfatalniejszym dziedzictwem przeszło półtorawiekowej niewoli jest tradycyjna wiara, która niezmiernie wolno zamiera — że wolność i niepodległość są całkowicie niezależne od ustroju społecznego i rozwoju gospodarczego. Tradycyjnie myślący inteligenci polscy wierzą w absolutny prymat postulatu niepodległości, który powinien być realizowany niezależnie od wszystkich innych celów i postulatów.

W roku 1939 Niemcy wytwarzali dokładnie 10 razy więcej stali niż Polska. Żaden romantyzm i bohaterstwo nie było w stanie wyrównać tego niedoboru. Chyląc czoło przed bohaterstwem żołnierzy należy zwalczać do upadłego pogląd, że bohaterstwem i ofiarnością można wyrównać brak stali i amunicji.

Mówiąc językiem marksistowskim należy stwierdzić, że niepodległość stanowi polityczną nadbudowę w stosunku do bazy gospodarczo-społecznej. Nie oznacza to, że baza automatycznie produkuje nadbudowę. Można wyobrazić sobie państwo wzorowo zorganizowane społecznie i wysoko uprzemysłowione a równocześnie pozbawione niepodległości na skutek zaborczej polityki potężnego sąsiada. Z drugiej jednak strony należy stwierdzić, że nawet przy najlepszej koniunkturze międzynarodowej państwo źle zagospodarowane i społecznie nie uładzone — nie ma żadnej szansy zdobycia statusu suwerennego.

Przeciwnicy ewolucjonizmu sądzą, że rozwiązania dotyczące uzdrowienia obecnego ustroju w Polsce są *de facto* szkodliwe, ponieważ odciągają naszą uwagę od jedynego zadania — to znaczy zdobycia niepodległości. W tej perspektywie im model ustrojowo-gospodarczy jest lepszy, nowocześniejszy, sprawniej funkcjonujący — tym w gruncie rzeczy jest niebezpieczniejszy, bo — jak głoszą nasi oponenci — „rozbraja, znieczula, zaprasza do kompromisu i oportunizmu".

Postawmy kropkę na tym „i". Przeciwnicy ewolucjonizmu boją się autonomii. Boją się, że jeżeli sytuacja wewnętrzna w Kraju uległaby wybitnej poprawie — gdyby unowocześniono i zliberalizowano model ustrojowy — wówczas Polakom zaczęłoby się tak dobrze powodzić, że zrezygnowaliby z niepodległości państwowej zadawalając się autonomią.

Osobiście nie podzielam tych obaw. Przeciwnie, jestem przekonany, że jedyna realna droga wiodąca do niepodległości prowadzi poprzez autonomię. Polacy nigdy nie zrezygnują z niepodległości, lecz w pierwszej linii muszą zdobyć autonomię, której do tej pory nie mają. Przez autonomię rozumiem co najmniej status Finlandii.

Romantyczni niepodległościowcy od czasów przed-rozbiorowych po dzień obecny stawiają wóz przed koniem jeżeli wolno użyć obrazowego powiedzenia angielskiego. Trzeba jednak obiektywnie stwierdzić, że ten typ filozofii narodowej — od czasów pierwszego rozbioru po upadek Powstania Warszawskiego — prowadził nas od katastrofy do katastrofy. Musimy nauczyć się łączyć romantyzm z praktycznością a zacząć ową lekcję trzeba od postawienia konia przed wozem.

Społeczno-narodowym zadaniem inteligencji jest reprezentować *common sens*. Wiedza i wykształcenie nie są *de facto* niczym innym jak oświeconym „zdrowym rozsądkiem". Osobiście jestem przekonany, że inteligencja polska — ani nie po-szlachecka ani nie robotniczo-chłopska tylko ogólno narodowa — na przestrzeni najbliższych dwóch dekad odzyska przodującą pozycję w Polsce. By to się stało, nie wystarczy by niedouki stanowiące dziś klasę rządzącą w Kraju wylądowały w „Alei Zasłużnych" na Powązkach. Jest rzeczą nieodzowną by inteligenci przełamali obręcz wyobcowania, która tylko w części spowodowana jest obecnym

systemem. Niemniej istotnym składnikiem alienacji inteligencji jest anachronistyczna postawa wyrażająca się często wręcz infantylną pogardą w stosunku do problematyki polityczno-społecznej.

O Ziemie Odzyskane i o granice na Odrze i Nysie walczyć należy z konsekwencją i uporem. Lecz nie Niemcy są dziś naszymi okupantami, tylko owi dyrektorzy i „naczelni inżynierowie", którzy nie ukończyli nawet szkoły podstawowej. Pomiędzy wczorajszymi a dzisiejszymi okupantami istnieje jednak zasadnicza różnica. Nikt mnie nie przekona, że Rosja domaga się od nas byśmy czołowe stanowiska w gospodarce narodowej obsadzali pół-analfabetami. Godzimy się na to — bo w stosunku do rodzimych okupantów nie potrafimy się zdobyć ani na jedną dziesiątą oporu, który mobilizowaliśmy przeciwko Niemcom. Musimy raz wreszcie przełamać koszmarny, tradycyjny schemat: inteligent polski z karabinem w ręku to niepodległościowy bohater — za biurkiem, z piórem w ręku — to pokorny lojalista.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

LITERATURA NA OBCZYŹNIE

Oczekiwałem rzeczy katastrofalnych. Napisać o publicystyce emigracyjnej obiektywnie wydaje się wręcz niemożliwym zadaniem. Osobiście nigdy bym się tego nie podjął. Gdy przeczytałem szkic Lidii Ciołkoszowej w drugim tomie „Literatury Polskiej na Obczyźnie" — ogarnęło mnie zdumienie. Okazuje się, że jest rzeczą możliwą na tak kontrowersyjny temat jak publicystyka emigracyjna — napisać niekontrowersyjnie. Następnie przeczytałem znakomity szkic Marii Danilewiczowej pt. „Pogląd ogólny na Literaturę Emigracyjną". Wówczas otworzyły mi się oczy. Jest oczywiste ponad wszelką wątpliwość, że tylko kobiety mogą być tak obiektywne i tak bogato wyposażone w zdrowy rozsądek.

Jeżeli ktokolwiek powątpiewa w powyższą tezę niech sobie wyobrazi jakby wyglądał szkic o publicystyce emigracyjnej napisany — powiedzmy dla przykładu — przez Wacława Zbyszewskiego. Prof. Z. Stahl napisał kiedyś w „Orle Białym" artykuł pt. „Pomyślmy o naszej publicystyce". Ciarki przechodzą na myśl, że dr Stahl nie ograniczyłby się do myślenia o naszej publicystyce lecz postanowił napisać jej historię.

Bielatowiczowi, którego niezmiernie cenię i lubię — nie brakłoby ani kwalifikacji naukowych ani pisarskiego talentu by napisać „Pogląd Ogólny na Literaturę Emigracyjną". Lecz Bielatowicz jest katolikiem przez wielkie „K" i endekiem przez wielkie „E". Dwie niezmiernie potężne, emocjonalne

lojalności. I dlatego powątpiewam czy Bielatowicz potrafiłby się zdobyć na obiektywizm i zrównoważenie jakie wykazała w swym szkicu dr Danielewiczowa.

Olśniony *common sens*'em dr L. Ciołkoszowej i dr M. Danilewiczowej — doszedłem do wniosku, że marazm życia politycznego na emigracji spowodowany jest antyfeminizmem naszych wodzów. Ani jednej kobiety na lekarstwo. Cóż to byłaby za ożywcza zmiana gdyby w Radzie Trzech zasłużeni i czcigodni generałowie poszli na emeryturę a ich miejsce zajęły panie Ciołkoszowa i Danilewiczowa. Obawiam się jednak, że byłoby je bardzo trudno uprosić ponieważ posiadają zbyt wiele... zdrowego rozsądku.

Lecz wróćmy do głównego wątku tych rozważań. Danilewiczowa w swym szkicu stwierdziła niezmiernie trafnie, że „nie poeci jednak, ale publicyści polityczni, łączący talent pisarski z aktualnością i bolesnością poruszanych problemów stawali się wyrazicielami poglądów wielkich odłamów Emigracji sprawując imaginacyjny „rząd dusz odebrany wieszczom".

Literaci emigracyjni stworzyli sobie świat sztucznej, a raczej fikcyjnej normalności. Z czołowych dzieł literatury emigracyjnej nikt nigdy się nie dowie o naszym dramacie, którego byliśmy świadkami i aktorami. Wyjątek stanowi „Inny Świat" lecz już nie „Skrzydła Ołtarza", „Kosmos", „Dolina Issy", „Zaczarowany Gucio" i niemal cała emigracyjna twórczość poetycka z zaszczytnym wyłączeniem Wierzyńskiego. Można by ułożyć długi spis książek wydanych na emigracji, które bez przeszkód mogłyby ukazać się w Warszawie. Sądzę, że 70% tzw. literatury pięknej przeszłoby przez krajową cenzurę. W sumie należy stwierdzić, że nie wieszczom publicyści odebrali „rząd dusz" — ponieważ wieszczów nigdy nie było.

Gombrowicz nie jest wprawdzie wieszczem lecz ma ogromną pozycję w kraju. Gdyby plebiscyt czytelników krajowych miał ustalić hierarchiczną listę pisarzy emigracyjnych — niewątpliwie Gombrowicz zająłby pierwsze miejsce. Osobiście najwyżej cenię „Trans-atlantyk" i „Dzienniki". Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że dziś Gombrowicz, europejska *celebrity*, pisze z myślą o przekładach. Lecz autor „Trans-atlantyku" im łatwiej jest przetłumaczalny tym mniej jest polski. Im mniej jest polski tym mniej jest gombrowiczowski, a im mniej jest gombrowiczowski tym mniej jest wielki. Lecz to tylko uwaga na marginesie.

Polacy obok Włochów i Węgrów — należą do narodów posiadających najliczniejszą diasporę w świecie. Osobiście jako publicysta polityczny boleję nad tym, że stosunkowo mały procent dzieł literackich napisanych na emigracji — daje świadectwo konfliktowi epoki w polskiej perspektywie. Nie mamy ani jednego Koestlera czy Silone.

Z drugiej strony owa a-polityczność literatury emigracyjnej czyni wręcz absurdalnym „mur Gomułki", który odcina książki wydane na emigracji od Kraju.

Każdy autor piszący po polsku pragnie dotrzeć do polskiego czytelnika. Są pisarze, jak Melchior Wańkowicz, którzy pod naporem owego instynktu gotowi są do znacznych ofiar i kompromisów.

Gdyby w KC istniał ktoś z sensem w głowie — powołano by specjalną komisję dla literatury emigracyjnej. Celem owej komisji byłoby ustalenie spisu książek wydanych w danym roku na emigracji a nadających się do rozpowszechnienia w Polsce. W moim przekonaniu bardzo znaczny procent dzieł literatury emigracyjnej nadaje się bezpiecznie do rozpow-

szechnienia w kraju. Oczywiście wyselekcjonowanym autorom należałoby płacić przykładowo wysokie honoraria.

Protesty Związku Pisarzy i innych „ciał" nic by nie pomogły, ponieważ wybrani przez władze krajowe autorzy emigracyjni oświadczyliby zgodnie z prawdą, że nikt nie domagał się od nich żadnych zmian w tekście. A czyż nie jest naszym celem i marzeniem, by książka emigracyjna zbłądziła pod strzechę krajową?

Sytuacja stróżów niezłomności emigracyjnej byłaby nie do pozazdroszczenia. Nie można bronić poglądu, że „Kosmos" przemycony do kraju jest „robotą niepodległościową" — a ten sam „Kosmos" bez żadnych zmian wydany w Warszawie jest „fellow-travellerstwem".

Ciąg dalszy jest łatwy do przewidzenia. Autorzy emigracyjni świadomie i pół-świadomie zaczęliby pisać „pod kraj". Przyszłoby im to tym łatwiej, że w znacznym procencie do konfliktu epoki odwracają się plecami. Niepodległościowy liryczny socjalizm typu Żeromskiego wyszedł z mody. Nowoczesna powieść polityczna na wzór amerykański wymaga wykształcenia, oczytania i *research*. O ileż łatwiej na słowo „polityka" pogardliwie skrzywić się z wyższością. W rezultacie produkujemy mało książek niebezpiecznych a nawet ci pisarze, którzy nie stronią od tematyki politycznej, mieszczą się na ogół w ramach wymagań cenzury krajowej. „Obóz Wszystkich Świętych",, „Ojciec Zadżumionych", „Piknik Wolności" — Tadeusza Nowakowskiego w niczym nie zagrażają „małej stabilizacji" w Polsce.

To nie tylko Londyńczykowi przychodzą do głowy tak niebezpieczne pomysły. Węgrzy są w trakcie realizacji analogicznych projektów. W budapeszteńskim tygodniku literackim „Elet es Irodalom" z dnia 11. 9. br. ukazał się artykuł znanego pisarza i członka PEN Clubu — Geza Hegedus. Należy podkreślić, że G. Hegedus nie jest ani „pryszczatym" ani „rewizjonistą" tylko statecznym pisarzem w średnim wieku, piastującym wiele nagród państwowych.

Hegedus stwierdza, że na pięciu kontynentach naszego globu żyją, piszą i drukują pisarze węgierscy. Jeżeli nawet przyjąć, że tylko co 10-ta książka z książek wydanych zagranicą zasługuje na uwagę — to i tak stanowi to poważny dorobek pisarski, z którego Węgry nie mogą rezygnować. Hegedus pisze m. in.: „musimy zacząć od stwierdzenia, że na Zachodzie istnieje również lewicowa węgierska literatura, która reprezentuje szeroki wachlarz opinii, od burżuazyjnego socjalizmu zacząwszy a na komuniźmie skończywszy. Nie możemy również pominąć pisarzy, którzy choć wyznają odmienny niż my pogląd filozoficzno-ideologiczny — wypowiadają się jednak zdecydowanie za polityką pokojowego współistnienia. Mamy emigracyjnych poetów i pisarzy z którymi nie pogodziłbym się nigdy w sprawach polityczno-ustrojowych lecz pisarzom tym nie mogę odmówić wysokiego poziomu artystycznego i humanitarnej postawy".

„Musimy nawiązać kontakt z pisarzami węgierskimi na całym świecie. Jeżeli pragniemy by oni nas nie ignorowali — nie możemy ignorować ich" — nawołuje Hegedus ogłaszając równocześnie pierwszą listę pisarzy węgierskich żyjących zagranicą, z którymi należałoby nawiązać kontakt celem wydania ich dzieł na Węgrzech. Wśród wymienionych nie brak pracowników sekcji węgierskiej R.W.E. i BBC.

Lecz władze Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie mogą spać spokojnie. Dopóki w Polsce trwa „gomułkizm" nic podobnego nam nie zagraża.

UPIORY

Watery Tarsis, autor „Sali Nr 7" przebywa na wolności — bo jak sam oświadczył — rząd sowiecki boi się międzynarodowego skandalu, którego nie zdołałby uniknąć go powtórnie.

W „The Guardian" z dnia 6. 10 br. ukazał się list otwarty grupy studentów brytyjskich w sprawie Eugeniusza Biełowa. O sprawie Tarsisa dowiedzieliśmy się z jego własnej relacji przekazanej na Zachód. Relację jednego człowieka można zawsze poddać w wątpliwość. Historia Biełowa jest bezspornie udokumentowana przez jego brytyjskich przyjaciół. Biełow — student romanistyki — zarabiał dodatkowo jako przewodnik i tłumacz dla turystów. Zaprzyjaźnił się z kilku brytyjskimi studentami, na których wywarł jak najlepsze wrażenie. Biełow był i jest przekonanym komunistą. Uważał natomiast, że w związku z projektowanym XXIII Kongresem KPZS — w organizacjach partyjnych należałoby przeprowadzić szeroką dyskusję. Ze swej strony Biełow opracował memoriał, w którym przeanalizował niedomagania życia sowieckiego i zaproponował serię reform. Ów memoriał przedłożył swoim bezpośrednim władzom partyjnym, a gdy zbyto go milczeniem kopię memoriału przesłał do Breżniewa i Kossygina.

We wszystkich swych poczynaniach Biełow działał jawnie i w ramach organizacji partii. Gdy w kilka tygodni później zniknął z horyzontu — jego młodzi przyjaciele brytyjscy wszczęli w Moskwie poszukiwania na własną rękę. Ustalono ponad wszelką wątpliwość, że Eugeniusza Biełowa poddano badaniu lekarskiemu, uznano za chorego umysłowo i zamknięto w zakładzie dla nerwowo chorych. Jego najbliższą rodzinę wywieziono z Moskwy w nieznanym kierunku.

Dziś świat tak zmalał — sieć środków komunikacyjnych jest tak gęsta i różnorodna, że o izolacji nie może być mowy. Istnieją możliwości wywierania nacisku pod warunkiem, że człowiek Zachodu nie pozostanie obojętny, co równałoby się izolacji *à rebours*.

Wielki dziennik brytyjski poparł studentów, którzy stanęli w obronie Biełowa. Rosjanie — jak wiadomo — są bardzo wrażliwi na opinię organizacji naukowych. Sprawa Tarsisa i Biełowa rzuca ponure światło na medycynę sowiecką. Pomiędzy lekarzem, który na rozkaz politruka hitlerowskiego zastrzykiwał pacjentom truciznę, a lekarzem który na rozkaz politruka sowieckiego z normalnego człowieka czyni umysłowo chorego szaleńca — nie ma zasadniczej różnicy. W obu wypadkach podstawowe normy etyki lekarskiej są cynicznie podeptane. O lekarzach, którzy na rozkaz hitlerowców zastrzykiwali fenol głośno jest w całym świecie. O lekarzach sowieckich, którzy piszą lekarskie świadectwa pod dyktat aparatczyków — głucho i cicho. Gdyby w zachodniej, fachowej prasie lekarskiej ukazało się na ten temat kilka artykułów — wywarłoby to w Moskwie daleko większe wrażenie niż list otwarty grupy studentów.

Byłoby z całą pewnością możliwe wywierać na władze sowieckie skuteczny nacisk, gdyby opinia Zachodu w tych sprawach była nie tylko aktywna lecz i jednolita. Niestety w Anglii, a przede wszystkim we Francji, istnieją grupy intelektualistów i polityków, którzy w imię fałszywie pojętej przy-

jaźni gotowi są przyjąć każde oficjalne wyjaśnienie władz sowieckich za dobrą monetę. Akrobatyka intelektualistów w tej materii jest czymś zdumiewającym. Jeżeli tego rodzaju łamańce wyczyniają pisarze na Zachodzie korzystającym z pełni wolności — jak można się dziwić intelektualistom sowieckim, którym grozi „Sala Nr 7".

Simone de Beauvoir w ostatnim tomie swych pamiętników, które ukazały się obecnie w przekładzie angielskim — podaje bez cienia krytyki czy ironii — wyjaśnienie Erenburga dlaczego jej znana powieść pt. „Les Mandarins" nie mogła i nie może ukazać się w Związku Sowieckim. W okresie stalinowskim — argumentował Erenburg — w Rosji sowieckiej jakąkolwiek wzmiankę o łagrach poczynano by za zachodnio-burżuazyjną napaść propagandową. No a dziś kiedy obalono „kult jednostki" po cóż rozdrapywać stare rany...

„Dr Żiwago" w opinii Simone de Beauvoir jest bardzo słabą powieścią a przyznanie Pasternakowi nagrody Nobla było „umyślną prowokacją". Olga Iwińskaja — przyjaciółka Pasternaka — była zwykłą szmuglerką dewiz i poniosła zasłużoną karę. François Bondy w swym szkicu ogłoszonym w „Encounter" zacytował list Sartre'a („France Observateur" z 12. 12. 63). w którym autor „Krytyki Rozumu Dialektycznego" poparł w całej rozciągłości stanowisko S. de Beauvoir w sprawie Olgi Iwińskiej.

Intelektualiści tej kategorii i politycy „appeasementu" — to są ludzie, którzy najwydatniej szkodzą sprawie zbliżenia pomiędzy Rosją a Zachodem. Rosja nie musi przejąć zachodniego systemu parlamentarnego ani kopiować brytyjskich czy amerykańskich instytucji socjalnych. W Rosji musi jednak nastąpić odrodzenie podstawowych norm cywilizacji europejskiej. W przeciwnym wypadku polityka koegzystencji na dalszą metę nie okaże się możliwa.

Problem sprowadza się do odpowiedzi na następujące pytanie: czy de-stalinizacja w ramach państwa totalnego jest rzeczą możliwą? W mojej opinii stalinizm jest nieuchronnym zwyrodnieniem każdej dyktatury. Rzetelna de-stalinizacja musi być równoznaczna z demokratyzacją. Innymi słowy Rosja może odejść od praktyk stalinizmu tylko za cenę demokratyzacji ustroju. Sprawdzianem stopnia demokratyzacji ustroju jest praworządność.

„Kurier Polski" z 17. 8. br. podał wiadomość, że dwie studentki Uniwersytetu Warszawskiego skarżą dyrekcję hotelu „Orbis" w Warszawie za usunięcie z kawiarni. Studentki J. Z. i M. I. przyszły do kawiarni w towarzystwie dwóch Amerykanów. Obsługująca kelnerka oświadczyła im, że „takie panie w kawiarni niczego nie otrzymują". Kierowniczka kawiarni poparła kelnerkę i poleciła studentkom opuścić salę. Studentkom dano niedwuznacznie do zrozumienia, że uważane są za prostytutki. Ponieważ nic nie pomogły tłumaczenia i zapewnienia, adwokat studentek wystosował list do dyrekcji hotelu „Orbis" domagając się przeproszenia swoich klientek. W liście adwokat wyjaśnił, że studentki J. Z. i M. I. poznały w Szwajcarii obu Amerykanów, którzy w tym roku przyjechali do Polski jako turyści.

W odpowiedzi adwokat otrzymał urzędowe pismo w którym dyrekcja hotelu „Orbis" żąda podania: adresów konsumentek, zaświadczenia Uniwersytetu Warszawskiego że są rzeczywiście studentkami, dowodów, że rzeczywiście były w Genewie gdzie poznały owych Amerykanów, wreszcie danych osobistych o samych Amerykanach.

Sprawa poszła do sądu, lecz sąd niczego nie naprawi bo nie jest w stanie restaurować w Polsce praworządności. Stalinizm to nie tylko łagry i „Sala Nr 7". Stalinizm to przede wszystkim zasada, że wszyscy obywatele są potencjalnie winni i podejrzani. W tym systemie obowiązkiem obywatela jest udowodnić swoją niewinność w danej sprawie.

W państwie praworządnym każdy obywatel jest niewinny dopóki niezawisły sąd nie orzeknie, że popełnił przestępstwo. Lecz stalinizm stanowi matematyczną odwrotność praworządności. Nie dyrekcja „Orbisu" musi udowadniać, że cytowane studenki są prostytutkami — tylko odwrotnie nieszczęsne studentki będą musiały udowadniać w sądzie, że *nie* są prostytutkami.

K.T. Toeplitz, który tej sprawie na łamach warszawskiej „Kultury" poświęcił felieton, pisze m. in.: „Sądząc z danych, są to młode dziewczyny, które nie pamiętają okupacji. Są u siebie, w swoim wolnym i praworządnym państwie".

Niestety owo państwo nie jest ani wolne ani praworządne.

Politycy i intelektualiści zachodni, którzy w imię koegzystencji gotowi są argumentować, że upiory stalinizmu są wymysłem kompleksu nienawiści do Sowietów — są *de facto* grabarzami tej polityki, której chcieliby bronić. Miliony ludzi w europejskim bloku państw komunistycznych potępia stalinizm i tylko z tymi ludźmi wiązać możemy nadzieje koegzystencji. Lecz aby w przyszłości przyjaźnie z tymi ludźmi współżyć — nie możemy dziś ich zdradzać.

DROGA NA ZACHÓD

Jeden z wybitnych Amerykanów polskiego pochodzenia powiedział mi, że w Stanach Zjednoczonych oczywiście najlepiej jest być WASP czyli białym anglosaskim protestantem. Na drugim miejscu mój rozmówca wymienił Niemców a na trzecim Żydów. Amerykanie bardzo wysoko cenią Żydów. Najwybitniejsi uczeni amerykańscy dwudziestego wieku byli pochodzenia żydowskiego.

Amerykanie gotowi są przełknąć łatwo wymawialne nazwisko polskie np. „Grabowski". Szkodzą natomiast imiona czysto słowiańskie jak Sobiesław, Zbigniew, Mścisław itd.

Anglosasi — podobnie jak Niemcy — uważają że cywilizacja, porządek i higiena kończą się na granicy niemieckiej. Dalej na Wschód to błoto, tyfus i prymityw.

Parę hektarów piasków, jak na Mazowszu, — to utrapienie i nuda. Siedem milionów kilometrów kwadratowych piasków, to Sahara — wielkość i romantyka.

Marne polskie drogi i błoto to tylko marne drogi i błoto. Gigantyczne błoto rosyjskie — to egzotyka i niemal mistyka.

Jesteśmy zbyt miniaturowi, by na błocie robić karierę. Bagna, piaski, dzicz, śniegi, bezdroża, — robią wrażenie tylko w gigantycznych dawkach. W małych wymiarach to są próbki bez wartości, które irytują a nie zaciekawiają.

X. Pawilon z „minionego (nie całkiem) okresu" — to był brudny skandal. Bierut to mała nikomu nieznana kreaturka. Jego otoczenie składało się z dziesięciorzędnych aferzystów. Natomiast Stalin to „Iwan Groźny" a

o jego monstre-procesach wydaje się co roku na Zachodzie kilkanaście tomów.

Dla przeciętnego Anglosasa Polska, polskość, Polak — to określenia, którym brak ostro zarysowanych konturów.

Conrad postąpił niezmiernie rozsądnie przyjmując anglosasko brzmiący pseudonim. Sądzę, że połowa, a może 70%, Anglików — którzy do dziś wypożyczają książki Conrada z bibliotek publicznych — nie wie, że autor „Lorda Jima" był Polakiem. Wprawdzie z każdej encyklopedii można się dowiedzieć kim był Conrad z pochodzenia — lecz kto zagląda do encyklopedii? Po co zresztą szukać po encyklopediach skoro jego imię i nazwisko brzmią swojsko i zwyczajnie. Jestem przekonany, że gdyby Conrad uparł się i wydawał swoje książki jako Józef Korzeniowski nie miałby dziś tej pozycji w świecie anglosaskim jaką ma Joseph Conrad.

Józef Korzeniowski brzmi źle. Vladimir Nabokow czy Peter Ustinow brzmi dobrze. Rosja jest olbrzymia i konkretna. Obraz Rosji w umysłowości przeciętnego Anglosasa może być fałszywy i naiwny lecz nie brak mu ostro i kontrastowo zarysowanych konturów.

Polacy uważają się za współtwórców kultury Zachodu. W rzeczywistości jednak nasz współudział w tym jedynym w swoim rodzaju procesie kulturotwórczym był znikomy. Byliśmy obrońcami kultury Zachodu, lecz nie jej współtwórcami. To są dwie rzeczy różne. Obrońcę ceni się w chwili zagrożenia — współtwórcę ceni się zawsze. Byliśmy cenni w okresie „Bitwy o Wielką Brytanię" — dziś jesteśmy tańsi. Rosjanie nigdy nie bronili Zachodu lecz ich wkład do kultury zachodniej był niewspółmiernie większy niż nasz.

Ktoś powie — Rosja jest mocarstwem i trudno ją przeoczyć. To prawda, lecz na giełdzie anglosaskiej bardzo wysoko notowani są Szwedzi, Norwegowie, Finowie — małe narody w porównaniu z Rosjanami, Amerykanami a nawet z Polakami.

Skandynawowie — klinicznie czyści, gospodarni, społecznie znakomicie uładzeni — reprezentują *common sens*, zaletę najwyżej cenioną przez Anglosasów.

W świecie anglosaskim mamy garść Polaków, którzy należą do *top people*. Lecz jako naród i narodowość notowani jesteśmy nisko. Nie pomogą nam ani frapujący Gombrowicz, ani zaskakujący Kott-szekspirolog. Nie pomogą nam dziesiątki Polaków profesorów na amerykańskich wyższych uczelniach.

Poseł czy ambasador — choćby najświetniej utalentowany — w ostatecznym rozrachunku mierzony jest pozycją państwa, które reprezentuje. Możemy mieć legion znakomitych „ambasadorów" na Zachodzie — lecz co oni reprezentują poza swoimi prywatno-osobistymi osiągnięciami?

Polacy i Rosjanie wykazują klasyczny kompleks niższości w stosunku do Zachodu. Freud nazwał kompleks niższości głównym dynamem postępu. Zachód góruje nad europejskim wschodem w wielu dziedzinach i owa tendencja „doścignięcia Ameryki" jest objawem zdrowym. Musimy jednak pamiętać, że Polacy nie mogą doścignąć Zachodu na Zachodzie. Muszą go doścignąć na Wschodzie, u siebie w domu. Legion znakomitych „ambasadorów" jest rzeczą niezmiernie cenną pod warunkiem, że istnieją wartości i osiągnięcia, które ci panowie mogą reprezentować.

Jest coś patetycznego w owym ustawicznym podkreślaniu naszej zachodniości, w wiecznych deklaracjach solidarności z Zachodem, w akceptowaniu — często bezkrytycznym — wszystkiego co zachodnie. To nie jest droga która prowadzi na Zachód. Prawdziwą pozycję na Zachodzie możemy wywalczyć dla siebie tylko na Wschodzie.

Obok Rosjan Polacy są największym narodem wschodnio-europejskim. Cóż byłoby bardziej naturalnego gdyby polscy mężowie stanu dysponowali wyjątkowymi wpływami w Moskwie. Gdyby kiedyś tak było — polscy politycy byliby niezmiernie cenieni i wysoko notowani w Londynie, w Waszyngtonie i w Paryżu. Musimy mieć konkretne osiągnięcia w naszym wschodnim rejonie Europy, by poprawić nasz kurs na Zachodzie.

Za każdym Rosjaninem na Zachodzie — choćby najbardziej antykomunistycznym — stoją wszystkie sputniki, Gagariny i cała potęga Związku Sowieckiego. A na każdego z nas, choć bylibyśmy Wierzyńskimi, Gombrowiczami, Miłoszami — pada cień Gomułki i owych „naczelnych inżynierów" bez ukończonej szkoły powszechnej o których wspominam w moim artykule.

Naród i jego dzieje stanowią niepodzielną całość. Historia Polski to nie tylko Grunwald i „Cud nad Wisłą" lecz również 20 lat PRL.

Emigranci wyobrażają sobie, że reprezentują Polskę Szopena i Piłsudskiego jak z wiersza Lechonia. Lecz w gruncie rzeczy w oczach Zachodu reprezentujemy — choćby jako opozycję — Polskę Gomułki i Cyrankiewicza, bo innej Polski nie ma.

Do czego zmierzają te uwagi? Wydaje mi się że należy porzucić obłąkane i upokarzające hasło głoszące, że winniśmy być sojusznikiem Zachodu nawet wbrew woli Zachodu. Błędną jest również emigracyjna wiara, że wszystko zależy od Zachodu i wskutek tego Zachód należy „nawracać". Nasza aktywność na Zachodzie ma wielkie znaczenie, lecz przede wszystkim trzeba wpływać i odziaływać na kraj bo tylko w oparciu o kraj będziemy kiedyś mogli konkretnie odziaływać na Zachód. Polska musi zdobyć status i opinię gospodarnego i praworządnego państwa. Wówczas zaawansujemy i my, Polacy zagraniczni, — ponieważ każdy sukces Polski jest naszym sukcesem a każda klęska Polski jest i naszą klęską. Emigranci natomiast gotowi są przyjąć z Polski wszystko to co nas wywyższa w oczach Zachodu a równocześnie chcieliby odrzucić wszystko to co nas pomniejsza.

LONDYŃCZYK

Przegląd niemiecki

PO WYBORACH

Piąty powojenny Bundestag, wybrany 19 września rb., niewiele będzie się różnił od poprzedniego. Wyborcy oddali na Wolnych Demokratów (FDP)

9,5%, na Chadecję (CDU & CSU) 47,6%, na Socjalistów (SPD) 39,3% i na inne partie, odpadające z powodu pięcioprocentowej klauzuli, 3,6% głosów. Chadecy otrzymali o trzy mandaty więcej, a Socjaliści o dwanaście więcej niż poprzednio, kosztem strat Wolnych Demokratów.

Podział mandatów wygląda następująco: FDP 49; CDU & CSU 196 + 49 = 245 i SPD 202. Wobec tych wyników prof. Erhard nadal będzie Kanclerzem, a wobec znanej jego niechęci do wielkiej „czarno-czerwonej" koalicji, będzie musiał rządzić przy pomocy CDU & CSU z przyprzążką Wolnych Demokratów.

Spadek głosów oddanych na FDP jest groźnym ostrzeżeniem dla tej partii. Czy spadek ten jest wynikiem ogólnej dążności do dwupartyjnego systemu, czy wyrazem niezadowolenia z dotychczasowej działalności partii czy też sumą obu tych czynników — trudno dociec. Jeszcze trudniej jest przewidzieć jak strata 25% mandatów wpłynie na postawę tej partii podczas rozpoczynającej się kadencji.

Chadecja powiększyła zaledwie o trzech ilość swych posłów, gdy socjaliści osiągnęli o 3,6% głosów więcej niż przed czterema laty i otrzymali dwanaście nowych mandatów. Mimo to na ogół socjaliści są traktowani jako partia pokonana i dużo się mówi o porażce Brandta. Jest to o tyle tylko słuszne, że przed wyborami uchodziło niemal za rzecz pewną osiągnięcie przez chadecję i socjalistów mniej więcej równej ilości mandatów, a tymczasem SPD otrzymała o 8,3% mniej głosów niż CDU & CSU. (W 1961 roku różnica ta wynosiła 9,1%). Więc to nie porażka, a zaledwie niespełnione nadzieje.

Wątpliwe też jest, czy inny kandydat SPD na urząd kanclerski niż Willy Brand zmieniłby wynik wyborów. W dzisiejszym społeczeństwie niemieckim uprzedzenia przeciw socjalistom są bardzo duże, a skłonności do zabezpieczonego dobrobytu, którego symbolem stał się prof. Erhard — jeszcze większe. Tu, wydaje mi się, leży przyczyna rezultatu ostatnich wyborów. Obecny mandat kanclerski Erharda jest triumfem osobistym symbolu dobrobytu, a nie zwycięstwem partii, lub jej programu.

Zagadnienie liczebności wszelkich ekstremistów zostało w ostatnich wyborach o tyle pomyślnie rozwiązane, o ile łączna suma 3,6% ogólnej ilości głosów, oddanych na kilka tego rodzaju list wyborczych, nie upoważnia takich ugrupowań do lepszych nadziei na przyszłość. Należy jednak pamiętać o istnieniu w Niemczech Zachodnich około miliona wyborców, czułych na skrajne lub zawadiackie hasła. Natomiast zagadka specjalnie nas interesująca, mianowicie ilość wyborców, identyfikujących się z tezami biurokracji Związków Wysiedleńców, pozostaje nadal w sferze dowolnej spekulacji. Wygląda, że tę zagadkę rozwiązać może tylko czas.

Pomimo dużego sukcesu osobistego, profesor Erhard nie będzie miał łatwego żywota w kanclerskim fotelu. Ponieważ wyborcy zaakceptowali „małą koalicję" CDU-CSU-FDP i nic nie wskazuje możliwości utworzenia „wielkiej koalicji" chadeków z socjalistami — kanclerz będzie musiał rządzić przy pomocy 196 głosów CDU, 49 głosów CSU i również 49 głosów FDP, przeciw opozycji 202 socjalistów.

Arytmetycznie jest to duża przewaga, ale zarówno we własnej partii jak i w FDP Erhard będzie musiał lawirować przeciw nietajonej, personalnie bardzo mocnej, opozycji wewnętrznej. Sytuację komplikuje dodatkowo wrogi stosunek osobisty szefów CSU i FDP, Straussa i Mendego. W takich warunkach samo utworzenie nowego rządu jest zadaniem trudnym, mogącym trwać dość długo.

◆

Wobec niespełnionych nadziei zrównania przynajmniej ilości mandatów z chadecją, socjaliści stanęli przed pilnymi i trudnymi decyzjami: zmiany taktyki opozycyjnej i przygotowania nowej kadry firmującej wybory w 1969 roku.

Kandydat socjalistów na urząd kanclerski, Willy Brandt, bezpośrednio po zaznajomieniu się z wynikami wyborów, oświadczył: „Naród wypowiedział się przeciw mnie, a nie przeciw partii. Teraz najpierw się wyśpię, a potem wyciągnę z tego konsekwencje". Dwa dni później dodał: „Pozostaję w Berlinie i nie będę w 1969 roku kandydował na urząd kanclerza".

Taka postawa zjednywa ogromną sympatię dla jej autora i potwierdza jego klasę jako męża stanu. Tym niemniej socjaliści, jeżeli pragną ugruntować ostatecznie demokrację w Niemczech i stać się opozycją zdolną każdej chwili przejąć odpowiedzialność władzy, są zmuszeni za wzorem Brandta usłuchać *vox populi* i jak najprędzej ustalić następcę.

Choć osobiście nie czuję się zupełnie wolny od zastarzałych uprzedzeń antysocjalistycznych, to jednak uważam, że powinniśmy życzyć SPD pomyślnego rozwiązania tego zagadnienia i szybkiego ustalenia skutecznej taktyki opozycyjnej.

S. W. KOZŁOWSKI

Trybuna W. A. Z.

Współczesna wersja « Mitteleuropy »

Jednym z bardzo nielicznych naprawdę inteligentnych ludzi, których dane mi było bliżej poznać w mym długim życiu, był Henri Gauquié, przed wojną radca ambasady francuskiej w Warszawie. Spotkałem go m. in. po zakończeniu działań wojennych, gdy wracał do Paryża z San Francisco, gdzie był członkiem delegacji francuskiej na inauguracji ONZ'etu. Był to jego pierwszy pobyt w Ameryce. Spytałem go, jakie wrażenie zrobiły na nim Stany. Gauquié, zamyślił się, po czym powiedział: *„Vous savez, l'Amérique, c'est une Mitteleuropa qui a réussit!"* I dodał, że przeciętny Amerykanin bardziej przypomina mieszkańca Pragi Czeskiej, niż „Anglosasa".

W ostatnim roku byłem raz w Anglii, dwa razy w Belgii, raz w Holandii, dwa razy w Danii, raz w Norwegii, raz w Szwecji sześć razy w Niemczech, trzy razy w Austrii, dwa razy we Włoszech, dwa razy w Szwajcarii. Podróż do Skandynawii odbyłem na sumpt Radia Wolnej Europy, resztę wygospodarowałem z własnych zarobków. Jeżeli więc zabieram się do szkicowania kilku myśli o dzisiejszej „Mitteleuropie", to opieram się na wrażeniach z pierwszej ręki. Nie potrzebuję dodawać, że w żadnym z wymienionych krajów, a także we Francji, gdzie plus minus stale przebywam, nie rozmawiałem nie tylko z żadną „miarodajną" osobistością, ale nawet nie zetknąłem się z nikim, kto by brał jakikolwiek czynny udział w życiu politycznym czy umysłowym swej ojczyzny.

◆

„Mitteleuropa" sprzed 1914 roku była koncepcją polityczno-wojskową: była odbiciem aliansu mocarstw centralnych. Dzisiejsza jest stanem psychicznym, jest zjawiskiem cywilizacyjnym, jest wyrazem pewnych tendencyj, ale nie jest blokiem politycznym, cóż dopiero militarnym.

Europa jest dzisiaj przedzielona Żelazną Kurtyną, i ten podział trwa nadal: wszystkie wołania, że NATO i Blok Paktu Warszawskiego rozlatują się, są antycypacją. Żelazna Kurtyna przedziela przede wszystkim Europę Środkową. O jej zakurtynowej połówce nie będę mówił, bom jej nie zwiedzał: myślę, że odczuwa bardzo podobnie do swej zachodniej syjamskiej siostrzycy, i że gdyby Kurtyna jakimś cudem zniknęła, to Czechy, Słowacja, Węgry, Polska, Rumunia, Jugosławia, a nawet Bułgaria i Albania prędko by do tej Środkowej Europy doskoczyły: geografia, jak zawsze, okazałaby się silniejsza od ideologij, czy urazów przeszłości. Ale które kraje nazwiemy zachodnią połową Środkowej Europy? Na pewno Austrię, Niemcy Zachodnie, Szwajcarię, Holandię. Czy także Belgię? Myślę, że póki spór językowy między Wallonami a Flamandami (z winy Flamandów) pozostaje w stanie obecnego wrzenia, póty Belgię trzeba z mapy Europy, i to każdej Europy, wykreślić: jest to człon ciężko chory, maniakalna nienawiść Flamandów do języka francuskiego jest psychopatyczna, jest *zszokowaniem*, podobnym do tego, który Żydzi i Polacy odczuwają w stosunku do Niemców, czy rasiści z Rodezji i Płd. Afryki w stosunku do Murzynów. Skandynawia? Można by się długo nad tym zastanawiać. Europa dzieli się nie tylko na Wschodnią i Zachodnią, ale także na Północną, Południową i pas środkowy, pas strefy umiarkowanej do kwadratu że tak powiem, pas obejmujący Francję, Szwajcarię, Belgię, Holandię, Niemcy, Austrię, Polskę, Czechy, Węgry, Rumunię. Na południe od tego pasa mamy strefę śródziemnomorską, która ma inne cechy, i inną osobowość. Na północy od tego pasa rozciąga się Europa Północna, która obejmuje Anglię, Irlandię, Szkocję, Walię, Norwegię, Danię, Szwecję, Finlandię, państwa bałtyckie. A za naszą granicą wschodnią rozciąga się Wschód, który obejmuje Rosję i Turcję, zaś oba te kraje tylko poprzez grzeczność zaliczamy do Europy.

Ale *va pour la Scandinavie*. Trudniejszą sprawą jest kwestia, czy Włochy zaliczyć do tej nowej Europy Środkowej. Są duże analogie, ale i wielkie różnice. Gdy przejdę do omawiania wspólnych charakterystyk obszaru, który nazywam (nieściśle) „Mitteleuropą", nadarzy się okazja do wyliczenia odrębności pozycji Włoch.

◆

Dlaczego Stanom Zjednoczonym udało się stworzenie federacji, a „Mitteleuropie" to nie udało się? Przyczyn oczywiście było dużo, ale wyliczanie wszystkich do niczego nie prowadzi, niczego nie wyjaśnia: historyk, filozof, a także publicysta muszą wskazać na jeden moment, i powiedzieć: ten jest najważniejszy. Otóż sądzę, że tą najważniejszą różnicą był fakt, iż Stany Zjednoczone nie prowadziły przez sto lat i więcej żadnej polityki zagranicznej. Do 1914 r. Stany nie zbroiły się, i nie szukały międzynarodowego prestiżu. Obojętnie im było, jaką mają rangę wśród państw i mocarstw. W praktyce, używając terminów nacjonalistów euro-

pejskich, Stany godziły się z „hegemonią" Anglii, polegały na jej flocie dla zachowania swej niepodległości i swego bezpieczeństwa. Amerykański gaullista, gdyby się taki znalazł, musiałby wołać już za Waszyngtona, że Ameryka godzi się na rolę giermka, że wlecze się w ogonie Anglii, że właściwym federatorem jest Wielka Brytania. Ale w Stanach żaden de Gaulle się nie zjawił, i Amerykanie szczęśliwie przeżyli 120 lat nie zdając sobie sprawy ze swej „podłej" kondycji. Te 120 lat Amerykanie zużyli na bogacenie się, asymilowanie imigracji, na stworzenie własnej cywilizacji, różnej od europejskiej i różnej od angielskiej, na podniesienie stopy życiowej do poziomu, którego świat nigdy przedtem nie zaznał i nawet sobie nie wyobrażał.

◆

Analiza przyczyn sukcesów Ameryki w przeciwieństwie do katastrof Europy leżała u podstaw akcji, która przyświecała twórcom Wspólnego Rynku. Tych twórców było trzech: Robert Schumann, Adenauer i de Gasperi. Reszta, jak Monnet etc., odegrała bardzo pożyteczną rolę, ale to byli suflerzy, nie tenorzy. Anglicy, jak zawsze, okazali się niezdolni do abstrakcyjnego myślenia. Dopiero dzisiaj, kiedy możliwości Wspólnego Rynku, rzucają się wszystkim w oczy, Anglicy robią zwrot o 180 stopni, i dają do zrozumienia, że chcieliby podpisać traktat Rzymski *in toto*, bez wszelkich poprawek. Anglicy raz jeszcze potwierdzili że są pragmatykami.

Anglicy dotąd zachowywali się w stosunku do Europy negatywnie i niechętnie. Dało to Francji możliwości, których nie miała od czasów Wielkiego Napoleona. Po raz pierwszy od Waterloo znalazł się rząd niemiecki, który liczył się bardziej z Paryżem, niż z Londynem. Dopiero ostatnie dwa lata niesamowitych zygzaków i nacisków Paryża zmieniły tę sytuację: dzisiaj akcje Francji i Anglii stoją w środkowej Europie równie nisko. Paryż woła, że Europa musi się uwolnić spod kurateli amerykańskiej: rezultatem tych nawoływań jest to, że po raz pierwszy od końca wojny Europa Środkowa próbuje sama myśleć o Europie i jej roli, nie oglądając się wyłącznie na wskazówki i inspiracje Paryża i Londynu.

◆

Nie będzie żadnego bloku środkowo-europejskiego, nie będzie zjazdu szefów rządu tego regionu. Konferencja, w której wzięliby udział prezydent konfederacji szwajcarskiej, kanclerze Niemiec i Austrii, premierzy Włoch, Holandii, Belgii, trzech czy czterech państw skandynawskich (bo także Finlandii) jest nie do pomyślenia. Wątpię też, by zjawili się pisarze, czy „geopolitycy", którzy by propagowali powstanie tego nowego, a realnego „Międzymorza". Tu wspomnę o dawno zmarłym a dzisiaj zapomnianym Polaku, który przed wojną poważnie nad sprawą „Międzymorza" medytował. Myśl ta była lansowana przez MSZ'et, przez publicystykę polską, i „Międzymorze" miało obejmować wszystkie kraje między Rosją a Niemcami, z Polską jako federatorem. Konstanty Srokowski (bo o nim chcę coś powiedzieć) darzył mnie za mych młodych lat pewną sympatią, głaskał swą Sokratesowską brodę, i głośno myślał: „Jak można stworzyć wspólnotę myśli, planów, interesów od Finlandii do Grecji?" pytał, i zaraz sam sobie odpowiadał: „Bez Niemiec — to wszystko pozostanie na papierze, tylko w oparciu o Niemcy może ta koncepcja nabrać rumieńców życia". I dodawał: „Nie-niemiecka część tego 'Międzymorza' będzie Austrią na wielką skalę, mozaiką narodowości, wiar, ustrojów, ludów — tylko gdzie są Habsburgowie?"

Krytyka Srokowskiego była słuszna, ale dzisiaj „międzymorze" jest nie do zrealizowania. Znaczna część Europy Środkowej pozostaje pod jarzmem rosyjskim, lub, jeżeli komuś ten termin wydaje się za ostry, w rejonie wpływów rosyjskich, i nic nie wskazuje, by Rosja była dzisiaj gotowa pozwolić na komasację tych terenów. Nie wierzę, by Rosja mogła na długą metę usadowić się w Środkowej Europie, utrzymać w swych kleszczach, w swej sferze wpływów, Czechy i Węgry, Rumunię i Jugosławię, tym bardziej Niemcy Wschodnie: w jakiś sposób, kiedyś, do zjednoczenia Niemiec dojść musi. Los Polski wydaje mi się bardziej zagrożony. W żadnym innym kraju Środkowej Europy nie ma dzisiaj tylu rusofilów, to znaczy ludzi, którzy z obawy przed Niemcami gotowi są pogodzić się z pretektoratem rosyjskim.

◆

Mówmy więc tylko o tendencjach, nieuchwytnych, niesprecyzowanych, ale istniejących. Cała Europa jest antykomunistyczna, cała Europa odrzuca hegemonię rosyjską. Ale jest niuans między stosunkiem Anglii i Francji do ZSSR, a „Międzymorza" do Rosji. Kraje Środkowej Europy są bliżej Rosji, znają ją lepiej, bardziej obawiają się jej. W Anglii, we Francji rusofilów jest dzisiaj niewielu, mało kto bierze na serio zwrot o „Europie do Uralu". Ale Francja i Anglia gotowe są prowadzić gierkę dyplomatyczną z Rosją, posługiwać się tym laufrem. W Środkowej Europie nastroje są bardziej anty-rosyjskie niż anty-sowieckie. Zapewne, wojny z Rosją nikt nie chce i nikt serio o niej nie myśli. Ale ludziska bojąc się Rosji, mniej łatwo godzą się z jej wpływami, groźbami, ingerencją, niż ludzie z europejskiego Dalekiego Zachodu. Awersja do Rosji wydaje mi się najsilniejsza w Austrii, potem w Niemczech, ale wyczuć ją można bez trudu także w Danii i w Szwecji, podczas gdy w Szwajcarii antykomunizm jest silniejszy od rusofobii. Chwała Bogu, że tak jest. Te nastroje uniemożliwiają jawnym rusofilom w NRF — jak cała FDP, czy ukrytym — jak Schroeder, szukać energiczniej porozumienia z Rosją. Te nastroje środkowo-europejskie hamują też zapędy prorosyjskie Anglii i Francji. Pielgrzymując do Moskwy w marcu 1960 r. Macmillan pogrążył siebie i Anglię w opinii środkowych

Europejczyków, i żadne cofania się nie pozwoliły mu już odrobić tej straty. De Gaulle poszedłby dalej na drodze flirtu z Moskwą, gdyby go jego właśni dyplomaci nie przestrzegali, że to może go drogo w całej Europie Środkowej kosztować. Stosunek do Rosji — to jedna z wielkich linii podziału pomiędzy Środkową Europą, a Londynem i Paryżem. I ta linia nie będzie z dnia na dzień zasypana. Ilekroć Paryż czy Londyn próbują zmobilizować na swoją korzyść ogromny potencjał polityczny i gospodarczy „Mitteleuropy", tylekroć muszą odskakiwać od Rosji, od Sowietów, jakby się poparzyli.

◆

Druga wielka linia podziału między Środkową a Zachodnią Europą — to stosunek do Stanów Zjednoczonych. Francja i Anglia dotąd nie zrezygnowały z ambicyj a w każdym razie z marzeń imperialnych. Co oznacza angielski *special relationship?* Oznacza, że Anglia chciałaby wyzyskać wspólność języka i częściową wspólność rasową, by móc wpływać na politykę amerykańską, być niejako mentorem Ameryki, i rozporządzać całą jej potęgą jako kartą w swej własnej grze. W gruncie rzeczy Francja dąży do tego samego, tylko wierzy w naciski, a nie w przymilanie się. Natomiast środkowa Europa własnych ambicyj współrządzenia światem nie ma. Kontentuje się amerykańskim parasolem atomowym i godzi się z nieuniknioną w tej sytuacji zależnością od U.S.A. Środkowa Europa zachowuje się wobec Ameryki tak, jak Ameryka zachowywała się przez cały 19-y wiek wobec Anglii. „Niech Amerykanie nas bronią, a my będziemy zarabiać", powiadają sobie Środkowi Europejczycy, zarówno Niemcy, jak Austriacy, Skandynawowie, Włosi czy Benelux. Nie chcą się sami bronić, kosztuje to za drogo, i poza tym nie wierzą w skuteczność tej własnej obrony. Oczywiście nikt ani na chwilę nie bierze na serio możliwości obrony obszaru środkowo-europejskiego przez Anglię i Francję łącznie, cóż dopiero oddzielnie przez te dwa skłócone a w każdym razie rywalizujące mocarstwa na urlopie czy nawet na emeryturze. Ten stosunek do Ameryki, to drugi wielki *cliveage* i drugi stały element nastawień politycznych Środkowych Europejczyków.

◆

Idea europejska, to znaczy federacji, jest dużo silniejsza w Europie Środkowej, niż we Francji a zwłaszcza niż w Anglii. Europa Środkowa lepiej zdaje sobie sprawę z szalonego spadku roli Europy w świecie, a więc i każdego z państw europejskich. Kto, jeszcze w roku 1938, liczył się ze światem poza-europejskim, wyjąwszy Stany Zjednoczone? Państwa kolonialne przemawiały wówczas w imieniu setek milionów narodów podległych, i milionów kilometrów kwadratowych obszarów zależnych, i nikogo to nie dziwiło, nikt się nie pytał, czy Hindusi lub Senegalczycy

chcą się bić o Gdańsk czy Sudety czy Sarajewo. W roku 1939 pokój świata zależał jeszcze od plus minus każdego sporu terytorialnego w Europie. Czy dzisiaj jest tak nadal? Zapewne, Berlin, Niemcy Wschodnie mogą jeszcze taką pożogę wywołać. Ale spór o Transylwanię? Czy Macedonię? Czy Tyrol Południowy, który tak roznamiętnia dwa wielkie, cywilizowane i zasłużone dla ludzkości narody? Czy ewentualny konflikt włosko-jugosłowiański o Istrię nie będzie równie stłamszony, jak został spławiony konflikt o Cypr, ku zdumieniu naprzód Turków, potem Greków? Jak konflikt o Kaszmir?

Co można przeciwstawić idei europejskiej? Koncert mocarstw w takim czy innym wydaniu? Są ludzie — jest ich coraz mniej — w Anglii i Francji, którzy jeszcze w tę starą formułkę wierzą. Ale w środkowej Europie, która ostatecznie zapłaciła rachunek za te „koncerty", naprzód w wypadku Austro-Węgier, potem w postaci pasa między Rosją a Niemcami, wreszcie Niemiec i Włoch, wiara w cnoty i zalety takiego koncertu, *Balance of Power* etc. jest z natury rzeczy minimalna. Francja i Anglia mogą się łudzić — coraz trudniej! — że w tym nowym, już nie europejskim ale światowym koncercie mocarstw, znajdą się i dla nich jeżeli nie fotele, to krzesełka. Ale Środkowi Europejczycy są bardziej trzeźwi: wiedzą, że dla nich nie znajdzie się już nie to krzesełko, ale choćby marny stołek.

Środkowa Europa wie, że głos jej może się tylko rozlegać na forum europejskim, i via Europa. „Międzymorze" nie interesuje się Azją, Afryką, Dalekim Wschodem, Południową Ameryką, zdaje sobie sprawę, że losy Wietnamu czy Malezji zależą tylko od Ameryki, Chin i Rosji, może Japonii, i umywa ręce. Europa środkowa albo nie miała wcale, albo miała niewielkie powiązania kolonialne, i całkowicie z nich zrezygnowała. Holandia dziękuje Bogu, że się pozbyła Indonezji, Belgia strawiła utratę Konga, Niemcy zapomniały o swym krótkim intermezzo kolonialnym, Włochy dały spokój marzeniom o „Imperio", Austria nie pragnie kłopotać się nawet o Zagrzeb czy Pragę, czy nawet najbliższy jej Budapeszt. Szwajcarzy, Skandynawowie najsilniej pchają w kierunku wyłączności europejskiej. Jeżeli Środkowa Europa niewątpliwie popierała politykę wycofania się Francji z Algierii, to dlatego, że pragnęła, by Francja, zerwawszy z tradycją kolonialną, mogła całkowicie poświęcić się Europie. Podobnież tęsknoty i złudzenia angielskie co do *Commonwealth and Empire* nie napotykają w sercach Środkowo-Europejczyków na najmniejsze echo. Najwięksi Anglofile są gotowi akceptować Anglię, już tylko bardzo niechętnie Kanadę czy Australię, ale ogona tej komety brytyjskiej, wszystkie te Ghany, Zambie, Malawi, Malayów — za nic.

Po potwornych ekscesach nacjonalistycznych ostatnich stu lat Europa środkowa przeżywa odpływ nacjonalizmu. Nikt nigdy nie wierzył w „Helweto-centryzm", a „Italo-centryzm" Mussoliniego także nigdy nie był brany poważnie. Dzisiaj przeciw nacjonalizmowi przemawiają doświadczenia, które były fatalne gdy

chodziło o podkreślanie co dzieli, a doskonałe, gdy chodzi o współpracę, kompromis, zbliżenie ostatnich 20-u powojennych lat. Europa środkowa, bardziej mozaikowata, bardziej zagrożona, bardziej rozparcelowana i zbałkanizowana, silniej odczuwa potrzebę jedności, niż Franko-Anglicy, którzy wciąż chorują na ciągotki do dawnych miraży hegemonicznych, do anglo-centryzmu, czy franko-centryzmu. Osobiście sądzę, że w Anglii odkąd Heath stał się leaderem Torysów (ta zmiana jest ważniejsza, niż dojście Labour do władzy, bo w ciągu ostatnich 65 lat Torysi byli 75% czasu u władzy, a Liberałowie względnie Partia Pracy tylko przez 25% tegoż czasu mogli sami rządzić) odwrót od miraży imperialnych jest bardzo poważny i bardzo zdecydowany. Co prawda w Anglii walka o to czy Wyspa ma się stać satelitą amerykańskim (jak Australia), czy też częścią Europy nie jest jeszcze zdecydowana. Co do Francji uważam Gaullizm za jedną z walk ariergardowych, do których Francuzi mają predylekcję. Restauracja była walką ariergardową o monarchię z Łaski Bożej, Gaullizm jest próbą wskrzeszenia koncertu mocarstw.

◆

Poza wspólnymi *attitudes* w polityce zagranicznej — tęsknotą do jedności Europy, godzeniem się z parasolem atomowym U.S.A., podejrzliwością i niechęcią wobec Rosji, brakiem ambicji kolonialnych i światowych, odrzuceniem tezy o wyższości Francuzów i Anglików — co te narody od Cap Nord do Sycylii mają wspólnego? Abstrahując od Włoch, lista podobieństw byłaby bardzo długa. Przewaga krwi germańskiej rzucałaby się w oczy. Przemieszanie wyznań byłoby drugą cechą, co prawda z wyjątkiem katolickiej Austrii i protestanckiej Skandynawii. Trzecim byłby brak zarówno silnych partyj komunistycznych (znowuż z wyjątkiem Włoch) jak i bojowej, radykalno-lewicowej inteligencji. Czwartym byłaby stałość obyczajów politycznych, która jest ważniejsza od instytucyj. We wszystkich tych krajach formy parlamentarne wydają się mocno zakorzenione, tarcia partyjne są bardzo osłabione, a „wielkie koalicje" od konserwatystów do socjalistów są częste.

W Austrii „wielka koalicja" rządzi bez przerwy od 20 lat. W Niemczech nie ma jej w Bonn, ale fakt istnienia rządów koalicyjnych czy czysto socjalistycznych w tylu miastach, w tylu „krajach" musi wpływać na oblicze kraju, gdzie rządy krajowe i zarządy miejskie mają o tyle więcej do powiedzenia i do zdecydowania, niż w Anglii i we Francji. W Belgii mamy znowu do czynienia z czarno-czerwoną koalicją. W Holandii ta sama formuła była już parę razy wypróbowana. We Włoszech koalicja Chadeków z Nennim (która zresztą zdaje wybornie egzamin, odciąga Nenniego i jego ludzi dużo skuteczniej od komunistów, niż „zwalczanie" tej grupy) jest omal dokładnym odbiciem „Wielkiej Koalicji", rządzącej w Wiedniu, a prawdopodobnej jeżeli nie teraz to za cztery lata w Bonn. W Szwajcarii istnieje po prostu kartel

stronnictw, do którego należą również „socjaliści", którzy w każdym kraju nosiliby miano „czarnej reakcji", jeżeli nie „czarnej sotni" (vide stosunek do imigrantów!) Oczywiście w Skandynawii jest inaczej. Ale tu działa rybi temperament ludzi północy. I działa fakt, że podobnie jak w Anglii, opozycja nie opponuje a *de facto* współrządzi. Wielka koalicja istnieje w Anglii i w Skandynawii stale, ale oficjalne formy koalicja ta przybiera tylko w chwilach krytycznych, jak np. w Anglii w chwili dewaluacji funta (1931 r.) czy wojny (rok 1940).

Dalszym punktem wspólnym jest praworządność. Uprawnienia policji są niewielkie. Strauss jako minister nie zdołał zniszczyć swego przeciwnika Augsteina ze „Spiegla". Gdy Luebke próbuje wpłynąć na nominacje ministrów, parlament, rząd i sądy nie na żarty przez lupę interesują się interpretacją postanowień konstytucji. W sprawie Johna, tak drażliwej, ostatnie słowo miały sądy. Trybunały wyjątkowe V-ej Republiki są w NRF nieznane, cóż dopiero w pozostałych państwach Mitteleuropy! W całej tej strefie proces Dr. Warda wyglądałby inaczej: sprawy Wilmy Montesi nie zatuszowano jak sprawy Profumo. W sądach tych krajów właściciele pływalni w których dzieją się niezwykłe rzeczy (jak Lord Astor), są wzywani do sądu co najmniej w charakterze świadków.

◆

Kraje tej strefy są dużo demokratyczniejsze, niż Anglia i Francja, snobizm nie jest tutaj tak rozpowszechniony. W żadnym rządzie nie ma odpowiednika Etończyków, *Old School Tie* czy *Brigade of Guards*, trzech filarów rządu Macmillana. W żadnym nie ma tylu milionerów i neo-arystokratów, ze zmienionymi nazwiskami i dodatkiem *particule*, do której nie mają żadnego prawa, jak w gabinetach V Republiki. Szwajcaria ze swych patrycjatem, Włochy ze swymi *princes Romains* odbijają trochę od tej demokratycznej szarzyzny, ale tylko trochę. Oczywiście Norwegia jest z tych wszystkich krajów najautentyczniejszym społeczeństwem chłopskim, bez szlachty, bez dworu, bez oligarchii i kasty rządzącej, ale głębokie poczucie równości jest głębiej zakorzenione w całej Środkowej Europie, niż na jej Zachodnich Przyczółkach. Austria i Niemcy pozbyły się wiekowej przewagi dynastyj, szlachty, arystokracji, junkrów, nawet plutokracji: w Austrii rządzi drobna burżuazja, w Niemczech technokraci i managerzy wielkich koncernów, ludzie sprawni, i bez kompleksów, zwłaszcza bez kompleksu niższości, czy to wobec ministrów, czy wobec miliarderów, czy wobec arystokratów. W życiu codziennym mniej widzę w tej strefie podziałów klasowych, niż na Dalekim Zachodzie. Tylko w Anglii może się utrzymać podział karczm na *pub* dla robotników, i na *saloon* dla reszty, dla *better people*. Tylko w Anglii dwie koleżanki z tegoż biura mogą z sobą latami nie rozmawiać, bo jedna uważa, że druga pochodzi z niższej strefy. We Francji różnice dochodów

stanowią nieprzeparte bariery socjalne. Mitteleuropa jest mniej demokratyczna od Stanów, dużo bardziej demokratyczna od Francji i Anglii.

◆

W polityce ekonomicznej przepaść między Dalekim Zachodem Europejskim, a Środkową Europą jest największa. Z grubsza uważam, że ani Anglia, ani Francja nie dostosowały się dotąd do ekonomiki XX wieku, Ani Anglia ani Francja dotąd nie uporały się naprawdę ze zmorą *inflacji*. Wzrost cen w Anglii i Francji jest nadal stale dwa razy większy, niż w Niemczech, trzykrotnie większy niż w Szwajcarii.

Inflacja pociąga restrykcje dewizowe. Nie ma ich w Niemczech, w Szwajcarii, w Holandii, i tylko te trzy kraje mogłyby pretendować do dostarczenia światu walut rezerwowych, na równi z dolarem. Aspiracje funta są śmieszne: nie ma Europejczyków, którzy by trzymali swe rezerwy w funtach, wszyscy już dawno je przenieśli do Nowego Jorku czy do Genewy. Strefa sterlingowa ma jako głównego klienta Australię, a jako klienta numer dwa szeika Kuwaitu, który deponuje w Londynie aż 300 milionów funtów. Stara się on teraz gwałtownie o zgodę angielską na przeniesienie tego skarbu do Nowego Jorku lub do Szwajcarii, ale *Bank of England* oczywiście odmawia. Gdy Anglicy oddadzą Aden i zabiorą ostatnie garnizony z Zatoki Perskiej i Middle East'u, kto temu szeikowi zabroni zabrać swój trzos z Londynu? Czyż można serio mówić o walucie rezerwowej, która ma takie oparcie? Czy można się dziwić, że w tych warunkach cała Środkowa Europa zamiast siedzieć u stóp Albionu i czerpać mądrość z ust *City*, zamienia się w mentora? Anglicy fatalnie te nauki znoszą, ukuli wyrażenie *The gnomes of Zurich* na oznaczenie bankierów szwajcarskich, widzą złym okiem, że dawne miejsce Montagu Normana objął Blessing, prezes niemieckiego banku emisyjnego, ale nie ma rady: jak się siedzi u kogoś w kieszeni, nie można podnosić głosu, lecz trzeba stulić uszy.

Francja ma dzięki Pinayowi zrównoważony bilans płatniczy, ale frank nie jest międzynarodową walutą. W samej Francji są rachunki *en francs courants i en francs convertibles*. Przekazy nawet niewielkich sum wymagają zezwolenia *de l'Office des changes*. Wywóz banknotów, przydział dewiz na wyjazdy zagranicą, eksport kapitałów dla tubylców, nabywanie nieruchomości zagranicą — wszystko to jest ograniczone. Kto w tych warunkach będzie udzielał kredytu we frankach, kto będzie lokował większe sumy na francuskim rynku pieniężnym? Czyj handel, poza swoim i eks-kolonij, Francja dzisiaj finansuje? Jaką rolę Francja odgrywa na światowym rynku kredytowym, czy rynku surowców, jakie są obroty giełdy paryskiej? Dwudziestokrotnie mniejsze od giełdy londyńskiej, która sama jest kantorkiem w porównaniu z Wall Street. Jak w tych warunkach można przez chwilę sądzić, że banki i firmy Środkowej Europy szukają wskazówek w Londynie czy Paryżu.

W Anglii jest wielki aparat bankowy, ale przestarzały (za dużo pośredników, banki ,*brokers, jobbers, discount houses* etc.) i brak kapitałów: Anglicy muszą pożyczać od zagranicy, i potem tymi pieniądzmi dalej operować na wyższy procent. Jest to ryzykowny interes, i stąd ciągłe obawy o losy funta. Francja nie ma aparatu bankowego godnego tej nazwy. Bank Francji sam udziela kredytów, a nie tylko redyskonta, bo musi wyręczać nieistniejący aparat bankowy. Wkłady bankowe we Francji, bez kas i instytucyj państwowych, dochodzą zaledwie do 60 mld. fr. czyli 12 mld. dolarów. To grosze. Wartość wszystkich akcji notowanych na giełdzie paryskiej (spadły o 27 % od trzech lat) waha się dookoła 100 mld. fr., 20 mld. dolarów. Wartość akcyj samej General Motors wynosi 17 mld. dol.

Pas środkowo-europejski był tradycyjnym pasem inflacji aż do roku 1950. Teraz jest to pas stałości monetarnej, i obfitości wkładów i kredytów, dużo większej, niż w tradycyjnych ośrodkach bankowych Paryża i Londynu. Od 1870 r. Francja była mniej uprzemysłowiona od Niemiec, ale za to miała większe zasoby finansowe. Podobnie Anglia. Dzisiaj oba państwa zachodnie i tutaj swój prymat utraciły. A dobra waluta, obfitość kapitałów — to są też elementy potęgi, realniejsze od sił atomowych.

Oczywiście aparat kredytowy państw środkowej Europy nie jest dostatecznie rozwinięty, z wyjątkiem Szwajcarii, która w pełni działa jako eksporter kapitału. Holandia i Niemcy zaledwie zaczynają wstępować na tę drogę. Ale Austria pozostaje, niestety, bardzo w tyle, nie umie wykorzystywać swych ogromnych nadwyżek, płynących w dużej mierze z turystyki. Austria powinnaby występować już jako poważny kredytodawca na europejską skalę, a przynajmniej dać spokój zapożyczaniu się zagranicą: po co ma zwiększać swe zapasy dewiz? Takoż Włochy mogłyby lepiej wykorzystywać swój wewnętrzny rynek finansowy: nie ma sensu by takie koncerny jak Montecattini szukały zagranicą kapitałów, i to gdzie? W Anglii!

◆

Protekcjonizm jest w Środkowej Europie słabszy, niż w Anglii i Francji. Anglia dzieli dzisiaj z... Portugalią wątpliwy zaszczyt posiadania najwyższych taryf celnych. Dzięki Wspólnemu Rynkowi Francja weszła na drogę liberalizmu handlowego, po raz pierwszy od anglo-francuskiego traktatu handlowego z 1860 r. Ale jak zawsze, Francuzi co zrobią od frontu, to odrobią tylnymi drzwiami. Francja wymyśliła opłaty *de compensation*, niby to, żeby wyrównać różnice w opodatkowaniu. W rezultacie samochody jej partnerów płacą dzisiaj cła 12 % (zamiast 30%, jak dawniej), ale za to 15 % tytułem *compensation*, czyli razem 27 %. Ale w każdym razie w dziedzinie ceł postęp we Wspólnym Rynku jest poważny, i jest to duża przynęta dla nie-członków. Ta wędka będzie nęcić coraz bardziej, tym bardziej, że Anglia podcięła swą *Free Trade Area*, podnosząc bez uprzedzenia swe i tak

olbrzymie cła o 15 %. Czytelnik polskiej prasy emigracyjnej, której rubryki ekonomiczne są wyjątkowo opłakane, nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo Anglia osłabiła swe własne wpływy w Europie i w „Siódemce" tą nierozumną podwyżką, o ile by lepiej zrobiła z miejsca dewaluując funta.

◆

W dziedzinie produkcji przemysłowej to samo. Środkowa Europa, jako całość, jest dzisiaj drugą po Stanach najbardziej produkcyjną częścią globu ziemskiego, a jeśli chodzi o tempo wzrostu, to w latach 1958-1964, do chwili nadzwyczajnego zrywu w górę Ameryki, była nawet pierwszą. Pomińmy dane za lata 1945-58: był to okres odbudowy zniszczeń wojennych, i cyfry za ten okres były często przypadkowe, zależne od rozmiarów pomocy amerykańskiej. Ale w ciągu lat 1958-64 Włochy zwiększyły swą produkcję o 79 %, NRF o 70 %, Francja tylko o 40 %, a Anglia o niespełna 20 %. To daje miarę ogromnej dysproporcji na korzyść Europy Środkowej. Holandia znajduje się bardzo blisko Niemiec, i jest ona jedynym krajem, obok NRF, który reewaluował swą walutę o 5 % (w roku 1961). Europa Środkowa nie tylko zwiększa rekordowo produkcję, ale zwiększa ją nadto bez inflancji, bez kłopotów dewizowych.

Środkowa Europa ma znacznie mniejsze wydatki wojskowe od Francji i Anglii, i ta okoliczność jest jedną z głównych przyczyn rozwoju tej części świata. Francja i Anglia nie tylko wydają więcej pieniędzy na dywizje, kadry, bazy, okręty, armaty, lotnictwo, ale przede wszystkim te dwa państwa rozbudowały kolosalnie przemysły wojenne, specjalnie przemysł lotniczy. Zapewne, Szwajcaria ma sławną fabrykę zbrojeniową w Oerlikon pod Zürichem, należącą do spadkobierców nowożytnego Zacharowa, słynnego Buehrle: jak na majątek jednego człowieka, Oerlikon jest kolosalny, ale jako międzynarodowy przemysł zbrojeniowy — to niezmiernie mało. Tak samo Szwecja ma swe Boforty etc., ale to też drobiazg. Niestety, Anglia zatrudnia w przemyśle lotniczym 180 tys. ludzi, Francja 90 tys. Co gorsza Anglia przeznacza 40 % wysiłku w dziedzinie *scientific research* na lotnictwo, a przemysł ten reprezentuje zaledwie 6 % eksportu brytyjskiego. Dla Francji cyfry są dość podobne, choć mniej groźne. Dzisiaj przemysł lotniczy jest wykończony, zbrojenia przyszłości, to rakiety, to kapsule kosmiczne, może stacje kosmiczne w niedalekiej przyszłości. Przemysł lotniczy stał się dla „obrony" równie bezużyteczny, jak koleje strategiczne z takim wysiłkiem budowane aż do 1939 roku. Utrzymanie przy życiu tych *White Elephants* kosztuje Anglię i Francję miliardowe subsydia, zmusza ich do próbowania „Concorde'y", o której wiadomo, że nie wytrzyma nigdy konkurencji amerykańskiej, zmusza ich do szukania zamówień choćby nawet u Murzynów, z czapką w ręku i trwogą w sercu. A tymczasem NRF, która miała ten rozum, że NIE rozbudowała przemysłu zbrojeniowego, znajduje się w szczęśliwej sytuacji największego potencjalnego nabywcy czołgów, samolotów, rakiet. Zamówienia sprzętu wojskowego przez NRF reprezentują wartość kilku miliardów dolarów rocznie. Cóż dziwnego, że u jej drzwi jest rojno i tłumnie! Ileż pozornie tajemniczych zygzaków na międzynarodowym parkiecie tłumaczy się po prostu chęcią zdobycia (emablowaniem albo szantażem) deszczu zamówień, o których marzą kierownicy zetatyzowanych firm lotniczych i ministrowie skarbu! Nie tylko zubożałe Anglia i Francja, ale bogate Stany walczą jak lwy o te zamówienia.

Francja i Anglia mają fabryki samolotów, które stały się niepotrzebne, i na które nie mają nabywców. Niemcy natomiast zbudowały fabryki obrabiarek, maszyn, kopaczek, wagonów, narzędzi optycznych, precyzyjnych etc., o które muszą się rozbijać kraje uprzemysłowione i *Tiers-Monde*.

Weźmy inny przykład, paryski *Le Monde* w roku ub. zakupił całkowicie nowy garnitur maszyn drukarskich, odnowił swą drukarnię od stóp do głowy. Gdzie zrobił te zakupy? W Szwajcarii! Gdzie są najlepsze kotły? W Szwajcarii! Gdzie są najlepsze stale szlachetne? W Szwecji. Który przemysł chemiczny jest najbardziej (w Europie) postępowy? Włoski! Zbrojenia i przemysły zbrojeniowe są kamieniem młyńskim u szyi Francji i Anglii.

Mówi się w prasie o tym, czy Niemcy zdobędą prawo posiadania broni atomowych, czy nie. W związku z tym mówi się i pisze o stanowisku Sowietów, de Gaulle'a, Ameryki, a także o Schroederze, Straussie, rewizjonistach etc. W moim przekonaniu, Ameryka, Anglia i Francja zmuszą Niemcy do kupowania u nich reaktorów atomowych, bo mają ich za dużo, a Niemcy są znowu najlepszym potencjalnym klientem. Będzie to samo, co z lotnictwem, co ze zbrojeniami klasycznymi. Chciwość znacjonalizowanych fabrykantów broni jest niemniejsza, niż prywatnych *marchands de canons*.

◆

Niemcy i Holandia inwestują 25 % dochodu narodowego, Francja 18 lub 20 % (istnieje spór, przechylam się do niższej cyfry), Anglia 14 %. To jest cyfra decydująca, ważniejsza od dochodu narodowego, od zapasów złota etc., bo ta cyfra rzuca snop światła na *przyszłość*. Jedna Japonia bije rekord niemiecko-holenderski, bo inwestuje aż 30 % dochodu narodowego. Między rokiem 1950 a 1963 Niemcy zainwestowały w sam przemysł, nie licząc inwestycji rolnych, handlowych, mieszkaniowych (olbrzymich), nie licząc odbudowy kapitałów obrotowych etc., STO miliardów dolarów. Proporcjonalnie Holandia, Skandynawia, Włochy inwestowały mało co mniej. W każdym razie Środkowa Europa wybija się na czoło całej Europy w dziedzinie wolumenu inwestycyj, a to znowu jest ważkim czynnikiem politycznym.

Nie tylko chodzi o kwotę, o procent. Chodzi też o rentowność i jakość tych inwestycyj. Środkowa Europa nie marnowała swych zasobów na zamorskie, egzotyczne kraje. Nie rozbudowywała Pierrelatte, ale budowała autostrady i drogi wodne. Francja w

ostatnim 20-leciu utopiła olbrzymie pieniądze w Indochinach, w Algierii, w Maroku, w Tunisie, w Saharze. Anglia poniosła nie mniejsze straty na Malajach, w Chinach, w Indiach, w Afryce, w Egipcie, i musi się liczyć z odpisem dalszych sum miliardowych.

Środkowa Europa bardzo rozumnie otworzyła szeroko drzwi dopływowi kapitałów z zewnątrz, przede wszystkim kapitałowi amerykańskiemu, który jest *najlepszym* kapitałem zagranicznym, który kiedykolwiek się gdziekolwiek instalował. Co stanowi kryterium, dzięki któremu można rozróżniać dobry kapitał od złego? Aport techniczny i inwestycje. Gdy kapitał zagraniczny przynosi ulepszone techniki i *inwestuje*, jest pożyteczny. Jeżeli nie — do bani z takim kapitałem obcym! Przedwojenny kapitał zagraniczny u nas mało albo wcale nie inwestował, więc był słusznie przedmiotem żywej niechęci. Poza tym był to kapitał płochliwy, sklerotyczny, staromodny, który nawet u siebie w domu nie był zdolny do żadnego ryzyka i do żadnej ekspansji. Przemysł tekstylny należał w samej Francji do najbardziej zacofanych: jak mógł w Polsce odgrywać rolę pioniera? Belgijski, angielski były mało co lepsze.

Oglądałem niedawno w Ruesselsheim pod Frankfurtem kolosalną fabrykę samochodów Opel, która w całości należy do General Motors (ma drugą w Bochum, gdzie produkuje modele Opel-Kadett). Jest 40 tys. robotników, inżynierów etc.: 97 % personelu to są Niemcy. Połowa produkcji idzie na eksport. Produkcja wynosi pół miliona wozów rocznie, zajmuje drugie miejsce po Volkswagenie. Płace robotnicze należą do najwyższych w Niemczech. Obok gigantycznych hal widzi się niekończące się parkingi z autami pracowników, zupełnie jak w Ameryce. Na niezliczonych rozjazdach kolejowych ładują nowe wozy na platformy kolejowe, albo na przystaniach na Menie na statki i galary, a nawet na lotnisku do czeluści samolotów transportowych. Jakiego trzeba obłędu, by w tym upatrywać niebezpieczeństwa, by z takim kapitałem walczyć. Miliony Niemców mają wozy Opel, z których są bardzo zadowoleni, miliony obywateli innych państw tak samo, miliony pracowników cieszą się z dobrych zarobków, państwo inkasuje ogromne podatki, stacje benzynowe, pośrednicy handlowi, warsztaty reperacyjne — wszyscy na tej firmie zarabiają, a Amerykanie cieszą się, że z robotnikiem niemieckim mają dużo mniej kłopotów, niż z Anglikiem. Obliczono, że inwestycje amerykańskie we Francji przynoszą przeciętnie 10 % zysku rocznie, a natomiast z pomocy francuskiej dla *Tiers Monde* 80 % — to są zasiłki bezzwrotne, a reszta ma przynosić (w teorii) koło 3 % rocznie. Jak długo można upierać się przy tak rujnującej polityce? Jeżeli Francja rzeczywiście nie chce inwestycyj amerykańskich, to niech ogranicza pomoc dla państw zacofanych, i wpompuje te sumy w gospodarkę francuską, która wówczas będzie mniej musiała szukać pomocy amerykańskiej. Tymczasem najbardziej rozwijają się we Francji te działy, w których partycypacja amerykańska jest największa,

więc przede wszystkim budowa rafineryj naftowych, gdzie zwyżka w stosunku do ub. roku wyraża się cyfrą 13 %. Natomiast w przemyśle tekstylnym, niemal stuprocentowo francuskim (jest tylko kilka procent stareńkich kapitałów belgijskich i angielskich), zamiast zwyżki produkcji jest spadek, zamiast wzrostu inwestycyj — dekapitalizacja.

Więc w całej tej arcyważnej dziedzinie inwestycyj i stosunku do kapitału zagranicznego nie ma, wbrew traktatowi Rzymskiemu, wspólnej polityki Szóstki, natomiast ustala się faktycznie wspólna polityka Środkowej Europy, choć pięć państw tej sfery należy do Wspólnego Rynku. I co? Może ta Piątka (6 minus 1) przejdzie na podwórko francuskie. Ależ nie może o tym być najmniejszej mowy! Wszystko co robi dzisiaj Bruksela, to są gierki na przeczekanie, a czego (czy raczej kogo) — to wiadomo. VI Republika szybko się upodobni do Pasa Środkowo-europejskiego, który jest już trzonem przyszłej Europy.

◆

Dwa słowa o budownictwie mieszkaniowym. W stosunku do ludności największe budownictwo mieszkaniowe ma Norwegia: tam od lat buduje się 10,6 mieszkań na tysiąc mieszkańców (we Francji 6, w Anglii 4). Od czasu wojny NRF zbudowała 8 i pół miliona mieszkań, Anglia 4, Francja 3. Włochy dzisiaj wyprzedzają Francję, jeśli chodzi o ilość wykończonych mieszkań. Produkcja cementu jest dobrym wskaźnikiem intensywności ruchu budowlanego. Otóż ta produkcja w NRF wynosi 40 mlj. ton rocznie, we Włoszech 25 mlj., we Francji 20 mlj., w Anglii zaledwie 15 mlj. ton. Produkcja cementu jest również silnie związana z budową dróg i z wolumenem robót publicznych.

◆

Dwa słowa o motoryzacji. Zarówno w Anglo-Francji, jak i w Europie Środkowej (Włochy pozostają jeszcze nieco w tyle) stopień motoryzacji jest plus minus ten sam: około 40 % rodzin posiada wóz; motocykl zanika, wóz małolitrażowy ustępuje miejsca Volkswagenowi, Dauphince czy Austinowi, wóz luksusowy idzie na złom, wóz średni staje się standartem. Ale cena benzyny we Francji jest najwyższa w Europie. Skutkiem tego Niemiec, Holender, Szwajcar, Szwed robią po 18 tys. klm. rocznie na swym wozie, Anglik dwanaście, a Francuz zaledwie 9. Dużo większa przepaść dzieli Środek od Dalekiego Zachodu, gdy chodzi o autostrady: sieć niemiecka wynosi 3 tys. km. z okładem, włoska blisko 2 tys., holenderska jest na 3-im miejscu, a potem dopiero włóczą się Anglia i Francja, które tych autostrad (w małych kawałkach) mają plus minus po 500 km. Belgia, Austria, Szwecja, Dania robią dzisiaj większy wysiłek w budowie autostrad od obu „mocarstw" zachodnich. Tu nie ma żadnej ekskuzy. Gdy się daje ludziom samochody, trzeba im dawać au-

tostrady. Transport jest, obok energii, nerwem życia gospodarczego. Autostrad potrzebują przede wszystkim ciężarówki, autostrady wychodzą w pierwszym rzędzie na korzyść zawodowym szoferom, *les routiers* (znowu termin, którego nie ma w jęz. polskim!). A tymczasem w „Le Monde" jakiś hebes, prezes jakiejś młodzieży komunizującej, pisze w którejś „Tribune Libre", że rząd Pompidou jest „reakcyjny", bo bardziej zwiększa kredyty na autostrady, niż na uniwersytety. Zawsze ten „elitarny" to znaczy reakcyjny punkt widzenia. Interesy studenta czy inteligenta są ważniejsze od interesów robotników transportowych, których jest o tyle więcej, i którzy są bardziej potrzebni. *Au fond* inteligencja chce wszędzie mieć dawne przywileje szlachty. W Europie Środkowej takich abominacyj nikt nie śmie pisać. Natomiast u nas, już przed wojną, cóż dopiero dzisiaj, inteligencja przypomina do złudzenia dawną szlachtę-gołotę.

◆

Dwa słowa o planifikacji, diryżyzmie i socjalizmie. Różnica między Pasmem Środka a Dalekim Zachodem polega na różnicy między doktrynerstwem a pragmatyzmem. Anglicy czepiali się doktrynerstwa liberalnego, negując, że planowanie inwestycyj publicznych i użyteczności publicznej jest konieczne. Francuzi zrobili z planizmu fetysz, tak jak Anglicy zrobili go z kredytu. Kredyt nie może zastąpić oszczędności, sprawności *(efficiency)* i postępu technicznego, i tych koniecznych warunków nie zastąpi też planifikacja. Francuzi upaństwowili kredyt, i banki upaństwowione okazały się jeszcze bardziej konserwatywne i zaśniedziałe od banków prywatnych. Nie widzę żadnych korzyści z upaństwowienia Renault, czy Sud Aviation.

Prawda, w Austrii prawie cały przemysł stalowy jest upaństwowiony, poza tym przemysł naftowy (o ile nie jest zagraniczny), wielkie banki etc. Casus austriacki jest w krajach Środka wyjątkiem, a nie regułą: np. w krajach skandynawskich znacjonalizowanych przemysłów poza kolejami jest bardzo mało, np. cała żegluga, tak ważna, znajduje się w rękach prywatnych. Wyjątek austriacki tłumaczy się nie tylko spadkiem wojny, ale także brakiem kapitałów rodzimych po 40 latach katastrof politycznych i inflacji. Socjalizacja jest przeważnie bronią (nieraz podświadomą) przeciw przewadze, tym bardziej monopolowi kapitału zagranicznego. Zwiększona ostatnio formacja kapitałów rodzimych w Austrii będzie sprzyjać denacjonalizacji licznych przemysłów i fabryk.

Doświadczenie wskazuje, że nacjonalizacja nie daje robotnikom nic. *L'état est un mauvais patron,* ta opinia jest wszędzie prawdziwa. Płace w przedsiębiorstwach znacjonalizowanych są niższe, specjalnie dla średnich stopni, zakres inicjatywy jest mniejszy, możliwości awansu są powolne. Stosunek przedsiębiorstw znacjonalizowanych do postępu technicznego jest obskurancki, a stosunek do konkurencji jest ciasny i krótkowzroczny: np. we Francji znacjonalizowane koleje walczą z budowaniem autostrad, bo boją się konkurencji transportu drogowego, one też są przeciwne koniecznej budowie drogi wodnej Ren-Rodan, Rotterdam-Marsylia, bo znowuż boją się konkurecji transportu wodnego etc. Znacjonalizowane francuskie kopalnie węgla walczą z konkurencją nafty i benzyny.

Oczywiście wszystkie te problemy są skomplikowane, i w wielu wypadkach mogą roztrzygać tylko technicy. Oto dwa przykłady tych trudności. Ulice miast europejskich doszły do granic wytrzymałości: trzeba więc budować środki transportu pod ziemią, albo nad ziemią. W związku z tym Mediolan zbudował ostatnio metro, pono najlepsze technicznie w Europie, buduje je Bruksela, buduje je aż 8 (osiem) miast NRF (we Frankfurcie będzie niebawem otwarte) etc. Pompidou kategorycznie odmówił burmistrzowi Lyonu, energicznemu panu Pradel, grosza na ten cel, czym zresztą spowodował, że lista UNR, z Herzogiem na czele, przegrała wybory miejskie w Lugdunie z kretesem, nie zdobyła ani jednego mandatu. Ale są poważne argumenty przeciw budowaniu metra. Może jednoszynowiec i poduszkowiec *(Hovercraft* po ang., *aero-glisseur* po franc., *Luftkissenfahrzeug* po niem, poduszkowiec jest mym własnym wynalazkiem) okażą się niebawem bezpieczne, sprawne, zdolne do uporania się z masowymi przewozami ludności z przedmieść do centrum i z powrotem. A koszt budowy 1 km. jednoszynowca ma być przeszło sześć razy niższy od kosztu wiercenia 1 km. tuby dla metra. Więc może czekać? A może ryzykować? Myślę, że światła opinia może w tych wypadkach tylko powiedzieć: niech technicy decydują. I tu właśnie znajduje się punkt ciężkości całego rozumowania: w firmach prywatnych, ci technicy mają znacznie większy wpływ, niż w organach upaństwowionych, gdzie rej wodzą „politycy" czyli dogmatycy. Drugi przykład równie wymowny: kopalnie węgla. Węgiel europejski jest niekonkurencyjny — nawet w Essen tona węgla amerykańskiego wypadłaby taniej (po opłaceniu wszystkich kosztów transportu) od tony węgla wydobytego na miejscu. Trzeba by energię węglową zastąpić dużo tańszym *fuel*'em czekając na energię atomową, która jest dotąd muzyką przyszłości. Ale w obronie węgla występują trzy grupy: militaryści, którzy, jak zawsze, są najgorsi i wywołują straszak braku energii na wypadek wojny (która dzisiaj nie potrwa nawet 24 godzin!), protekcjoniści, dla których każdy import jest powodem do rozpaczy, i socjaliści, którzy (słusznie) upatrują w basenach górniczych murowane mandaty poselskie. Jako ekonomista, uważałem, że zagłębia węglowe, w każdym razie we Francji i w Belgii, należałoby zlikwidować. Ale teraz czytam, że w Ameryce wynaleziono nowe metody wydobywania węgla: górnicy już nie towarzyszą kopaczce, ale śledzą i kierują jej akcją przy pomocy telewizji i narzędzi elektronicznych, sami siedząc wprawdzie pod ziemią, ale z dala od galerii, z której wydobywa się węgiel. Rzecz jasna, jeżeli ta inowacja zda egzamin, praca w kopalniach stanie się wielokrotnie mniej niebezpieczna, mniej męcząca, zdro-

wsza dla płuc, i da możność radykalnego zmniejszenia liczby górników, oraz poważnej podwyżki płac. W tym wypadku trzeba by zrewidować cały pogląd na konieczność likwidacji zagłębi węglowych. Znowu decyzję powinni powziąć nie politycy, nie prasa, nie ekonomiści, a technicy.

◆

Mam nadzieję, żem dostatecznie jasno przedstawił podstawowe znaczenie stosunku do techniki, i wyjaśnił, że stosunek ten jest bardziej *moderne* w Pasie Środkowym, niż w Anglii i Francji. Na zakończenie tego rozdzialiku o produkcji zrobię jeszcze jedną uwagę. W okresie szybkiego postępu technicznego produkcja musi być *elastyczna*, i dlatego nie wierzę w możność rozumnego planowania, zwłaszcza centralnego. We Francji żaden plan nie został wykonany, i dzięki temu żaden z tych planów nie był szkodliwy. Plan francuski przewidywał, że w r. 1965 Francja ma produkować 25 milj. ton stali. Produkuje 20 milj. Czy ktoś robi z tego powodu tragedię? Nie, bo stali nigdzie dzisiaj nie brak, może jest jej pewien nadmiar. Import Francji wzrósł o 50 % szybciej, niż augurzy przepowiadali. Czy to dramat? Nie, bo Francja ma dość dewiz, nawet za dużo. Łatwo było Faraonowi robić zapasy na siedem lat chudych. W dzisiejszym stanie szybkich zmian przewidywania są nie to trudne, lecz wręcz niemożliwe. Robienie z planifikacji fetyszu jest wielkim błędem.

Poza tym wydaje mi się, że socjalizm municypalny zdaje bez porównania lepiej egzamin od socjalizmu centralistycznego. Ten pierwszy, także w formie rządów krajowych, jest bez porównania lepiej rozwinięty w NRF *(Laender)*, w Austrii *(Laender)*, w Szwajcarii (kantony), etc. niż na Dalekim Zachodzie. Delegacja parlamentarzystów i merów Korsyki, po powrocie z Sardynii i Sycylii, zaczęła wołać wielkim głosem o natychmiastowe zastosowanie schematu autonomicznego Sardynii do ich własnej wyspy, która ma omal identyczne problemy. Ale to temat, który wymaga opracowania. W każdym razie rozbudowa kompetencyj miast, gmin i *provinces* we Francji (takoż w Anglii), a przede wszystkim ich własnych źródeł podatkowych jest sprawą pilną, i w tej dziedzinie Anglo-Francuzi powinni, jak w tylu innych, uczyć się od Środkowej Europy, a nie ją pouczać. W Polsce jedną z koniecznych i pilnych reform — jest też autonomia finansowa, administracyjna i „planifikacyjna" województw czy prowincji, a także miast.

◆

Czy w dziedzinie socjalnej Zachód może pretendować do górowania nad Środkową Europą? Płace realne są dzisiaj w NRF, w Szwajcarii, w Szwecji, być może także w Danii i w Holandii wyższe, niż w Anglii i Francji; tylko w Austrii i we Włoszech są zdecydowanie niższe. Od wszelkich statystyk wymowniejszy jest

fakt, że po raz pierwszy od setek lat, to nie mieszkańcy Badenii jadą rano do pracy do Alzacji, ale przeciwnie, 11 tys. Alzatczyków bierze co rana czółno czy autobus i udaje się na dniówkę na wschodni brzeg Renu. Podobną wymowę ma fakt, że od lata br. 300 techników angielskiego przemysłu samolotowego przybyło do Hamburga, ponieważ w swej własnej ojczyźnie nie mogli znaleźć pracy *(redundant workers)*. Podobne plany są opracowywane dla translokacji ang. robotników w przemyśle optycznym, samochodowym etc.

Ubezpieczenia socjalne są plus minus wyrównane: we Francji są niższe niż gdzie indziej, gdy chodzi o zaopatrzenia starcze i kasy chorych (tylko 60 % ludności ma prawo z nich korzystać), wyższe gdy chodzi o *allocations familiales* czyli pomoc dla rodzin dzieciatych. Ale tydzień pracy jest dzisiaj krótszy w Niemczech, niż w Anglii i Francji.

Ważniejsze są inne różnice. System podatkowy anglo-francuski defaworyzuje pracowników najemnych o stałym uposażeniu. Stąd biuraliści, urzędnicy koncernów są w obu tych krajach bici po głowie, i bardzo dotkliwie. W Anglii i Francji opłaca się się mieć własny, choćby najmniejszy, interes, ale nie posadę: lepiej mieć kiosk z gazetami czy naleśnikarnię *(créperie)*, czy sklepik lub kram, byle nie mieć stałej pensji. Państwa zachodnie faworyzują karłowate przedsiębiorstwa. Dzisiaj, a zapewne jeszcze przez jedno lub dwa pokolenie, najsprawniejszym przedsiębiorstwem jest gigant, a „nosicielem" postępu jest urzędnik wielkiego koncernu (dużo bardziej niż urzędnik państwowy). Urzędnicy municypalni są podobniejsi w mentalności do urzędników koncernów, niż do państwowych. I tak Port of London Authority jest urzędem państwowym, i port londyński jest przestarzały, za drogi, a stosunki z dokerami należą do najgorszych na świecie. Port Rotterdamski, i jego obecne rozszerzenie, Europort, jest własnością gminy Rotterdamu, jego administratorem jest 54-letni urzędnik magistratu, pan Posthuma, i port Rotterdamu pobił nawet Nowy Jork, o strajkach nikt nie słyszał, inwestycje są rekordowe, instalują się tam koncerny z całego świata m. in. angielski Imperial Chemicals i B. P., amerykańskie koncerny naftowe, Krupp etc.

◆

System gospodarczy i socjalny Środkowej Europy wykazuje z reguły więcej analogii z Anglią niż z Francją. Ale w jednym punkcie, bardzo istotnym, zwyczaje Francji i Środkowej Europy są znacznie bardziej zbliżone.

Chodzi o rolę „patrona" i jego rodziny. W Anglii, w najmniejszym przedsiębiorstwie właściciel staje się *a gentleman*, wkłada pasiaste spodnie, nadzoruje, ale sam palcem nie kiwnie (ta sama tradycja istniała u nas przed wojną, szczególnie we wszystkich urzędach, gdzie każdy urzędnik, cóż dopiero szef, uważał za deklasację samemu pisać na maszynie, musiał dykto-

wać!). Otóż we Francji, tak samo, jak w Austrii, w Niemczech, w Szwajcarii etc, *le patron met la main à la pâte*. W bistrocie patron siedzi za barem, w restauracji patron jest kelnerem, a jego żona kucharką, albo odwrotnie, w hotelu właściciel jest portierem, recepcjonistą, bagażowym etc. I to stanowi olbrzymią różnicę. Dzięki temu w niezliczonych małych firmach, zarówno we Francji jak i w Europie Środkowej, stosunki z pracownikami są patriarchalne, przyjazne, podczas gdy w Anglii są cierpkie i sztywne. *Qualité* obsługi jest zupełnie inna. I rentowność interesu też. Jeżeli Anglia zechce kiedykolwiek wejść naprawdę do Europy, to różni panowie będą musieli zamienić pasiaste spodnie na bluzy i *overalls*. Dla Anglii to będzie jedna z największych barier do przeskoczenia na drodze do europeizacji.

◆

Inna różnica, o której trzeba wspomnieć — to kwestia imigracji narodów poza-europejskich. W Anglii jest plus minus milion Pakistańczyków, Murzynów etc., we Francji tyleż Algierczyków i Murzynów. Środkowa Europa w zasadzie nie akceptuje imigracji poza-europejskiej: jest co prawda w NRF trochę Turków, i nawet w kopalniach Ruhry paruset Japończyków, ale są to zawsze dawki aptekarskie. Najbardziej liberalne i „socjalistyczne" kraje, to znaczy Skandynawia, stosują dla kolorowych zasadę drzwi zamkniętych.

Sprawa ma aspekt rasowy: moim zdaniem sprawa współżycia Europejczyków bez dyskryminacji i wrogości dojrzała już zupełnie, natomiast sprawa współżycia ras jeszcze nie dojrzała. Ameryka jest znacznie demokratyczniejsza od Europy, znacznie mniej tkwi w dawnych kłótniach i przesądach, a jednak z kwestią murzyńską z trudem daje sobie radę. Może jedni Francuzi mogliby strawić u siebie obecność 10 % ludności nie-europejskiej, a i tu jestem sceptykiem. Ale w Anglii obecność miliona czarnych i brunatnych wywołała wielki *raz de marée* rasistowski, i może to pójść dużo dalej. Lepiej by na razie biali pozostali u siebie w domu, dając spokój próbom osiedlania się w Afryce czy na Karaibach, a kolorowi też cieszyli się u siebie swą świeżo uzyskaną niepodległością . Za 30 lat zobaczymy.

Napływ „kolorowych" ma też fatalne skutki gospodarcze. To nieprawda, że napływ ten nie obniża płac pracowników, bo stawki za godzinę pracy są te same. Obniża je brutalnie i dwojako. Algierczyk we Francji, Murzyn z Jamaiki w Anglii, kontentują się warunkami mieszkaniowymi, na które nie zgodziłby się żaden Anglik czy Francuz, ani nawet imigrant włoski czy hiszpański. Imigrant kolorowy pozwala rządom wydawać więcej pieniędzy na zbrojenia i na subsydia dla przemysłów lotniczych, a mniej na budownictwo mieszkań robotniczych. Gdyby Francja nie wpuszczała Algierczyków, musiałaby natychmiast zwiększyć kolosalnie kredyty na HLM'y, bo w ohydnych Bidonvillach koło Nanterre nawet Portugalczycy i Grecy nie chcą mieszkać. Po

wtóre robotnik, to nie tylko faktor produkcji, ale i konsument. Niedawno byłem u Herti'ego w Monachium w wielkim domu towarowym, jak to się teraz nazywa w Polsce. Była sobota, dzień wolny: sklep był zalany *Gast-Arbeiter*'ami, głównie Hiszpanami i Grekami, często z żonami: ci ludzie kupowali, jak szaleni, często rzeczy zupełnie niepotrzebne, jak np. kapelusze, których teraz nikt nie nosi; widać było, jak kolosalną sprawia im radość, że po raz pierwszy w życiu wkładają kapelusz na głowy. Zapewne, robotnicy europejscy posyłają też zasiłki rodzinom, ale w pierwszym rzędzie oni sami żyją lepiej, poza tym sprowadzają rodziny, lub żenią się na miejscu. Algierczyk we Francji *wszystko* wysyła do domu, sam żyje w najstraszniejszej nędzy, brudzie, i żywi się ochłapami. Więc odpada czynnik wzmożonej konsumpcji, czyli powstają nowe „nożyce", nie ma tego wzrostu sprzedaży ubrań, mydła, obuwia, telewizorów, który by odpowiadał wzrostowi produkcji, nie ma też odpowiedniego wzrostu zapotrzebowania na usługi, np. fryzjerów, lekarzy etc. Powstaje subproletariat, który żyje na poziomie subnormalnym, i to ściąga w dół stopę życiową całej klasy robotniczej. Powstają getta, zawsze szkodliwe i niebezpieczne, podział klasowy jest dublowany podziałem narodowym. Dzięki imigracji Algierczyków może się utrzymywać złowieszcza i bezsensowna skala płac we Francji: kelner (który nie płaci podatków od napiwków) zarabia dwa razy więcej, niż dużo potrzebniejszy robotnik budowlany: otóż tym kelnerem jest z reguły Francuz, a tym robotnikiem budowlanym jest z reguły Algierczyk. Jeżeli obecne diametralnie różne systemy imigracyjne utrzymają się po obu stronach Renu i Alp, to powstanie nowa, a dużo poważniejsza niż dotychczas bariera między Europą Środkową a Zachodnią, i będzie obu stronom dużo trudniej znaleźć wspólny język.

◆

Widzę setki innych różnic między dwoma omawianymi obszarami, stokrotnie ważniejszymi od kwasów między Schroederem a Francją etc. Weźmy sprawę dochodów kapitalistów biernych, *des oisifs*. Europa środkowa nie chce ich rujnować i wywłaszczać, ale uważa, że ich dochody nie powinny przekraczać dochodów managerów, likwiduje *la vie de chateau*. Do elastyczności produkcji dochodzi elastyczność konsumpcji: służba domowa znika, pałace znikają, wielkie przyjęcia znikają, posag staje się nieznany, *prêt à porter* zastępuje szwaczki i *Haute Couture*, etc. Francja broni jak może *la grande vie*, Rotszyldzi z jednej strony, dostojnicy z drugiej, divy filmowe z trzeciej, prowadzą nadal tryb życia, który w Europie Środkowej już razi. Skale zarobków we Francji są przeciwne zdrowemu rozsądkowi: z jednej strony pielęgniarki są tak źle płatne, że brakuje ich sto tysięcy, z drugiej dochody modelek i rykajłów Yé-Yé wołają o pomstę do nieba. W Anglii liczba pasożytów jest chyba jeszcze większa niż we Francji.

◆

Tylko w dziedzinie kultury Francja i Anglia zachowują pewien prymat i mogą pretendować do odgrywania roli w Europie Środkowej. Zgadzam się całkowicie ze zdaniem Hostowca, że Sartre et Co nie są warci *plats régionaux* i *vins du pays;* mam wrażenie, że i w Anglii nie jest o wiele lepiej, ale i Środkowa Europa wydaje mi się jeszcze niezdolna *de prendre la reléve.* W każdym razie jeszcze przez szereg lat żaden język nie będzie mógł konkurować z angielskim i francuskim, jako językami międzynarodowymi. Niestety, prymat angielszczyzny wydaje mi się w Europie Środkowej nie do pobicia. Ale oczywiście za sto lat, to może jeszcze inaczej wyglądać.

◆

Co chciałem, co chcę powiedzieć? Chcę powiedzieć, że po 20 latach zaćmienia Europa Środkowa odżyła, odnalazła w sobie liczne walory, stała się wielką potęgą gospodarczą, a politycznie nie godzi się już z rolą małego chłopczyka, którego Ciocia Londyn i Ciocia Paryż prowadzą za rączkę. Ton rewindykacyj Środkowej Europy będzie przybierał na sile, i to nie tylko w Bonn. Rzym, Haga, Skandynawia też będą coraz gorzej znosić próby Paryża i Londynu mówienia z Piątego Piętra na Parter.

Niebezpieczeństwo odrodzenia się linii podziału nad Renem nie jest bliskie, ale zaczyna świtać na horyzoncie. Szaleńcza próba naprzód hegemonii a potem rozbicia Wspólnego Rynku poważnie to niebezpieczeństwo zwiększyła. Mamy już dość nieszczęść z powodu jednego podziału Europy, Żelaznej Kurtyny. Gdyby miała powstać druga Kurtyna między Anglią i Francją a Środkową Europą — nawet gdyby była tylko Muślinowa czy Jedwabna — to i tak byłaby katastrofą. My, Polacy, nie jesteśmy dzisiaj aktorami na scenie międzynarodowej, więc nic nie możemy na to poradzić. Ale miejmy nadzieję, że zdrowy rozsądek w Europie zwycięży, że obecne chmury okażą się ostatnim grzmotem odchodzącej wielowiekowej burzy nacjonalizmów i rywalizacyj, a nie pierwszym piorunem nowych złowrogich konfliktów.

W. A. ZBYSZEWSKI

Sprawy i troski

W oczach Londynu

Żyjemy pod znakiem niepokoju o przyszłość Emigracji. Karmieni biadaniami, iż „wykańcza się" i wymiera, zdajemy się wierzyć w jej bliski a żałosny epilog zbliżający się na podobieństwo Sądu Ostatecznego — czy bomby atomowej. Nie *widzimy* jej, albo ulegamy niemiłym nastrojom na widok codziennego a masowego pokazu łysin, „pożyczek bez pokrycia" i bogatej gamy odcieni siwizny w jadalni „Ogniska". Może kończy się istotnie? Razem z nami.

Przeczą tym nastrojom tłumy na nabożeństwach zwanych potocznie „polskimi" — albo dziarscy uczestnicy „Dożynek w Kensingtonie" (sic) którzy tańczyli i popijali do rana w gronie 1200 osób. Dalszych dwieście osób odeszło sprzed drzwi sali balowej, gdyż zabrakło biletów a pojemność sali nie pozwalała na zwiększenie ich ilości.

W sposób najbardziej spektakularny i wymowny Emigracja *potwierdziła* jednak swe istnienie 25 września rb., wynurzywszy się niespodzianie z przedmieść Londynu, z Midlandów i w ogóle prowincji, zajeżdżając samochodami i autobusami przed wielką „stodołę" Albert Hall'u. Okazją był doroczny obchód „Święta Żołnierza" związany w roku bieżącym z 25-ą rocznicą udziału Lotnictwa Polskiego w Bitwie o Wielką Brytanię. Uroczystość była raczej zapowiadana niż reklamowana a sala, jedna z największych w Londynie, niełatwa do wypełnienia. Organizatorzy stali wobec poważnego ryzyka. Dobrze że je podjęli. Okazało się bowiem, że *my* potrafimy wypełnić po brzegi wielki Albert Hall. *My* — to 5000 uczestników obchodu prezentujących się na pierwszy rzut oka co najmniej tak statecznie i godnie jak delegaci brytyjscy zjeżdżający systematycznie do tegoż Albert Hall'u na doroczne zjazdy kombatanckie, polityczne itp. Staruszek zamiatający tunel prowadzący z Exhibition Road do stacji kolejki podziemnej pochwalił *nas* nawet za b. umiarkowane zaśmiecenie owego pasażu. Uznał nas za publiczność lepszej klasy.

Pesymiści zapowiadali coś w rodzaju masowego jubileuszu siedemdziesięciolatków, którzy dominować mieli na sali. Wizja istotnie makabryczna: audytorium złożone z „jubilatów" a na estradzie — ostatnie dziecko polskie składa im życzenia wytworną angielszczyzną, intonując na zakończenie *For he is a jolly good fellow.*

Było inaczej: może ze względu na lotniczy charakter święta. Dlaczego? — pytanie to powracało tak natrętnie, że — w ogólnym podsumowaniu — trudno powiedzieć, co pozostawiło silniejsze wrażenie: obchód czy obserwacja sali. Powodem zasadniczym był niewątpliwie fakt, że przeciętny wiek lotników był niewątpliwie niższy niż w Armii, w dywizjonach przeważali młodzi ludzie poniżej lub w okolicach trzydziestki, dziś koło pięćdziesiątki, w fizycznej kondycji lepszej od przeciętnych „cywilów" ze stażem więziennym czy obozowym — albo doświadczeniami jenieckimi. Żony owych ex-lotników (w tym wiele Angielek) są na ogół młodsze a potomstwo — to dziatwa w wieku szkolnym lub wczesne roczniki akademickie. Oni właśnie, wielka rodzina lotnicza, dominowali niewątpliwie na sali i dlatego audytorium miało skład mieszany, jak w normalnym społeczeństwie. Nadjeżdżano grupami: rodziny, sąsiedzi, przyjaciele. Towarzystwo odziane dostatnio, opalone na plażach Cesenatico czy Ibizy, z trudno dostrzegalnymi „polonicami" w postaci miniatur orderowych w klapach, bursztynów, korali, broszek z syrenką czy lajkonikiem — czy czarnych kostiumów damskich, rzadko widywanych na rodowitych Angielkach. W przeszkoleniu lotniczym musztra i defilady odgrywały rolę znacznie mniejszą niż w armii — toteż tzw „wojskowy" krok i postawa zdradzały od razu, na pierwszy rzut oka, inne gatunki broni o rękach gotowych do salutowania i skłonności do przywdziewania beretów, które w Anglii nie są noszone nagminnie, jak np. we Francji.

Emigracyjni seniorzy i gwiazdorzy rozproszyli się po sali, zagubieni w tłumie. Na podium ustawiono trzy krzesła. „Dla Rady Trzech" — wyjaśniali fachowi politycy. Błędnie. Okazało się, iż przygotowano je dla honorowego gościa lotnictwa brytyjskiego Sir Hugh Pughe Lloyd'a, gen. Andersa i pułk.-pilota Aleksandra Gabszewicza, prezesa Stow. Lotników Polskich. Było to może nawet błędem organizacyjnym, bo przybysze z prowincji i, co więcej, liczni na sali Polacy z Kraju, radziby zobaczyć na własne oczy generałów Kukiela czy Kopańskiego.

Akordem wstępnym, który poddał ton wzruszeniom, było wejście 36 pocztów sztandarowych, w tym historycznego sztandaru lotniczego przeszmuglowanego z Wilna w czasie okupacji, wyhaftowanego w Kraju („Miłość żąda ofiary"). Sala zamarła w milczeniu. Ktoś, obok krzyknął: „Boże!". Łzy.

Brytyjska prasa, telewizja, radio — i w ogóle opinia publiczna — z rzadka tylko i przelotnie przypominały o udziale i roli pilotów polskich w bitwie o Wielką Brytanię. Skłaniać się należy raczej na stronę tych, których gorszy chroniczne przemilczanie udziału polskich jednostek bojowych w ramach wojennych działań Aliantów. Przykład b. typowy: w kinach i telewizji demonstrowany jest obecnie film amerykański o II wojnie światowej „The valiant years", oparty na pamiętnikach Churchilla, pomijający praktycznie cały wkład Polaków i rewoltujący widzów polskich. Przemilczeniom tym przeciwstawić można pełnowartościowe ale raczej odosobnione objawy przyjaźni takie jak np. gromadny udział wysokich rang lotnictwa brytyjskiego w obchodach i przyjęciach rocznicowych organizowanych przez Stowarzyszenie Lotników czy pomoc w zbiórce funduszów na cele charytatywne tej organizacji. Oznaki bojowych dywizjonów polskich figurują na witrażu „Battle of Britain" w katedrze westminsterskiej. Ex-pilot polski wchodził w skład reprezentacyjnej ekipy asów lotniczych z pamiętnego września 1940 r. — rozmawiali z nim członkowie rodziny królewskiej. To fakty „pozytywne".

Nie pomniejsza to jednak wrażenia, iż oficjalne czynniki brytyjskie niechętnie przypominają sobie o tysiącach Polaków poległych we wspólnej sprawie (a bieg wypadków wykazał, iż bardziej wspólnej niż własnej) a w stopniu co najwyżej symbolicznym pamiętają o potrzebach żyjących. Wyraża się to w w sposób przykry i namacalny w redukcjach dotacji na pomoc dla ex-kombatantów wszelkich broni — a także w analogicznych redukcjach a nawet zapowiedziach cofnięcia skromnej pomocy udzielanej polskim placówkom naukowym i bibliotecznym służącym nb. w coraz szerszym zakresie także i Brytyjczykom. Swoistym *curiosum* tej sytuacji jest fakt, że nasilenie tych oszczędnościowych nastrojów zbiega się z okresem „panowania" Labour Party, od której należałoby oczekiwać raczej zwiększenia subwencji na cele kulturalno-oświatowe. W. Brytania szczycić by się raczej powinna lojalną i spokojną grupą narodowościową, która upomina się o archiwa, książki i biblioteki, o prawo do utrzymania i podniesienia poziomu kulturalnego a czcią otacza pamiątki tak wymowne jak wspomniany wyżej sztandar lotniczy. Władze brytyjskie nie uświadamiają sobie chyba rozmiarów ładunku uczuciowego, związanego z istnieniem naukowych placówek emigracyjnych i zdają się nie dostrzegać możliwości konfliktów jakie wyniknąć mogą na pozornie sennym odcinku spraw społeczności polskiej w W. Brytanii gdy narastające z dniem każdym objawy rozgoryczenia ujawnią się publicznie. Jest to tym dziwniejsze, że w rządowej praktyce angielskiej przywiązuje się wielką wagę do precedensów. A tych nie brak. Mieczysław Paszkiewicz przypomniał ostatnio rzeczowo, w oparciu o uchwały parlamentu, iż po powstaniu listopadowym pomoc Rządu Brytyjskiego dla emigrantów polskich trwała od roku 1834 do roku.... 1899 (sic!), w którym zmarł ostatni czwartak, Jerzy Ręczyński, *nota bene* mason, członek Polish National Lodge i prowincjonalnych lóż irlandzkich. Pomoc ówczesna przeliczona na obecną monetę wyższa była od zasiłków Assistance Board, rozciągała się na rodziny potrzebujących i stopniowana była w zależności od rangi powstańców, co chroniło ex-dowódców i wyższych ofi-

cerów od odpowiedników obecnej pracy nocnej w wytwórniach herbatników, „srebrnych brygadach" czyszczących widelce w Dorchesterze czy windach Savoy'u. A przecież tamci, nasi pradziadowie, nie walczyli w r. 1831 w tej samej wielkiej organizacji bojowej alianckiej. Zabrakło nam opiekunów w stylu Earl'a of Yarborough czy Lorda Dudley Stuart'a.

Te refleksje snuły się po głowie przy słuchaniu kolejnych przemówień na owym wielkim obchodzie w Albert Hall'u. Sprowokował je płk. Gabszewicz, przypominając imponujący liczebnie i jakościowo wkład lotnictwa polskiego. Air Chief Marshall Sir Hugh Pughe Lloyd, który w latach wojennych spotykał Polaków nie tylko w dywizjonach lotniczych ale także w Teheranie i pod Monte Cassino, przemawiał ostrożnie i oficjalnie, jak nakazywały jego powiązania służbowe. Ale i jemu wyrywały się słowa z wymownym podtekstem: „Miałbym wiele więcej do powiedzenia".

Obchód był niewątpliwie wielkim sukcesem osobistym gen. Andersa. Oklaski, którymi powitano jego wejście na estradę, były żywiołową manifestacją radości na widok wodza-symbolu, o znanej charakterystycznej sylwecie w pełnej gali munduru i odznaczeń, rysującej się po staremu na tle sztandarów. Było to jakby jedno wielkie votum zaufania przeciwstawiające się nasilonym ostatnio próbom podważenia autorytetu Generała przez Klimkowskich *et consortes*. Pięć tysięcy Polaków — powie sceptyk — to nie cała Emigracja. Oczywiście. Ale bardzo reprezentacyjny jej odłam, nie ograniczony bynajmniej do byłych podkomendnych z II Korpusu a zdecydowanie „niepodległościowo" nastawiony.

Nie koniec refleksjom. Obchód wykazał, iż w problematyce „sprawy polskiej" kryją się tematy zdolne do zmobilizowania ogromnego odłamu Emigracji. Wniosek stąd, że nie umiemy ich dostrzegać, skoro tak często skarżymy się na bierność ogółu społeczeństwa polskiego w W. Brytanii. Kto ponosi winę za ten stan rzeczy? Czas najwyższy, by socjolog z prawdziwego zdarzenia (prof. Zweig? prof. Jerzy Zubrzycki? Sheila Patterson?) postawił jak lekarz diagnozę i wskazał źródła choroby. W oczy uderza jedno: na wielu odcinkach nie potrafiliśmy znaleźć wspólnego języka z „masami", które od polskości *nie odeszły* — ale dają wyraz temu tylko sporadycznie. Słyszy się np. często o przechodzeniu na rzecz Korony spadków po różnych samotnikach, którzy zmarli w nieświadomości moralnego obowiązku sporządzenia testamentu, po angielsku się nie nauczyli — a zdobyte pracą i wyrzeczeniami oszczędności przekazali w praktyce Anglikom zamiast pójść śladem takiego np. śp. Sergiusza Piaseckiego, który połowę oszczędności i honorariów autorskich zapisał Bibliotece Polskiej w Londynie.

Okazji do wzruszeń narodowych było zresztą więcej w poprzedzającym obchód w Albert Hall'u okresie. 80-lecie generała Mariana Kukiela, świętowane w dniu Jego urodzin 15 maja w Instytucie Sikorskiego było dla przyjaciół Jubilata okazją do

ponowienia życzeń składanych przed 10 laty z okazji 70-ej rocznicy urodzin. Oglądając się wstecz trudno oprzeć się zdumieniu: było to dziesięciolecie zadziwiająco pracowite, uwieńczone publikacją dwu wydań pomnikowych „Dziejów Polski porozbiorowych", „klasyka" na długie lata, — i wielkiej ilości szkiców, recenzji i pogadanek radiowych z nagrywanym obecnie cyklem pamiętnikarskim włącznie. Pamięć i pióro Generała funkcjonują sprawnie i wydajnie a gdy biegnie on wzdłuż Exhibition Road w kierunku South Kensington Station z łatwością bije pięćdziesięciolatków. Najnowszym wyczynem niestrudzonego Generała była wielka „wyprawa wiedeńska" na światowy Kongres Historyków, na którym odniósł wielkie i zasłużone sukcesy, budząc podziw u obcych i swoich (włącznie z „krajowcami"). *Ad multos annos!*

Na londyńskim obchodzie jubileuszowym mówiono dużo i raczej nudnie na tematy odległe od kariery naukowej Generała. On sam odpowiedział do rzeczy, barwnie i z werwą. Miłą niespodzianką był oratorski występ Stefanowej z ks. *Czartoryskich* hr. Zamoyskiej — wzór zwięzłości, trafności, starannego opracowania przemówienia, skierowanego do autora monografii ks. Adama Jerzego *Czartoryskiego* i przedwojennego dyrektora Biblioteki *Czartoryskich* w Krakowie. Uroczystość wypadła godnie i szanownie jak na czcigodnego Jubilata przystało.

Casus jubileuszu Wierzyńskiego przedstawia się nieco inaczej. Pan Kazimierz jest 70-latkiem *sans le savoir*, wbrew logice i woli ogółu. Fakt że Marlena Dietrich jest babką nasuwa podobne refleksje. Przezornie unikano przeto dat na wieczorze londyńskim w „Ognisku", a niektórzy mówcy, np. Marian Hemar, aby nie ranić Jubilata posunęli się w ostrożności tak daleko, że mówili wyłącznie o sobie i recytowali własne i to przydługie wiersze. *Commonwealth Festival* włączył się do obchodu w zabawnym kontekście: w toku przemówienia gen. Kukiela, snującego wspomnienia legionowe (luźno nb. związane z Wierzyńskim), za oknami rozlegała się zgoła bitewna kanonada uniemożliwiająca nagrywanie tekstu na taśmę. Były to odgłosy pokazu ogni sztucznych w pobliskich Kensington Gardens. „Ilustracja muzyczna ściśle dopasowana do programu" — jak na dawnym afiszu z *iluzjonu!* Wieczór miły i udany, był okazją do ujawnienia fragmentu wspomnień Wierzyńskiego o warszawskim jego debiucie i narodzinach „Skamandra": doskonała, jasna i oszczędna proza, wielkie poczucie humoru. Najwidoczniej, jak u generała Kukiela, początek nowego pracowitego i owocnego dziesięciolecia.

Lato tegoroczne nie było bynajmniej okresem martwym i sennym. Aż dziw, ile wartościowych pozycji literackich ukazało się na przestrzeni ostatnich kilku miesięcy: (w porządku alfabetu): „Kosmos" Gombrowicza, na który rzucają się żarłocznie krajowcy, „Z biografii Diego Baltassara" Gustawa Herlinga-Grudzińskiego w 7/8 zesz. „Kultury" — bomba dotąd niedostrzeżona, która *musi* wybuchnąć któregoś dnia, gdy znajdzie się wśród czytelników wakacyjnego numeru malarz-abstrakcjonista i przeczyta ża-

łosną opowieść o rywalu Salvadora Dali, posługującym się metodami krakowskiego kundelka ze „Słówek" Boya, który poddał Styce pomysł ozdobienia freskami wnętrza Rondla. Gwałtu, co to będzie, gdy wreszcie przeczytają! Dalej — „Gucio zaczarowany" Robinsona Jeffers'a — *sorry!* — Czesława Miłosza. Dalej „Kozak" wspaniały Mariana Pankowskiego w mniej godnym towarzystwie „innych opowiadań" *(for adults only)* — i jedyna książka cnotliwa w tym towarzystwie: „Po stronie pamięci" Stanisława Vincenza. Wszystko z wyjątkiem „Kozaka" (który wydał sam siebie) dowody niestrudzonej pracowitości Instytutu Literackiego — a tu jeszcze: VIII „Zeszyt Historyczny" i najpracowitszy t. III pamiętników Witosa (z indeksem).

Na powitanie spóźnionego babiego lata ukazała się w Londynie nowa seria „pingwinów" Polskiej Fundacji Kulturalnej: „Modigliani" Tadeusza Wittlina (znany już wybrańcom z wersji angielskiej wydanej w Stanach), nowele Zofii Romanowiczowej: „Próby i zamiary", żwawe i nie pozbawione socjologicznego „dna" opowiadania Jana Rostworowskiego o prowincjonalnych rodakach („Nasi ludzie") i własnych jego przygodach cygańskich z wędrownego sklepu na kółkach, — wreszcie przebój pierwszej klasy, rewelacyjna „Wojna z wysokości siodła" Lwa Sapiehy, którą *vox populi* uznał z miejsca za najlepszą pozycję owej nowej serii — pozornie surowy, bezpretensjonalny diariusz wydarzeń z września 1939 r. — od mobilizacji do obozu jenieckiego — odsiany ze zbędnych słów i patosu, debiut nie tylko pamiętnikarski ale i pisarski.

Prof. dr Tymon Terlecki dobrnął do końca „Literatury polskiej na Obczyźnie" i wręczyć mógł Kazimierzowi Wierzyńskiemu na wspomnianym wyżej obchodzie dwa potężne tomiska owego lasu wiadomości złego i dobrego — wręczył i, chroniąc całość zacnej persony, odleciał przezornie do Chicago.

Życie społeczne Londynu *powinno* wejść w okres zwiększonej aktywności. Czas po temu najwyższy a fakt, iż Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny uzyskał nareszcie od władz brytyjskich pełne uprawnienia charytatywne i związane z nimi zniżki podatków, oznaczać powinien punkt zwrotny. W przekładzie na język faktów oznacza to iż w najbliższym czasie, na mocy już zapadłych uchwał zebrań walnych, przekazany będzie formalnie Ośrodkowi pokaźny majątek Polish University Association Ltd. (3 domy w Kensingtonie) i Stowarzyszenia Techników Polskich (2 domy). Przed kilku tygodniami gen. Anders przelał na rzecz Ośrodka udział swój w paryskiej „Libelli". W toku daleko posuniętych pertraktacji jest sprawa przejęcia gospodarki kilku nieruchomości należących do organizacji polskich w Londynie, w tym Domu Pisarza.

Ruszyła także z miejsca sprawa urządzenia klubu kulturalno-towarzyskiego młodzieży w „piwnicy" domu PUCAL'u przy 7, Cromwell Road, administrowanego już obecnie przez Ośrodek. Harcerze i ich przyjaciele (z organizacjami lotniczymi na czele) dążą konsekwentnie do stworzenia poza Londynem „stanicy"-

schroniska, będącego punktem oparcia działalności wychowawczej i sportowej. Połowa dochodów z obchodu „Święta Żołnierza" była przeznaczona na ten cel. Po raz pierwszy od wielu lat zanotować można konkretne *nowe* posunięcia zmierzające do przygotowania następców, którym przekazać będzie można prowadzone obecnie przez starsze pokolenia instytucje. Dotąd była to wyłącznie troska *Macierzy Szkolnej* i SPK.

Rok emigracyjny rozpoczyna się, jak szkolny, jesienią. Listopad i grudzień są miesiącami walnych zebrań, ogłaszania sprawozdań, opracowywania planów na przyszłość. Byle z rzetelną troską o to, co owa przyszłość przynieść powinna!

(m. l. d.)

Problematyka słowiańska w Kanadzie

Sytuacja wewnętrzna Kanady jest bardziej złożona aniżeli się to wydaje różnym obserwatorom, głównie dlatego iż wiele zagadnień, pozornie drugorzędnych, ma właśnie bardzo poważne znaczenie. Zresztą nie tylko obserwatorzy mylili się i nie dostrzegali pewnych spraw, ale zdarzało się to nawet rdzennym Kanadyjczykom i to czynnym politykom.

Jeszcze przed 5 czy 6 laty w odpowiedzi na oświadczenia, iż Quebec nie jest prowincją jak wszystkie inne, że Franko-kanadyjczycy są dyskryminowani, że prawdziwymi władcami Quebecu są Anglosasi, gdyż kontrolują wszystkie wielkie przedsiębiorstwa — padały głosy szczerego oburzenia. Zdarzało się także słyszeć ironiczne uwagi na temat „europejskiego zeza" lub specjalnego uczulenia na problemy narodowościowe. Niektórzy mówili nawet o braku zrozumienia specyfiki tego kraju i oceniania różnych zagadnień probierzem europejskim. Stąd oczywiście popełnianie kardynalnych błędów. Wkrótce potem dał o sobie znać ruch separatystyczny — a co ważniejsze liberałowie quebeccy po dojściu do władzy w czerwcu 1960 r. przystąpili do realizowania programu, który określa się powszechnie mianem „spokojnej rewolucji". Zawiera on niemal wszystkie postulaty separatystów z wyjątkiem formalnej proklamacji niepodległości i oderwania się od federacji. Bo rząd Quebecu zmierza do uzyskania niemal wszystkich praw suwerennych, do zapewnienia Quebecowi statutu równorzędnego partnera Ottawy i lansuje tezę dwóch narodów, dwóch państw połączonych tradycyjnymi więzami i wspólnym dążeniem.

Te właśnie tendencje Quebecu, ten proces przemian w tej części Kanady, w sposób nieomal dramatyczny wyniósł na forum publiczne zagadnienie mozaiki narodowościowej. Naturalnie żaden rozsądny polityk nie twierdził, że Kanada składa się jedynie z dwóch grup narodowych — założycielskich, jak się oficjalnie podkreśla — anglosaskiej i francuskiej, ale znakomita większość z nich marzyła, by jak najrychlej można było tak mówić. Z okazji licznych wystąpień przed grupami etnicznymi każdy mówca — obojętnie jaką partię reprezentował, rządzącą czy opozycyjną — nie szczędził kadzideł pod ich adresem. Mówiło się wówczas o bohaterstwie i wkładzie, o wartościach kulturowych itp., podkreślając iż Kanada nie jest *melting pot*, jak Stany Zjednoczone, a więc nie stapia wszystkich w jednym kotle, ale zapewnia każdej grupie możliwość kultywowania swoich właściwości, a jednocześnie przyjmuje od nich najlepsze cząstki.

John Diefenbaker — były konserwatywny premier, pierwszy szef rządu nie anglosaskiego i nie francuskiego pochodzenia, który wprowadził do rządu ministra pochodzenia ukraińskiego — powiedział, gdy był u władzy, iż jego wizja Kanady przestawia się w postaci „ogrodu, do którego przesadzono najsilniejsze i najpiękniejsze kwiaty z wielu krajów. Każdy zachowuje w nowym otoczeniu swoje najlepsze właściwości, za które kochano go i nagradzano w rodzimym kraju". Jest to jeden z najbardziej typowych okolicznościowych frazesów. Podobne kolorowe bańki mydlane puszczało wielu kanadyjskich polityków, bawiąc nimi niezaadoptowanych i głodnych komplementów tak zwanych Nowokanadyjczyków. Rzeczywistym bowiem dążeniem każdego odpowiedzialnego rządu i przywódców politycznych było i jest scementowanie wszystkich grup, uformowanie wspólnego oblicza narodowego. Oczywiście nie jest to proces, który może być przeprowadzony w ciągu jednej generacji, ale pogląd iż dopiero dziecko urodzone w tym kraju jest prawdziwym Kanadyjczykiem — obojętnie z jakich rodziców — jest niewątpliwie słuszny. Skąd więc aktualność problematyki etnicznej — by użyć miejscowej terminologii?

Przede wszystkim w gwałtownym wzroście imigracji w latach powojennych. Do tego poważny procent imigrantów przybył nie tylko z powodów ekonomicznych. Dalej przybywały znaczne ilościowo grupy poszczególnych narodowości wzmacniając dawne, już istniejące, względnie nowe grupy zapuszczały korzenie. Przynosiły one ze sobą duży ciężar polityczny, często ostre animozje. Wielu przybywało z nadzieją, iż będzie mogło tutaj kontynuować dawne życie. Takie nastawienie mieściło w sobie psychiczną zaporę dla adaptacji. Ba! Ten przypływ nowych imigrantów, szczególnie z narodowości już zadomowionych, osiadłych w Kanadzie, spełnił rolę drożdży. Sfermentował, ożywił to co powoli jałowiało a nawet wymierało. Odnosi się to przede wszystkich do grup pochodzących z krajów, które po wojnie znalazły się pod rządami komunistów.

Liberałowie zgodnie z zapowiedziami przedwyborczymi powołali po objęciu władzy w kwietniu 1963 roku specjalną komisję *Royal Commission on Bilingualism and Biculturalism*, której zadania są szerokie lub wąskie, w zależności jak się na nie patrzy oraz jak Komisja zechce je wykonać. Ale niewątpliwie głównym jej celem — przynajmniej w założeniu — było zbadanie stosunków między grupą francuską a angielską, ustalenie ważkości pretensji i zarzutów grupy francuskiej. Naturalnie, zadania Komisji są nie tylko badawcze, oczekuje się bowiem od niej konkretnych zaleceń opartych na dokładnej analizie przebadanych spraw.

Struktura i skład komisji wskazują, że powołując ją nie chodziło prem. Pearsonowi o zamrożenie ważnego problemu, zrzucenie go z porządku dziennego, ale o należyte zbadanie go. Komisja składa się z 10 członków władających obydwoma oficjalnymi językami: angielskim i francuskim, ma dwóch przewodniczących: jednego z grupy anglojęzycznej, drugiego z frankojęzycznej. Każda grupa ma po 5 reprezentantów, z tym iż w anglojęzycznej znajduje się prof. dr Jarosław Rudnyckyj a we francuskiej prof. dr Paweł Wyczyński. Dzięki temu grupa słowiańska ma dwóch reprezentantów, profesorów wyższych uczelni. Prof. Rudnyckyj, świetny slawista, wykłada na uniwersytecie w Winnipegu, podczas gdy prof. Wyczyński jest romanistą, wybitnym znawcą kanadyjskiej, francuskiej literatury na uniwersytecie Ottawskim. Powołanie i prace tej Komisji ożywiły problematykę etniczną a więc i słowiańską. A może nawet głównie, albo przede wszystkim słowiańską. Nie będziemy jednak tutaj analizować dlaczego właśnie tak się dzieje, ale ograniczymy się jedynie do wskazania na pewne echa, albo może uboczne konsekwencje tego faktu.

Canadian Slavonic Papers, rocznik publikowany przez *Canadian Associations of Slavist* (Zrzeszenie Kanadyjskich Slawistów) w ostatnim tomie (VII), którego redaktorem jest dr Adam Bromke, profesor Carleton University, zamieścił obok — jak zwykle — naukowych i specjalistycznych prac, dyskusję na temat *„Multiculturalism in Canada"*, w której zabrali głos profesorowie: W. Rose, St. Pech, S. D. Bosnitch, Bohdan Bociurkiw, G. W. Simpson, Leonid Ignatieff, Gordon Skilling i senator Paul Yuzyk, były profesor uniwersytetu w Winnipegu. Dyskusja toczyła się wokół jego artykułu, będącego skróconą wersją „dziewiczej mowy" wygłoszonej w senacie 3 marca 1964 roku.

Teza dr Yuzyka jest prosta: Kanada nigdy nie była i nie jest krajem tylko dwóch narodów, w którym rozwijały się tylko ich kultury, żyje tutaj wiele grup narodowościowych, które kształtują oblicze tego kraju. Zdaniem jego tworzą one tak zwany „trzeci element". Z danych statystycznych ostatniego powszechnego spisu ludności z 1961 r. wynika, iż 26% ludności było pochodzenia innego aniżeli anglosaskiego i francuskiego.

Sen. Yuzyk, wychodząc z założeń politycznych, domaga się uznania tego trzeciego elementu jako istotnego czynnika w ży-

ciu publicznym kraju wraz z wszystkimi konsekwencjami, a więc domaga się udziału w administracji na wszystkich szczeblach, w piastowaniu wszelakich urzędów publicznych, w zabezpieczeniu nauki języków i historii grup etnicznych. Dyskutanci — z wyjątkiem prof. Bociurkiwa a więc również Kanadyjczyka ukraińskiego pochodzenia — ustosunkowali się raczej bardzo krytycznie do tez sen. Yuzyka, a mianowicie do politycznej strony jego wywodów. Nikt natomiast nie kwestionował słuszności postulatów kulturalnych.

Najbardziej zasadniczy i chyba najsłuszniejszy był zarzut iż „trzeci element" nie jest pod żadnym względem jednolity, brak mu wspólnej platformy. Bo istotnie, co łączy grupy skandynawskie z ukraińską?

Dążeniem nie tylko Skandynawów, ale Holendrów, Niemców a nawet Włochów jest jak najszybsze zlanie się z otoczeniem, stanie się jego częścią, zacieranie różnic wypływających z narodowych właściwości, podczas gdy w grupach: polskiej, ukraińskiej, słowackiej, białoruskiej, serbskiej, litewskiej, łotewskiej, estońskiej i węgierskiej dominuje tendencja zmierzająca do zachowania pewnej odrębności, kultywowania swoich właściwości narodowych. Ta zasadnicza różnica dowodzi równocześnie możliwości stworzenia platformy dla pewnych grup, jak np. dla słowiańskiej. I właściwie jest to jedyna realna możliwość. Nie znaczy to oczywiście, iż posiada wielkie szanse polityczne, które zresztą nie są najważniejsze, ale wcale poważne na innych odcinkach.

Pierwszą — i to powiedzmy od razu bardzo udaną — próbą przygotowania platformy współpracy i porozumienia był zjazd czerwcowy w Banff, Alberta.

„First National Conference on Canadian Slavs" — Pierwsza Krajowa Konferencja poświęcona kanadyjskim Słowianom — była imprezą zorganizowaną przez ośrodki uniwersyteckie w oparciu o dotacje finansowe dwóch federalnych ministrów: Obywatelstwa i Imigracji oraz Spraw Zagranicznych, rządu prowincji Alberta oraz p. Stefana Romana, przemysłowca i finansisty pochodzenia słowackiego. Obrady toczyły się w najpiękniejszej kanadyjskiej miejscowości letniskowej (także zimowej), a mianowicie w Banff, w Górach Skalistych, w dniach od 9 do 12 czerwca włącznie. Zjazd nie miał charakteru ściśle naukowego, jakkolwiek wśród uczestników przeważali profesorowie wyższych uczelni, wśród których większość była pochodzenia słowiańskiego. Anglosasi-slawiści odgrywali rolę przysłowiowych rodzynek w cieście. Był i czynnik oficjalny, urzędowy, w osobach przedstawiciela rządu prowincji Alberta, rządu federalnego (dr Stanley Haidasz, wówczas sekretarz parlamentarny ministra Spraw Zagranicznych), przedstawiciele ministerstwa Obywatelstwa i Imigracji, w tym niektórzy brali czynny udział w obradach, przedstawiciele Komisji Specjalnej dla Spraw Dwujęzyczności i Dwukulturowości.

Poruszono i przedyskutowano wiele tematów dotyczących

przeszłości, teraźniejszości i przyszłości Słowian w Kanadzie. Omawiano problemy polityczne i społeczne, religijne i oświatowe, historyczne i kulturalne. Były referaty na temat stosunków poszczególnych grup z otoczeniem kanadyjskim, powiązania z Kanadą, wzajemnych stosunków między grupami słowiańskimi. Oczywiście wygłoszono prelekcje i przeprowadzono dyskusje na temat dziejów poszczególnych grup w Kanadzie (imigracja polska, ukraińska). Referentami byli zawsze członkowie danej grupy etnicznej, co niezawsze jest gwarancją obiektywizmu. I tak np. pani Danuta Bieńkowska (Uniwersytet Toronto), uczestniczka konferencji, zauważyła na łamach „Związkowca":

„Mówcy pochodzenia słowiańskiego w pewnych wypadkach oscylowali między apologetyką — chęcią przedstawiania wszystkich w jak najlepszym świetle — a przesadnym krytycyzmem, wypływającym z zawiedzionej nadziei i urażonej dumy narodowej. Postawa apologetyczna przeważała wśród przedstawicieli starszego pokolenia, postawa super-krytyczna występuje u młodych..."

Profesorowie S. D. Bosnitch, W. Chrypiński i R. Baird przedstawili stronę polityczną w następujących referatach: *Polityczna przynależność słowiańskiego imigranta, Zagadnienie jedności i konfliktu pomiędzy Słowianami, Głosy słowiańskie.*

Badaniom nad zagadnieniami kulturowymi Słowian w Kanadzie poświęcone były referaty: prof. T. Domaradzkiego — *Zagadnienie badań nad kulturą polską w prow. Quebec,* prof. J. B. Rudnyckyj — *Badania nad grupami słowiańskimi w Kanadzie* i pani E. D. Wangenheim — *Problem badań ukrainoznawczych we wschodniej Kanadzie.*

O folklorze i literaturze mówili: prof. B. Klymash: *Folklor słowiański w Kanadzie,* prof. J. Slavutych: *Słowiańskie literatury w Kanadzie* (referat bardzo schematyczny, ogólnikowy, nie dający właściwie żadnego obrazu. Referent zastrzegł się, że jest to praca nieukończona), dr A. Stearns: *Słowianie na północnoamerykańskim kontynencie.*

Jedna sesja poświęcona była imigracji polskiej a jedna ukraińskiej. Na sesji polskiej wystąpili z prelekcjami: mgr. W. Makowski — *Polacy w Kanadzie,* prof. L. Kos-Rabcewicz-Zubkowski —*Udział Polaków w rozwoju społeczeństwa kanadyjskiego,* a koreferaty wygłosili prof. V. W. Adamkiewicz i p. P. M. Czartoryski.

Na sesji ukraińskiej referowali: prof. W. Kalbach — *Niektóre espekty demograficzne ludności ukraińskiej w Kanadzie, w szczególności na preriach,* prof. dr V. Kaye (Kisielewskyj) — najwybitniejszy historyk osadnictwa ukraińskiego w tym kraju i jeden z najwybitniejszych znawców dziejów osadnictwa Słowian — *Osadnicy ukraińscy w Kanadzie,* prof. Charles W. Hobart — *Integracja Ukraińców w Albercie.*

W sesji poświęconej problemom szkolnictwa omawiano m. in. stosunek szkolnictwa kanadyjskiego do słowiańskich zaso-

bów kulturowych. Chodziło przede wszystkim o wykazanie, iż nie uwzględnia się w nauczaniu powszechnym ani języków ani historii ani kultury narodów słowiańskich. Pani D. Bieńkowska wskazała w swoim referacie na inny aspekt, a mianowicie na błędy metodologiczne w nauczaniu języka polskiego w szkołach prowadzonych przez organizacje polonijne.

O słowackiej imigracji mówił dr Kirschbaum, a p. K. Tarasoff wygłosił referat pt. *Rosjanie w okręgu wielkiego Vancouver.*

Prof. dr Jerzy A. Wojciechowski z Ottawy wygłosił interesującą prelekcję: *Słowiańskie kultury etniczne w obrębie kanadyjskiej wspólnoty,* a dr Paul Kellner z Ministerstwa Obywatelstwa i Imigracji: *Kanadyjscy Słowianie w świetle swej prasy.*

Uczestnicy byli ze zjazdu bardzo zadowoleni i postanowili zwoływać go co dwa lata, a zatem Konferencja Kanadyjskich Słowian stała się instytucją stałą. Wyłoniono więc odpowiednie władze, którym zlecono przeprowadzenie uchwalonych rezolucji. Nowopowstała organizacja zwie się *Interuniversity Committee on Canadian Slavs.* Następny zjazd odbędzie się w 1967 r. w Ottawie i Montrealu. Postanowiono opublikować przebieg konferencji w Banff, wspierać wszelkie naukowe publikacje dotyczące Słowian w Kanadzie, zaapelować do czynników rządowych uniwersytetów, instytutów, fundacji oraz jednostek o dotacje dla przeprowadzenia odpowiednich badań oraz ogłoszenia ich wyników.

Konferencja — jak już wspomnieliśmy — stanowi pierwszą próbę nawiązania bezpośredniego kontaktu między grupami słowiańskimi. Nie wszystkie były wprawdzie reprezentowane, ale to nie znaczy, iż nie wezmą udziału w ewentualnym porozumieniu. Brakło np. Czechów, Bułgarów, Słoweńców, Białorusinów.

Może ważniejszy od najciekawszych referatów jest ów osobisty kontakt, który pozwoli na spokojne przedyskutowanie wielu zagadnień, w tym najdelikatniejszych, najbardziej drażliwych, których unikano w referatach, w dyskusjach publicznych.

Referenci byli powściągliwi, unikali drastycznych sformułowań, przeważały zresztą problemy niejako bezsporne, dotyczące przeszłości, mimo to jednak każdy aspekt polityczny podnosił temperaturę dyskusji.

Czy nowa instytucja będzie miała charakter czysto naukowy? Na pewno prace badawcze są pilne i konieczne. Ale równie ważna jest jakaś akcja mająca na celu uświadomienie społeczeństwa kanadyjskiego o narodach słowiańskich, o ich roli w przeszłości i teraźniejszości, zarówno w dziejach politycznych jak i społecznych. Nieznany jest też dorobek kulturowy narodów słowiańskich, poza rosyjskim. Wydziały slawistyczne cierpią na chroniczny brak studentów. Społeczeństwo kanadyjskie bardzo mało wie o wkładzie grup słowiańskich w rozwój tego kraju.

Niewątpliwie, bliższe stosunki między pracownikami naukowymi grup słowiańskich są cenne, ale między nimi istniał i tak kontakt. Oczywiście jest on ograniczony do problemów naukowych ich bezpośrednio interesujących. A chodziłoby o to aby

ten kontakt rozszerzyć poza to grono. Być może tylko część naukowców zechce — lub będzie się nadawała — do budowania platformy, na której można by nie tylko omawiać wiele spraw obchodzących wszystkie grupy słowiańskie w tym kraju — ale i podjąć pewne konkretne kroki w interesie tej grupy. Wątpliwe jest, by profesorowie zechcieli we własnym zakresie podejmować szeroką działalność, ale na pewno nie odmówią czynnej współpracy czynnikom społecznym a więc organizacjom reprezentującym poszczególne grupy. Oni mogą przygotować teren do szerszych kontaktów.

Nowo powstała instytucja może więc odegrać pionierską rolę w dziedzinie prawdziwego i trwałego porozumienia kanadyjskich Słowian.

Benedykt HEYDENKORN

Nowość

Beniamin Józef Jenne

ASPAZJA, ON I JA

„Aspazja" jest wielkim sukcesem autora. Potrafił on bowiem nawiązać ostry, prowokacyjny dialog nie tylko z osobowymi mitami wielkości, ale i z epoką.

Wśród „młodych" jest to bez przesady najciekawszy, najoryginalniejszy i najbardziej udany debiut prozatorski młodego pisarza, który w całkowitym odosobnieniu i samotności umiał sobie zbudować swój zdrowy świat.

I-sza edycja na wyczerpaniu

do nabycia tylko w

Oficynie Poetów i Malarzy
146 Bridge Arch Sutton Walk,
Londyn S. E.I

Sąsiedzi

Trust

Od początku roku 1921 aż do końca roku 1927 pełniłem w Tallinie, stolicy Estonii, obowiązki pomocnika, następnie attaché wojskowego przy Poselstwie R.P. Jak każdy attaché wojskowy w krajach sąsiadujących z nowopowstałą Rosją sowiecką i ja również miałem powierzone sobie zadania wywiadowcze: badanie Rosji pod względem wojskowym. Placówka nasza szczególnie nadawała się do tego zadania ze względu na niedawno zawarty przez Estonię pokój z Rosją, względną stabilizację na granicy i duży ruch tranzytowy i morski do i z Rosji, tak towarów jak i ludzi. Estończycy po wielowiekowej niewoli odnosili się do Rosjan nienawistnie, a będąc narodem utalentowanym i ruchliwym — byli doskonałymi znawcami Rosji, toteż znalezienie ludzi do pracy wywiadowczej spośród nich nie przedstawiało wielu trudności. Natomiast doświadczenia z wojny nauczyły mnie unikania jakichkolwiek kontaktów z białymi Rosjanami, jako z materiałem ludzkim gruntownie zdemoralizowanym i w najwyższym stopniu ideowo niepewnym.

W roku 1920 lub w końcu 1919, Komenda Naczelna Polskiej Organizacji Wojskowej nr 3, to jest działającej nadal na terenach Ukrainy, Białorusi i Rosji, z upoważnienia naszego Sztabu Generalnego wysłała do Kijowa i Winnicy porucznika W. P., Steckiewicza, byłego peowiaka z okręgu wileńskiego. Steckiewicz, wilnianin, pochodzący ze sfer inteligenckich czy ziemiańskich, zdolny, przedsiębiorczy, władający biegle językiem rosyjskim, wydawał się idealnym człowiekiem do zebrania do kupy i zreorganizowania rozbitej przez bolszewizm i rewolucję P.O.W. Sztab nasz oczekiwał od Steckiewicza informacji co do zamierzonej ofensywy rosyjskiej, o której miał dość ogólnikowe wiadomości. Steckiewiczowi towarzyszyła peowiaczka z terenów ukraińskich. Zaopatrzony w adresy w Moskwie, Piotrogrodzie, Kijowie i innych pomniejszych miastach Ukrainy, Steckiewicz z towarzyszką przekroczyli granicę estońsko-sowiecką w rejonie jeziora Pejpus.

Poprzez Piotrogród (Leningrad) dotarli szczęśliwie do Moskwy i tam wpadli w ręce Czeka.

Steckiewicz był badany osobiście przez Dzierżyńskiego, szefa wszechpotężnej Czeka. Wydał on nie tylko swoją towarzyszkę, ale i całą organizację P.O.W., wszystkie adresy, wszystkie kontakty. Czeka dokonało pogromu nie tylko P.O.W. ale i ludzi bliżej czy dalej z nią związanej. Zadano cios polskości na Ukrainie. Od kul czekistów zginęło tysiące Polaków, dziesiątki tysięcy wywieziono do łagrów lub też zamęczono w więzieniach. W nagrodę za to Steckiewicz nie tylko ocalił głowę, ale jako funkcjonariusz Czeki pomagał w tępieniu śladów polskości.

W okresie wojny polsko-sowieckiej roku 1920 Steckiewicz robi błyskawiczną karierę. Gdy za Jagody Czeka została przemianowana na O.G.P.U.[1] Steckiewicz nosi trzy romby na kołnierzu, tzn. jest generałem korpusu i szefem tzw. *Inotdieł OGPU*[2], to jest podlegają mu wszystkie agentury wywiadu i kontrwywiadu zagranicznego sowieckich placówek dyplomatycznych i tajnych.

Stackiewicz po zawarciu pokoju z Polską wpadł na pomysł rozbicia emigracji rosyjskiej, głównie monarchistycznej, więcej nawet, wciągnięcia jej do pracy szpiegowskiej na rzecz Rosji (ma się rozumieć wbrew jej własnej woli) i użycia jako kanałów do inspiracji państw Europy Zachodniej i sąsiadów Rosji; trzecim celem było kontrolowanie wszelkiej działalności monarchistycznej, dywersyjnej lub wywiadowczej na samym terytorium Rosji.

Steckiewicz tworzy w Moskwie z oddanych sobie pracowników Czeka „Monarchisticzeskoje Objedinienije Rossiji" (M.O.R.). W skład prezydium wchodzą: zmuszony do tego wskutek aresztowania żony i córki, których życie zależało od lojalnego wykonywania rozkazów Czeki — gen. armii carskiej Zajonczkowskij, oraz były wiceminister komunikacji z czasów carskich, Fiodorow, używający w organizacji pseudonimu Opperput, inteligentny i sprawny agent Czeki. Inni członkowie zarządu byli tylko pionkami w rękach Steckiewicza lub Opperputa. Z czasem wybije się na poczesne miejsce gen. Denisow, którego Czeka używa na równi z Opperputem do działań zagranicznych, jako rzekomego monarchistę, ale jednocześnie sowieckiego komandarma, co miało świadczyć o „przenikaniu" organizacji monarchistycznej do szeregów Armii Czerwonej.

Emigracja rosyjska była rozbita tak samo jak jej organizacja monarchistyczna, zbudowana na szkielecie starej, carskiej hierarchii. Intrygi, zawiści, tytułomania i orderomania skłócały ją coraz bardziej i odstraszały żywioły młodsze, tym bardziej, że i pretendentów to tronu było dwóch: ks. Kiryłł i b. wódz naczelny Mikołaj Mikołajewicz. Wszystko było jakby stworzone rozmyślnie, aby na tym tle zaszczepić myśl jedynej, odmłodzonej, odgrodzonej od utytułowanych „czynowników" — organizacji mo-

1. Ogólnozwiązkowy Państwowy Zarząd Polityczny.
2. Wydział Zagraniczny O.G.P.U.

narchistycznej, tkwiącej swymi korzeniami w Rosji, posiadającej kierownictwo w Moskwie. Zadanie to poruczone zostało Fiodorowowi, który dla upozorowania tej pracy przedstawiał się jako urzędnik komunikacji w Moskwie i jako taki miał poruczone jakoby zadania z ramienia rządu poza granicami kraju. Jako rzekomy urzędnik wyjeżdża często na kilka dni do Paryża, Pragi i Warszawy i wszędzie korzystając ze stosunków carskich ma możność odwiedzania starych przyjaciół lub znajomych i dawania im do zrozumienia, że jest nadal tym, czym był przed wojną, jak najbardziej wiernym tronowi Romanowych monarchistą. Szeptana „tajemnica" (jak to na emigracji) rozchodzi się szybko. W Warszawie emigracja o nim wie wszystko zanim via Praga dobrnął z Paryża. W Warszawie Fiodorow zaufanym monarchistom zwierzył się z istnienia w Moskwie ściśle zakonspirowanej organizacji monarchistycznej. I znów wiadomość ta wraca do Pragi i Paryża i trafia do Estonii. Nawet nazwa M.O.R. już jest ujawniona. Starzy, jak to starzy, są sceptyczni i podejrzliwi, młodzi pełni otuchy i nadziei na możliwość wreszcie jakiegoś czynu, cieszyli się i byli dumni, że kraj się organizuje.

Za następnym pobytem Fiodorowa wiadomo już, że na czele M.O.R. stoi stary, znany powszechnie z prawości gen. Zajonczkowskij. Powstają pierwsi delegaci M.O.R. mianowani przez Fiodorowa w Estonii, Łotwie, Finlandii, Polsce itd., którzy na razie mają czekać i rozglądać się za najwartościowszym materiałem do ewentualnego przerzucenia do Rosji, albo do pracy organizacyjnej na miejscu. Fiodorow podnieca młodych do uczenia się polityki „limitrofów", jak Rosjanie nazywali narody, które oderwały się od Rosji i uzyskały niepodległość, każe im śledzić stosunki międzynarodowe, uczyć się i starać się o posiadanie wpływów w krajach zamieszkania. Z czasem powstają organizacje M.O.R. we wszystkich krajach, w których przebywa emigracja rosyjska, zdyscyplinowane i słuchające wytycznych centrali moskiewskiej.

Wiadomości o M.O.R. trafiają i do Socjal-Rewolucjonistów rosyjskich, gdzie stary Burcew, który kiedyś rozszyfrował i ujawnił prowokatora policji carskiej Azefa — nie ufa M.O.R., czuje, że tu coś nie jest w porządku. Nie ufa również dobry organizator starych monarchistów gen. Kutiepow, nie ufa i Sawinkow, który mimo całego doświadczenia wpada w sidła Czeki na terenie Rosji i ginie wyrzucony przez okno czrezwyczajki. W parę lat potem ginie nieufny gen. Kutiepow, porwany na ulicy w Paryżu, wywieziony do jakiegoś portu francuskiego i odtransportowany sowieckim okrętem do Moskwy na Łubiankę, ginie as wywiadu angielskiego kpt. Reily, który chce osobiście sprawdzić co to jest M.O.R. i zawieziony do Moskwy przez Fiodorowa-Opperputa przez „tajne" przejścia, zostaje zastrzelony na Łubiance.

Powoli zaczynają napływać z Zachodu do centrali M.O.R. w Moskwie pierwsze raporty jej współpracowników zagranicznych. Dzięki stosunkom, jak również dzięki, „usługom wywiadowczym", niektóre państwa wyrażają zgodę na przesyłanie tych raportów,

zazwyczaj w formie listów prywatnych *do „rodzin" w Rosji.* Z czasem M.O.R., który dla celów konspiracyjnych przyjął kryptonim „Trust", korzysta i z poczty dyplomatycznej *z Rosji... zagranicę.* Gdy do mego łącznika w Moskwie, por. Wernera, Trust zwrócił się z tą propozycją, wyraziłem zgodę. Pozwalało mi to przez szereg lat kontrolować instrukcje M.O.R.-Trustu płynące z Moskwy, poznawać powoli ich sieć, zasięg i personalia. W miarę rozwijającej się współpracy z Trustem dawało mi to dużo „informacji" i „dokumentów", które niekiedy w identycznej formie otrzymywałem od Anglików bądź Estończyków. Zacząłem nabierać coraz więcej nieufności, popartej dowodami z przesyłanych przez M.O.R. zagranicę listów.

Pojechałem do Warszawy, gdzie Szefowi Wydziału Wywiadowczego O. II. ppłk. Bociańskiemu przedstawiłem moje wątpliwości i podejrzenia. Niestety, nie znalazłem zrozumienia. Zdecydowałem się na krok ryzykowny. Postanowiłem pojechać do Rosji, tłumacząc to w Wydziale Wywiad. koniecznością spotkania się z moimi konfidentami, pracownikami sztabu Czerwonej Armii. Miała to być moja druga „nieoficjalna" podróż do Rosji. Poprzednią odbyłem kilkanaście miesięcy przedtem. Byłem jeszcze w posiadaniu paszportu wystawionego na woźnego-szofera, który wyrobił dla mnie O. II w naszym Min. Spr. Zagr., gdzie mnie nikt nie znał. Obładowany żywnością, ubrany ubogo (żywność dla placówek naszych w Moskwie, Charkowie i Kijowie wożono regularnie z Warszawy), nie zwracałem uwagi czujnych czekistów. W Moskwie, po porozumieniu się z moim oficerem łącznikowym, postanowiłem odwiedzić pewnego pułkownika Armii Czerwonej, który, jak wynikało z listów, miał być ważnym kontaktem M.O.R.-Trustu w sztabie. Z listów znałem jego adres. Wziąłem ze sobą paczkę konserw i poszedłem.

Moja nieoczekiwana wizyta była kompletnym zaskoczeniem. Rozmowa z nim utwierdziła mnie w przekonaniu, że jesteśmy zapewne na równi z innymi sztabami, ofiarą olbrzymiej inspiracji. Następnego dnia z oficerem łącznikowym por. Wernerem, widziałem w Moskwie „oficjalnych" łączników M.O.R.-Trustu. Rozmowy z nimi nie wniosły nic nowego. Wiedziałem, że jesteśmy w rękach *Inotdieła OGPU.*

Po powrocie do Warszawy raz jeszcze meldowałem moim przełożonym, że jesteśmy ślepym narzędziem w rękach sowieciarzy. Popierali mnie dwaj oficerowie, ppłk. Englicht i mjr. Pawłowicz z tzw. Ewidencji O. II., której zadaniem było badanie jakości i prawdziwości otrzymywanych przez nasz wywiad wiadomości. W rezultacie tych naszych zastrzeżeń — odebrano mi łączność z M.O.R., odwołano mego utalentowanego oficera por. Wernera i wysłano na jego miejsce innego, zresztą również dzielnego, oficera tylko, niestety, niedoświadczonego, mjra Niedzińskiego.

Łączność z M.O.R.-Trustem objęła bezpośrednio Warszawa, tj. mjr. Talikowski, kierownik Referatu Rosyjskiego Wydziału Wywiadowczego. Był to kapitalny błąd, zabrakło „buforowego" pośrednictwa, jakim był ośrodek talliński. Jedną tylko

rzecz „wydębiłem" na szefie wywiadu: żądanie od Moskwy poważnych materiałów wywiadowczych, jak na przykład planów mobilizacyjnych. Niech się wykażą swymi rzekomymi stosunkami w sztabie R.K.K.A.

Dziwnym zbiegiem okoliczności po tym akcie odebrania łączności z M.O.R.-Trustem Tallinowi i przeniesienia na łączność bezpośrednią Moskwa-Warszawa, zjawił się w Warszawie — Fiodorow (Opperput)! Zaproponowałem mjr. Talikowskiemu, kier. wyw. na Rosję odbycie spotkania we trójkę. Nigdy przedtem nie widziałem Opperputa, który jak się okazuje był w kontakcie z kierownikiem wywiadu na Rosję; widzieli się już niejednokrotnie. Gdy zostało ustalone spotkanie, Fiodorow nagle zachorował, został zawieziony do prywatnej kliniki św. Józefa w Warszawie i poddany operacji ślepej kiszki. Postanowiliśmy z kierownikiem wywiadu na Rosję odwiedzić go. Tak się złożyło, że po zapukaniu do drzwi pokoju, wszedłem pierwszy. Zauważyłem, że Fiodorow szybko schował pod kołdrę jakąś książkę. Z rozmowy nie pamiętam nic, twarz nijaka, tylko małe, chytre, lisie oczy cały czas biegały po naszych osobach. Po wyjściu z pokoju poprosiłem siostrę szpitalną by zechciała przy sposobności odnotować tytuł i rok wydania książki, którą pacjent-Rosjanin czyta. Trafiłem szczęśliwie. Była to historia Rosji Iłowajskiego, wydana na kilka lat przed wojną w Moskwie. Według mego przypuszczenia była to książka, którą posługiwano się do szyfrowania „literowego" w kontaktach zagranicznych. Bez znajomości książki, która jest w tym celu używana, szyfr, według opinii naszego znakomitego deszyfranta płk. Kowalewskiego, do którego zwracałem się z prośbą o rozszyfrowanie szeregu listów, jest niemożliwy do odczytania. Dałem zatem na odjezdnym do Tallina kierownikowi wywiadu na Rosję poważne narzędzie do ewentualnego rozszyfrowania listów M.O.R.-Trustu. Ale Warszawa, jak to było do przewidzenia, nie miała ani czasu ani personelu do spokojnego i metodycznego zajmowania się tą sprawą.

Jak było uplanowane, Wydział Wywiadowczy postawił M.O.R. zadanie dostarczenia planów mob. M.O.R.-Trust kręcił, odwlekał, wreszcie oświadczył, że zdobycie tych rzeczy będzie kosztować wiele, bo trzeba niektórych ludzi w sztabie przekupić; w tej sprawie był znów w Warszawie Fiodorow i gen Denisow. Sprawa ciągnęła się bardzo długo.

W tym okresie naszych peregrynacji M.O.R. zagranicą rozwijał się dość szybko. Ponieważ młodzi monarchiści z zagranicznego M.O.R. nie bardzo szanowali stare autorytety paryskie kłócące się ze sobą, GPU postanowiło utworzyć „trzecią" siłę, powołać na patrona człowieka jak najmniej zaangażowanego w rozgrywki emigracyjne. Taką osobę znaleziono w Szwajcarii. Mieszkał tam książe Liwen (spokrewiony z dworem carskim), który od opuszczenia Rosji nie mieszał się do czynnej polityki, ale był wrażliwy i czujny na wszystko co się w Rosji dzieje. Do misji wtajemniczenia „swiatlejszewo" kniazia postanowiono użyć gen. Denisowa, jako oficera Armii Czerwonej, który jest jednocześnie

gorącym monarchistą i członkiem jej tajnej organizacji w Rosji. Dano gen. Denisowowi jakiś przydział w Komisji Rozbrojeniowej Ligi Narodów (a może był nawet szefem delegacji sowieckiej?). Denisow wybrał się do Liwena z wizytą, w czasie której przed nim „otworzył swoją duszę". Mówił mu, że Rosja przechodzi olbrzymie przemiany myślowe, że jest nie tylko częścią Europy ale i Azji i że oni tam w konspiracji mówią o Eurazji i ruchu euroazjatyckim. Retoryka gen. Denisowa poruszyła ks. Liwena i po jakimś czasie dał M.O.R swój patronat. Temat eurazjatycki był szeroko opracowany przez M.O.R. i stale w instrukcjach płynących z Moskwy zagranicą poruszany. Eurazja stała się na czas jakiś bardzo modną w publicystyce zagranicznej i naszej.

W starej emigracji z Mikołajem Mikołajewiczem, Wranglem i Kutiepowym na czele stosunek do M.O.R.-Trustu budził coraz większe zainteresowanie. Na sugestię Fiodorowa postanowiono wysłać do Rosji zaufanego człowieka, który by zapoznał się M.O.R. i przekonał się o jej zasięgu i wpływach. Wybór padł na bliskiego kierownictwu monarchistów typu Kutiepowa, pisarza i byłego dziennikarza kijowskiego, Szulgina*, mieszkającego w Paryżu.

Szulgin poprzez Polskę udał się do Rosji. Po stronie sowieckiej oczekiwał go już gen. Denisow, który pilotował go do Moskwy. W Moskwie nastąpiło w „tajemniczych" warunkach spotkanie z prezydium Monarchistycznego Zjednoczenia w Rosji (M.O.R.), tj. z gen. Zajonczkowskim i oczywiście Fiodorowem. Po paru dniach oglądania Moskwy sowieckiej Szulgina eskortowano do Leningradu, gdzie miał spotkanie z tamtejszym oddziałem M.O.R., po czym znów z innym towarzyszem pojechał do Kijowa, gdzie przed rewolucją wydawał własne pismo. Po ponownym powrocie do Moskwy zwierzył się Fiodorowowi ze swoich jak najlepszych, wręcz entuzjastycznych, wrażeń i wyraził życzenie napisania książki o tym co widział i słyszał. Fiodorow zaakceptował tę myśl z jednym zastrzeżeniem: rękopis musi być przysłany do przejrzenia przez prezydium M.O.R. aby nie pojawiły się w druku jakieś błędy wypaczające linię ideową M.O.R.-u, lub fakty, które by mogły naprowadzić OGPU na trop M.O.R.-u Szulgin po miesięcznym pobycie w Rosji tą samą drogą via „okno" na granicy polsko-sowieckiej powrócił do Paryża, skąd niebawem rękopis jego książki powędrował do Moskwy. Po kilku tygodniach, po uzyskaniu *imprimatur* książka ukazała się pod nazwą „Tri Stolicy" (Trzy Stolice). Książka zrobiła piorunujące wrażenie na emigracji. Znane nazwisko, wędrówka autora po Rosji, możliwa jedynie przy pomocy rozgałęzionej, silnej i wpływowej organizacji, przekonały ostatecznie niewiernych, że M.O.R. jest organizacją potężną i poza wszelkimi podejrzeniami. Duże wrażenie na Szulginie zrobiło specjalnie dla niego zainsce-

* W. W. Szulgin, aresztowany w r. 1956 gdzieś w Jugosławii, po zwolnieniu z więzienia publikuje apel do emigracji rosyjskiej, wzywając ją do powrotu. Szulgin zmarł kilka miesięcy temu.

nizowane „nabożeństwo" przedstawiciela tzw. *Żiwoj Cerkwi* (coś w rodzaju naszych księży-patriotów). Nabożeństwo odbyło się w jakiejś piwnicy w obecności całego prezydium M.O.R. oraz szeregu oficerów w mundurach. Nabożeństwo odprawił *biatiuszka*, który nie bardzo dobrze mówił po rosyjsku, co jeszcze bardziej wzruszyło Szulgina, który pomyślał sobie o eurazyjskości nie tylko M.O.R.-u, ale i cerkwi prawosławnej. Wzruszony całował ręce *batiuszki*, którym był — Steckiewicz, zastępca szefa OGPU, we własnej osobie.

Książka Szulgina miała również duży wpływ na oddziały wywiadowcze wszystkich sztabów, które z M.O.R. pracowały, a pracowały z nią, jak się później okazało, sztaby całej Europy interesującej się Rosją.

Tymczasem negocjacje naszego wywiadu z M.O.R.-Trustem w sprawie planu mobilizacyjnego ciągnęły się niepomiernie długo. Wreszcie M.O.R. oświadcza, że niestety planów mobilizacyjnych sztabu nie może na razie dostarczyć, gdyż zaszły nieprzewidziane zmiany personalne w sztabie Armii Czerwonej, lecz może wkrótce dostarczyć plany mobilizacyjne kolei sowieckich za 10 tys. dolarów. Wywiad nasz wyraża zgodę z tym, że 5 tysięcy jest płatne przy otrzymaniu, reszta po przejrzeniu i akceptacji.

Plany mobilizacyjne kolei przybywają wreszcie do sztabu. Studiują je kolejno: Ewidencja O.II., potem Oddział IV Kwatermistrzowski Sztabu Głównego. Plany są prawdziwe — pada ostateczne orzeczenie. Szef sztabu gen. Piskor wraz z szefem O. II. płk. Bajerem uzyskują w Belwederze audiencję u Marszałka Piłsudskiego. Marszałek poleca im zostawić mu te plany na parę dni do przejrzenia.

W kilka dni potem zostaje wezwany do Belwederu Szef Sztabu Głównego gen. Piskor.

Marszałek poleca Szefowi Sztabu zabranie tych „szmat sowieckich", którymi bolszewicy chcą wprowadzić w błąd nasz sztab. Kolejno Marszałek wskazuje Szefowi Sztabu błędy w obliczeniach sowieckich co do przelotności poszczególnych stacji kolejowych, które wykrył przy pobieżnym przeglądaniu *rzekomych* planów mob. kolei sowieckich. O ile dobrze pamiętam, to myślą przewodnią tych planów było zainspirowanie nam, że uderzenie sowieckie na Polskę przewidziane jest w kierunku Lwowa, a nie tradycyjnie na „wrota smoleńskie". I to w Marszałku Piłsudskim wzbudziło pierwsze podejrzenia, które — po jego ściślejszej analizie przelotności poszczególnych stacji kolejowych — doprowadziło do wykrycia błędów obliczeniowych, nie zauważonych ani przez O.II. ani O.IV. naszego sztabu.

Od szefa Sztabu w dół — „drogą służbową" — poszły zastrzeżenia co do planu mobilizacyjnego, zwróconego M.O.R. z odpowiednim komentarzem.

Znając M.O.R.-Trust sądzę, że kopie tego planu poszły i do innych sztabów.

Nasz oficer łącznikowy do M.O.R. w Moskwie, mjr. Niedziński

meldował, że zwrócenie planów mob. jako fałszywych było wielkim zaskoczeniem dla łącznika M.O.R.

Osobiście nie ukrywałem przed moimi kolegami attachés wojskowymi w Tallinie i Rydze (w międzyczasie byłem mianowany jednocześnie attaché wojskowym także i w Rydze), którzy, jak się domyślałem, mieli swoje kontakty z M.O.R., o mistyfikacji, która została odkryta w Warszawie. Wiedzieli też o tym szefowie organizacji monarchistycznej w Rydze i Tallinie — szlachetni i przyzwoici Rosjanie.

Przypuszczam, że to wydarzenie, a może i inne jakieś nieznane mi przyczyny, spowodowało załamanie się w kierownictwie M.O.R.-Trustu. Był to już rok 1927 a więc okres intensywnych „czystek" w Rosji. Następuje ze strony OGPU cykl błędów i gaff.

Na wiosnę 1927 roku przybywa z Rosji grupa członków M.O.R., którzy przekazują sztabowi fińskiemu szereg rewelacji: do M.O.R. przeniknęły wtyczki OGPU, na skutek czego w M.O.R. nastąpił rozłam na *pewnych* i *niepewnych*. Stwierdzają, że gen. Zajonczkowskij jest pionkiem w rękach czekistów, natomiast Opperput-Fiodorow jest pewny i wierny monarchista! On to będzie prowadzić nadal oczyszczony od agentów Czeki i lepiej zakonspirowany M.O.R. Oni, prawdziwi monarchiści, mają zaufanie do gen. Millera (następcy gen. Kutiepowa) i z nim tylko chcą mówić, jeśli chodzi o stronę rosyjską, i jemu złożyć obszerne zeznania, na które chcą zaprosić niektórych oficerów obcych armii. Z armii polskiej wymieniają z imienia i nazwiska szefa Wydziału Wywiadowczego tj. płk. Bociańskiego i kierownika referatu na Rosję mjr. Talikowskiego, natomiast uważają za wtyczki sowieckie kapitana Drymmera, Szefa O.II. płk. Bajera i Szefa Sztabu Głównego gen. Piskora!

W parę dni potem, zdziwiony, przyjmowałem u siebie Szefa Wydziału Wywiadowczego i kierownika referatu na Rosję, którzy jechali do Helsinek. Obaj nie mieli już wtedy wątpliwości, że jest to kiepska rozgrywka sowiecka, pragnęli jednak dotrzeć do samego dna tej Wielkiej Inspiracji.

Rzekomi „uciekinierzy" z Rosji i „bojowcy" M.O.R. poczęli zasypywać obecnych różnymi wiadomościami, gdzie między ziarnkami prawdy kryły się dalsze inspiracje i fałsze.

Trzeba przyznać obiektywnie, że gen. Miller i jego otoczenie rosyjskie odnosiło się bardzo krytycznie do przybyszów, a nawet do rzekomo bardzo bliskiej kuzynki gen. Kutiepowa, kobiety używającej w M.O.R. nazwiska Szulc. Rosjanie byli bardziej krytyczni i przenikliwsi aniżeli oficerowie sztabu fińskiego, którzy zdumiewali wszystkich swoją nieuzasadnioną wiarą i dziecinną naiwnością. Szefowie wywiadu łotewskiego i estońskiego, dobrze obeznani z M.O.R., łatwo zorientowali się, że jest to dalsza gra OGPU. Jakkolwiek nie byłem w Helsinkach, wiedziałem szczegółowo o całym przebiegu wielodniowych konferencji i *razobłaczenij* robionych przez „uciekinierów".

Gen. Miller zażądał od „uciekinierów" dowodów prawdy i siły, o której relacjonują.

Uciekinierzy deklarują dwa dowody: 1) uderzenie na dom partii w Leningradzie i 2) wysadzenie Łubienki (centralne więzienie i siedziba OGPU) w Moskwie.

Najpierw poszła pierwsza partia złożona z kilku osób, które miały opanować albo wysadzić Dom Partii w Leningradzie. Przy przerzucaniu ich przez granicę fińsko-sowiecką nastąpił jakiś nieprzewidziany wypadek, który zatrzymał „zamachowców" w w Finlandii w pobliżu granicy na kilkadziesiąt godzin. Tymczasem w parę godzin po przekroczeniu przez nich granicy otrzymano już w Helsinkach gazety leningradzkie z obszernym opisem napadu na Dom Partii i... zabiciu zamachowców, którzy przybyli z Finlandii, nasłani przez białogwardyjców rosyjskich!

Ta gaffa OGPU otworzyła wreszcie oczy tym, którzy jeszcze wierzyli w M.O.R.-Trust. Nawet Finnowie przekonali się, że zostali oszukani.

Wkrótce OGPU popełniło drugą gaffę. W prasie moskiewskiej ukazuje się obszerny opis udaremnionego „zamachu" na Łubiankę w Moskwie. W walce z zamachowcami, przysłanymi z Polski (?) zginęła Szulc i Fiodorow-Opperput, przy którym „znaleziono" *pamiętnik* z opisem działalności (sic) M.O.R.

Ten drugi błąd OGPU był już tak grubymi nićmi szyty, że skończył raz na zawsze legendę M.O.R.-Trustu.

W wiele lat potem, już po moim przejściu do Ministerstwa Spraw Zagranicznych doszły mnie, jak mi się wydawało, ostatnie echa M.O.R. Ktoś z moich znajomych Łotyszów był w Szanghaju i w kawiarni spotkał się oko w oko z dobrze znanym sobie Fiodorowem-Opperputem, który zdaniem mego znajomego kręcił się zapewne w kołach białej emigracji rosyjskiej współdziałającej z Czang Kai-szekiem.

Minęło znów parę lat. Nastąpiło zawarcie paktu o nieagresji z Rosją i ocieplenie naszych wzajemnych stosunków. Pewnie temu zawdzięczam „przyjemne" spotkanie w pociągu Moskwa-Charków, dokąd udawałem się na inspekcję placówek konsularnych. W korytarzu wagonu sypialnego zauważyłem młodego, przystojnego oficera sowieckiego, wyróżniającego się elegancją i postawą. Za chwilę oficer ten, z oznakami generała korpusu na kołnierzu i z dużą ilością odznaczeń na mundurze, odezwał się do mnie w nienagannej polszczyźnie: czy mam przyjemność mówić z panem kapitanem Drymmerem?

— Tak, kapitanem rezerwy, gdyż obecnie jestem urzędnikiem M.S.Z.

— Ja jestem były porucznik Steckiewicz, a obecnie — wskazał na kołnierze z trzema rombami — generał korpusu.

Zaczęła się rozmowa, chwilami lekka i żartobliwa, chwilami przeplatana groźbami lub też próbami ze strony Steckiewicza, zwerbowania mnie do pozostania w Rosji. Ze swej strony zaproponowałem mu, by lepiej powrócił do Polski i rodzinnego Wilna.

Steckiewicz nawracał do M.O.R. parokrotnie, bowiem rozmowa nasza na korytarzu trwała wiele godzin. Śmiałem się z niego,

że tak głupio rozegrali zakończenie, oraz że niepotrzebnie mnie, rzekomo ich współpracownika, postawili na tej samej płaszczyźnie co szefa O. II. i Szefa Sztabu. Zakończenie tej części rozmowy było nieoczekiwane:

— Tak, ale ja dostałem za to odznaczenie, i wskazał na order Czerwonego Sztandaru, a pan o mało nie dostał się do więzienia. To była zemsta za Bagińskiego i Wieczorkiewicza.

— A cóż to ma wspólnego, powiedziałem, ani ich znałem ani nawet nie wiedziałem, że zostali bezsensownie zastrzeleni przez wariata Muraszkę.

— Ot, tak sobie powiedziałem — odparł Steckiewicz — przyznam się, podziwiam pańską odwagę czy bezczelność, by podróżować po Rosji, przecie i u nas może się znaleźć jakiś Muraszko.

— Pod pańską opieką i z moim paszportem dyplomatycznym nic mi się nie stanie.

Zakończyliśmy rozmowę mówiąc o przedstawieniu teatralnym, na którym poprzedniego wieczoru byłem w Moskwie.

— Tak, wiem, siedziałem obok pana, ale mnie pan nie poznał, mimo, że na ulicy Widok (dawna komenda nacz. POW) spotkaliśmy się. Wiedziałem, że kupiono dla amb. Łukasiewicza i pana bilety. Za panem siedział pański dawny przyjaciel i dowódca, Witkowski-Marczewski[3]. Jak pan widzi, był pan otoczony Polakami.

Na tym zakończyła się rozmowa, której końca miałem wysłuchać w parę dni później, gdy po inspekcji konsulatów w Charkowie, a później w Kijowie, powracałem via Moskwa do Warszawy.

W przedziale wozu sypialnego z Moskwy do Warszawy zastałem byłego porucznika Witkowskiego-Marczewskiego, który przed wojną wciągnął mnie do drużyn strzeleckich w Warszawie, w jego plutonie byłem kapralem w I brygadzie, sypialiśmy pod jednym namiotem, jedliśmy z jednej miski. Wojna 1920 roku rozdzieliła nas. Po pobiciu bolszewików pod Warszawą, dowodził kompanią piechoty. W czasie naszej kontrofensywy słabo było z dowozem żywności. Marczewski kazał zarekwirować krowę, którą przez parę dni, bijąc się i maszerując, żywiła się kompania. Ale nad Marczewskim czuwał sąd polowy i słynna ustawa sierpniówka, mocą której za rekwizycję: sąd polowy i rozstrzelanie. Nasi sądownicy brali ustawę dosłownie i nie było dla nich okoliczności łagodzących. Marczewski został skazany na rozstrzelanie. Źle pilnowany, wyrwał pistolet pilnującemu go żandarmowi i w ucieczce, ostrzeliwując się, zabił, jak sądził, żandarma. Przed Marczewskim w desperacji stanęła, jak mu się wydawało, jedyna droga — ucieczka do Rosji. Tak jak Steckiewicz — trafił na Dzierżyńskiego i poszedł tą samą drogą, lecz nie tak udaną w sensie kariery, jak tamten. O ile wiem, szczytem jego kariery był *Razwiedupr* (wydział wywiadowczy i kontrwywiadowczy)

3. Por. Wiktor Witkowski-Marczewski. Były drużyniak na obszarze Warszawy przed r. 1914, po czym baon warszawski, I Brygada J. P. i Wojsko Polskie.

XVI armii sowieckiej, działającej na Ukrainie. Tam też w ręce jego dostała się młoda dziewczyna, peowiaczka, Hajduczanka, z materiałami wywiadowczymi. Badał ją Marczewski. W toku badania wyszło, że to ja ją wysłałem (zresztą nie pierwszy raz). Marczewski wypytywał ją o mój pseudonim legionowy, ale ona niewiele o mnie wiedziała. Ustalił wreszcie z rysopisu, że to prawdopodobnie Tomek Drymmer. Oddał jej materiały wywiadowcze, dał przepustkę przez posterunki graniczne i zapowiedział, by mi powiedziała, że odsyła ją Witkowski-Marczewski, bo pamięta przyjaźń i przestrzega, że gdybym wpadł w ręce bolszewików niech się powołam na niego, a on mnie będzie ratować.

Przypomniałem mu to i podziękowałem za uratowanie życia Hajduczance, która zresztą nie pożyła długo. Na egzaminie maturalnym ścięto ją z polskiego (pochodziła z Żytomierza, tam należała do P.O.W., była jedną z najdzielniejszych wywiadowczyń, głęboko ideowa). Odebrała sobie życie strzałem z karabinu.

Witkowski-Marczewski był wzruszony i moim podziękowaniem i pamięcią. Wyjął z kieszeni jakąś fotografię, wsadził mi w ręce i wyszedł. Była to fotografia Komendanta Piłsudskiego z więzienia carskiego.

W czasie tej wojny dowiedziałem się, rozpytując tych, którzy siedzieli po więzieniach sowieckich, że tak Steckiewicz jak i Witkowski-Marczewski zginęli w okresie czystki Jeżowa.

W. T. DRYMMER

MONARCHIŚCI W ROSJI SOWIECKIEJ

Tak zwani sowietolodzy poświęcili dużo papieru i czasu tak zwanemu Zjednoczeniu Monarchistów w Rosji Sowieckiej w latach 1921-1927.

Ze strony polskiej ukazał się przed laty w „Kulturze" artykuł Ryszarda Wragi, nie oświetlający do końca tego olbrzymiego szantażu i inspiracji sowieckiej.

Wydawało się, że sprawa ta zmarła swą śmiercią naturalną. Dla nas, ale nie dla Czekistów. W miesięczniku literackim „Moskwa" z czerwca i lipca 1965 r. ukazało się dłuższe opowiadanie „roman-kronika" niejakiego Lwa Nikulina pod tytułem „Martwa Fala" (Miortwaja zyb') *o „Monarchistycznym Zjednoczeniu Rosji" (kryptonim: Trust). Organizację tę stworzyła Czeka, na czele której stał Feliks Dzierżyński. Lew Nikulin, apologeta Czerezwyczajki i jej metod, podaje do wierzenia czytelnikom stos poprzekręcanych, sądzę rozmyślnie, nazwisk, pseudonimów, faktów i funkcji w aparacie Wielkiej Inspiracji. Nikulin mówi dość obszernie o działalności wywiadu polskiego, który w tym czasie stawiał swe pierwsze, niedoświadczone kroki. Przytacza szereg nazwisk oficerów naszych, zarówno w Sztabie Głównym jak i na placówkach, między innymi i moje. Red. Giedroyc zwrócił się do mnie (przysyłając mi dwa numery „Moskwy") z zapytaniem i propozycją omówienia, znanego mi M.O.R.'u. Ponieważ od czasu do czasu spisuję wspomnienia z dawnych czasów, uległem prośbie redaktora i przyjaciela i przesłałem mu wszystko co wiem i pamiętam o MOR — Truście.*

Może to nie jest tylko wspominkarstwo. Czy można mieć pewność, że Trust nie powtórzy się w innym wydaniu?

Wiktor Tomir DRYMMER

Kronika kulturalna

Rozmowa z A. Czerniawskim

W grudniu ubiegłego roku ukazał się zbiór opowiadań Adama Czerniawskiego pt. *Części mniejszej całości* wydany przez Oficynę Poetów i Malarzy. Czerniawski zadebiutował tomikiem wierszy pt. *Polowanie na jednorożca* w r. 1956; w r. 1962 ukazał się w ramach Biblioteki *Kultury* drugi tom wierszy pt. *Topografia wnętrza.*

P: Czy uważasz się głównie za poetę i czy twoje opowiadania są pewnego rodzaju prozą poetycką? Na przykład, twój wiersz „Letnie igrzyska" w *Topografii* bardzo przypomina późniejsze opowiadania i wydaje mi się, że są pisane w podobnym nastroju. Czemu więc „Igrzyska" napisałeś wierszem, a np. „Giotto", może najbardziej poetyckie ze wszystkich opowiadań, napisałeś prozą?

O: Trudno odpowiedzieć na pytanie, czy pewne rzeczy można by napisać prozą i na odwrót. Darowski, który mnie kiedyś w tej materii atakował i sprowokował bardzo pożyteczną dyskusję w *Kontynentach*, wierzy w absolutne rozgraniczenie między prozą a poezją. Według niego ja tę granicę zacieram i dlatego zasługuję na potępienie. Cóż ja na to poradzę!

P: Czy nazwałbyś „Letnie igrzyska" prekursorem swoich opowiadań?

O: Opowiadania zacząłem pisać mniej więcej w tym samym czasie, co wiersze, które weszły do *Topografii*. Reagowałem wówczas przeciw świadomej, bardzo kunsztownej poetyckości wierszy w *Jednorożcu*. Ten wiersz, który zaliczam do okresu przejściowego, był próbą wyzbycia się efektów. Jest więc chyba w jakiejś mierze prekursorem opowiadań.

P: Czy pisanie prozy i poezji to są dla ciebie dwa równoległe procesy?

O: Są w zasadzie równoległe. Same procesy tworzenia różnią się nieco, ale trudno mi tę różnicę uchwycić. Ciekawe, że za-

zwyczaj zaczyna się od pisania wierszy, a później przechodzi się na prozę. Niektórzy pozostają przy jednym i drugim. Nie znam wypadku przejścia od prozy do poezji. Poezja jest wyrazem wczesnej młodości, powiedzmy lat dwudziestych. Inni zupełnie odchodzą od poezji i uważają się wyłącznie za prozaików.

P: Ihnatowicz pisał w recenzji z *Polowania* o „melancholii i smutku z powodu konfliktu między pięknem a domniemaną rzeczywistością, która rodzi poczucie beznadziejności". Czy to poczucie beznadziejności, która wedle Ihnatowicza „nie pozwala na pozytywne ustosunkowanie się do teraźniejszości", nurtuje ciebie i czy temu właśnie dajesz wyraz w swych opowiadaniach?

O: To oskarżenie przypomina dobre stalinowskie czasy, kiedy z reguły wymawiano pisarzom brak pozytywnego ustosunkowania się do rzeczywistości! Oczywiście Ihnatowicz miał coś innego na myśli, ale w każdym razie nie zgadzam się, że te wiersze były w jakimśkolwiek sensie wyrazem beznadziejności. W *Jednorożcu* próbowałem opisać świat idealny np: wiersz „Embarquement pour Cythère" opiewa podróż do wyspy szczęśliwej, ziemskiego raju. Opowiadania natomiast są wyrazem absurdu życia, groteskowej rzeczywistości. Być może jest tu też poczucie beznadziejności, choć ja bym to raczej nazwał stwierdzeniem, że życie nie ma znaczenia, jest irracjonalne. Tego wcale nie odczułem pisząc wiersze, które zebrałem w *Jednorożcu*.

P: Czy możesz ustalić wpływy lub modele, na których opowiadania są bazowane, czy uważasz styl, którym się posługujesz w opowiadaniach za nowy i charakterystyczny dla siebie?

O: Na właściwą drogę naprowadził mnie *Trans-Atlantyk* Gombrowicza. Nie odpowiadała mi tradycyjna proza mieszczańska Prusa czy Balzaka, która tworzy sytuacje „normalne": ludzie żyją w wyraźnie określonym środowisku, kochają się, cudzołożą, robią pieniądze, itp. W *Trans-Atlantyku* znalazłem model prozy kompletnie wyzwolonej z partykularza żmudnego realizmu typowej powieści. Drugim moim patronem był Kafka. Czytając *Zamek* i *Proces* ujrzałem jakby odzwierciadlenie własnej sytuacji. Jednak w przeciwieństwie do Kafki, który buduje swoje utwory na zasadzie logicznej (w których wydarzenia następują po sobie w sposób dający się przewidzieć, jeżeli przyjmie się absurdalną sytuację wyjściową), w moich opowiadaniach nie ma takiej wewnętrznej organizacji: wydarzenia następują jedno po drugim bez oczywistego związku. Być może to stanowi ich odrębność — brak metody też jest metodą!

P: Czy nie uważasz, że twoja proza jest również zbliżona do sztuk Harolda Pintera?

O: Tak, dialog, który niby nie ma znaczenia: jeden mówi o jednym, drugi o czym innym pozornie bez związku.

P: Czy podlegasz angielskim wpływom myślenia?

O: Z wykształcenia jestem stalinistą: wychowałem się na debatach ideologicznych wokół dogmatycznego marksizmu, przy-

pominającego najciemniejsze średniowiecze. Mój typ absurdu przejawia się w braku związku między tym, co się mówi, a tym co się rzeczywiście robi.

P: Czy opowiadania te pisałeś po swoim pobycie w Polsce w r. 1963?

O: Nie, pisałem je przed wyjazdem. Ciekawe, niejednokrotnie spotkałem się z mniemaniem, że pewne wiersze i kawałki prozy sprzed 1963 r. były pisane w wyniku bezpośredniej obserwacji życia w Polsce.

P: Brzękowski określił twoją poezję jako poezję „anty-walorów". Czy zgodziłbyś się z twierdzeniem, że twoja proza jest prozą „nie-walorów".

O: Brzękowski zakładał ogólnie, że poezja anty-walorów, to ta, która niszczy walory poprzedniego pokolenia i widział, że myśmy to robili w swoich wczesnych wierszach. Jeżeli chodzi o mnie, sądzę, że miał na myśli głównie wiersze anty-patriotyczne i ironiczne, jak „dulce et decorum" czy „Nakładając szkła", który zaczyna się od opisu świata pięknego i barwnego, a kończy się aluzją do rozbitej butelki, w której łamie się słońce. Takie świadome zgrzyty między pozornym pięknem a brutalną rzeczywistością nazwał poezją anty-walorów. To jest okres przejściowy u każdego, to znaczy od tego się zaczyna, a potem próbuje się rewaloryzować, zaczyna się budować własne walory. Wydaje mi się, że w opowiadaniach też coś takiego się dzieje: jakaś walka z zastaną rzeczywistością. Być może na tym zacznę budować coś nowego.

P: Jesteś Polakiem mieszkającym w Anglii — czy nie sądzisz, że twoje „położenie geograficzne", jak również to, że jesteś odosobniony, wpłynęło na twoją twórczość?

O: Na pewno zachodzi tu jakiś związek, ale niekoniecznie jest to kwestia odosobnienia, bo wszędzie można, nawet powinno się być w jakimś sensie odosobnionym. Różnice i ścieranie się polskich i angielskich walorów, czy zagadnień — Polak w świecie angielskim, czy emigrant w świecie angielskim — już stanowią zalążek jakiejś groteskowej sytuacji.

P: Tak jak w opowiadaniu „Dzień w życiu bywalca"?

O: Tak, na pewno.

P: Czy twoje opowiadania są zamierzoną satyrą?

O: Są zamierzone elementy satyryczne, momenty w całości, ale nie całość. Żeby pisać satyrycznie trzeba pisać z dystansu, bardzo chłodno, obiektywnie. Satyra, to wielka sztuka, do której ja, przynajmniej na razie, nie pretenduję. Bardzo mnie te rzeczy nękają, zbyt jestem przejęty, żeby uzyskać odpowiedni dystans.

P: Czy twoje opowiadania są satyrą na style?

O: Nie satyryzuję stylów, ja je używam. To jest świadoma stylizacja, kwestia formy. Stylizuję, ponieważ nie wierzę w naturalizm, wszelkie próby „fotografowania" rzeczywistości uważam za pomyłkę i stratę czasu. Może miejscami naśladuję jakieś style, ale nie po to żeby je jako style wykpić. Stylizacja umożliwia

wielką oszczędność, zastępuje bowiem długie opisy, wytłumaczenia. Ale właśnie ta stylizacja umożliwia ludziom doszukiwanie się głębszych wpływów Gombrowicza, które w rzeczywistości nie istnieją.

P: Darowski napisał, że twoje opowiadanie pt. „Giotto" jest „wysypką błyskotliwych sformułowań o niczym". Jaka jest twoja reakcja?

O: Darowski ma świetne poczucie humoru.

P: Darowski zarzucał ci również brak zaangażowania i celu.

O: Cóż powinno oznaczać zaangażowanie się pisarza? Chyba jego twórcze uczestnictwo w świecie, w którym żyje. W tym sensie sądzę, że jestem zaangażowany, choć może nie w tak oczywisty sposób. (Nota bene, Gombrowicz zarzucał mi właśnie, że angażuję się zbyt silnie!). Ale zaangażowanie, termin, który był brzemienny w znaczenia w latach stalinizmu, został szybko zwulgaryzowany i stał się synonimem aprobaty posunięć politycznych, gospodarczych lub kulturalnych skrajnej lewicy, a więc przede wszystkim komunistów. W moim opowiadaniach starałem się m. in. wykazać adsurd takiej jednostronnej, zafałszowanej interpretacji teraźniejszości i historii. Zestawiając krańcowo sprzeczne sytuacje chciałem pokazać, że każde jednostronne wyjście jest niebezpiecznym uproszczeniem.

P: Przeciwstawiając dwa wyjścia z danej sytuacji możesz wywołać wątpliwości co do twojego w danej sytuacji stanowiska.

O: Może ja sam jestem jeszcze niezdecydowany, może przechodzę właśnie stadium anty-walorów. Można przyjąć Heglowskie wytłumaczenie, że przedstawiam tezę i antytezę i może z czasem stworzę syntezę i to będzie mój pozytywny pogląd na świat. To jest chyba sprawa przyszłości i już teraz wydaje mi się, że te opowiadania w *Częściach* stanowią jakiś zamknięty okres. Ale tej kwestii stanowiska autora nie można stawiać na ostrzu noża: pisarz nie jest kaznodzieją, próbuje przedstawić rzeczywistość tak, jak ją widzi. Jeżeli rzeczywistość wyda mu się skomplikowana i absurdalna, musi ten stan rzeczy wiernie oddać.

P: Czy chcesz może wyrazić „nurt myśli podświadomej"?

O: Na pewno nie, mnie podświadomość nie interesuje — nie jestem nawet pewny, czy coś takiego istnieje. Nadrealiści już tę „podświadomość" próbowali twórczo wykorzystać, ale bez większego powodzenia. Z moich opowiadań często wynika, że irracjonalizm polega na braku przyczyn i że moi bohaterzy działają bez dającej się uzasadnić motywacji psychologicznej. Działają tak, właśnie dlatego że świat jest *sensu stricto* irracjonalny, a więc motyw działania nie jest ukryty, „podświadomy", lecz po prostu nie istnieje. Czasem może motorem działania jest niewytłumaczalny, paniczny lęk.

P: Jak więc mamy sobie tych bohaterów tłumaczyć?

O: Może reprezentują ukrytą, niezbadaną stronę psychiczną

ich skądinąd racjonalnie myślącego twórcy, który wierzy w klasyczne ideały piękna, porządku i harmonii, lecz który także intuicyjnie wyczuwa kryjący się za tymi ideałami chaos. Myśl tę próbowałem w zeszłym roku ująć w wierszu pt. „Elegia (w formie sonetu)".

Magdalena CZAJKOWSKA

Londyn w lipcu 1965 r.

Katedra literatury polskiej w Chicago

Polski naukowy stan posiadania w Stanach Zjednoczonych powiększył się wydatnie przez fakt stworzenia w University of Chicago, stałej katedry literatury polskiej i powołanie na nią stałego wykładowcy. Będzie nim od roku akademickiego 1965/66 ze stopniem profesora zwyczajnego (tzw. *full professor)* dr Tymon Terlecki. Historia tej zdobyczy jest interesująca i może służyć jako przykład celowego działania indywidualnego i zbiorowego na ważnych odcinkach.

Slawistyka i polonistyka na kontynencie amerykańskim jest stosunkowo świeżej daty. Jej dzieje streszcza szkic Z. A. Kruszewskiego „A Short Survey of the History and Development of Polish Studies the United States and Their Place in the Field of Slavic Studies", ogłoszony w jednym z zeszytów (lato 1964) nieperiodycznego, jakoś mało dostrzeganego i niezupełnie docenionego wydawnictwa „Meet Poland", które wydają łącznym wysiłkiem: Związek Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźstwie z siedzibą w W. Brytanii (9 oddziałów na kontynencie europejskim) i Polski Związek Akademików w St. Zj. *Polish American Academic Association* z siedzibą Zarządu Głównego w Chicago (4 okręgi na terenie Stanów).

Z tego interesującego zarysu wynika, że w XIX w. tylko pojedynczy amatorzy, maniacy, kolekcjonerzy osobliwości jak John Pickering, zresztą specjalista od Indian, nie od Słowian, posiadali ułamkową znajomość polszczyzny, a szósty prezydent Stanów John Quincey Adams, zanim objął ten odpowiedzialny urząd, uczył się języka rosyjskiego. Pierwsze systematyczne nauczanie rzeczy słowiańskich przypada na siódmy i ósmy dziesiątek lat ub. stulecia. Praktycznie rzecz biorąc było to nauczanie polskiego na stopniu elementarnym w szkołach w Milwaukee

w stanie Wisconsin i w amerykańskiej z polska, po katolicku, nazywającej się wsi Panna Maria w Teksasie oraz nauczanie polskiego i czeskiego w seminariach duchownych.

Slawistykę na stopniu akademickim pierwszy wprowadził już na przełomie stuleci jeden z najstarszych uniwersytetów Ameryki, Harvard University i miał pierwszego slawistę — Leona Wienera. Drugi ośrodek slawistyczny stworzył na uniwersytecie kalifornijskim w Berkeley zasłużony również dla literatury polskiej tłumacz „Pana Tadeusza" na prozę angielską G. R. Noyes. W ślad za tymi uczelniami poszły uniwersytety Yale, Chicago, Michigan. Wstępną fazę sprzed pierwszej wojny światowej zamknęło stworzenie z inicjatywy największej organizacji polonijnej Polskiego Związku Narodowego *(Polish National Alliance)* — systematycznego studium polskiego w Alliance College w Cambridge Springs (Pennsylvania).

Międzywojnie było okresem przejściowym. Columbia University w Nowym Jorku powierzył Arthurowi Colemanowi jr. wychowankowi Uniwersytetu Jagiellońskiego wykłady języka i literatury polskiej. Zabiegi Amerykanów polskiego pochodzenia doprowadziły w r. 1936 do stworzenia katedry literatury polskiej w stanowym uniwersytecie Wisconsin. Zajmowali ją kolejno dwaj przybysze z Polski: Witold Doroszewski, redaktor nowego „Słownika języka polskiego" i Józef Birkenmajer, a po nich zajmuje ją do dzisiaj Amerykanin polskiego pochodzenia, Edmund Zawacki. W sumie slawistyka miała na progu drugiej wojny sześć departamentów, w obrębie których lepiej lub gorzej była reprezentowana również polonistyka.

Doba atomowa przyniosła w tym zakresie dwie eksplozje: jedną, gdy Związek Sowiecki wbrew swej woli znalazł się w obozie anty-hitlerowskim, drugą, gdy wypuścił w przestrzeń międzyplanetarną „I. Sputnika". Obie eksplozje, spowodowane innymi przyczynami, pobudziły nauczanie języka rosyjskiego (uczy się go dziś w ok. 400 ośrodkach). Z tego *boom*'u skorzystała slawistyka i w jej ramach polonistyka. Język polski, literatura i kultura polska zajmują drugie miejsce po rosyjszczyźnie. W roku akad. 1962/63 — w 32 uniwersytetach i *college*'ach amerykańskich istniało studium polskie. W zaczynającym się roku ta liczba podskoczy o kilka punktów (jeden z nich stanowi powołanie prof. Jadwigi Maurer przez Indiana University).

Dopiero na tym tle ukazuje się w pełnym świetle waga i pełnej wymowy nabiera historia powstania katedry literatur polskiej w uniwersytecie chicagowskim. Inicjatywę podjętą w pierwszych latach tego wieku w pewnej mierze kontynuował emigrant rosyjski, sanskrytolog, książę G. V. Bobrinskoj, ale dopiero w r. 1961 powierzono organizację departamentu slawistycznego młodemu rusycyście, Harvardczykowi, uczniowi Jakobsona, prof. Hugh McLeanowi. Z natury rzeczy miało to być przede wszystkim albo przynajmniej w pierwszej fazie głównie studium rusycystyczne.

W tę sytuację wkroczyła inicjatywa polska. Znaleźli się w

Chicago Polacy świadomi, że byłby to dosyć dziwaczny i nieprzyjemny paradoks, gdyby w „stolicy Polonii amerykańskiej", w drugim co do wielkości mieście „polskim" (Amerykanów polskiego pochodzenia szacuje się tam na 700.000) kultura polska nie była reprezentowana wśród innych kultur słowiańskich. Znalazła się również wśród niezliczonych stowarzyszeń, związków, kółek, konfraterni, bractw religijnych organizacja wcale nie najstarsza, nie największa i nie najbogatsza, skupiająca niezbyt wielkie ale dynamiczne grono pań z dawnej i nowej emigracji — legion Młodych Polek powołany do życia w r. 1939 — która postanowiła wystąpić z konkretną propozycją stworzenia studium polskiego w ramach otwierającego się studium slawistycznego. W ten sposób dzięki p. Władysławie Chałko, długoletniej działaczce Legionu, jego przewodniczącej w ostatniej kadencji (1964/65) i p. Z. A. Kruszewskiemu młodemu socjologowi, wychowankowi uniwersytetu chicagowskiego i jego pracownikowi w dziale planowania i rozbudowy, od r. 1961, od początku istnienia departamentu slawistycznego polonistyka znalazła w nim należne miejsce. W ten sposób również jakby zamknęła się linia wstępująca od owych ubogich emigrantów, którzy we wsi polsko-amerykańskiej Panna Maria troszczyli się o nauczanie swego języka na stopniu elementarnym poprzez Polski Związek Narodowy, który powołał do życia Alliance College w Cambridge Springs aż do polskich zabiegów, które spowodowały utworzenie katedry polskiej w University of Wisconsin.

Pierwszym kandydatem zaproszonym przez uniwersytet chicagowski był Kazimierz Wierzyński, drugim Tymon Terlecki, ale obaj z niezależnych od siebie względów nie mogli ówcześnie podjąć się tego zadania. Pionierski trud podjęła Maria Kuncewiczowa i przez przeszło trzy lata była tzw. *visiting professor* (w ostatnim roku akad. w podobnym charakterze podzielił z nią tę pracę Terlecki). Tego lata uniwersytet postanowił placówkę tymczasową zamienić na stałą i powołać stałego profesora. Zbiegło się to z rozszerzeniem departamentu i roztoczeniem opieki nad nim przez *Office of Education* (amerykańskie ministerstwo oświaty). W programie tego centrum pn. „Slavic and Balkan Studies" znajdują się języki, literatury i folklor Albanii, Bułgarii, Czechosłowacji (czeski i słowacki), Grecji, Jugosławii (serbo-chorwacki, słoweński, macedoński), Rumunii a nawet Turcji. W takim szerokim kontekście obecność Polski nabiera tym większego znaczenia. Nieobecność byłaby tym bardziej paradoksalna i tym bardziej przykra.

Przez cały czas, od zaczątków departamentu do jego obecnie otwartej ekspansji, inicjatywa polska była ciągle czynna. Legion Młodych Polek miał w swoim gronie stały komitet *(Polish Studies Committee)*, któremu przewodniczy obecnie p. Florence Kubacka. Wśród niezliczonych świadczeń na potrzeby kulturalne i charytatywne w Kraju i poza Krajem, na potrzeby rozproszonej po całym świecie emigracji polskiej i wielu organizacji amerykańskich wysunął on sprawę studium polonistycznego na pierw-

sze miejsce: do roku 1965 wyłożył na związane z nim cele ponad 20.000 dolarów. Niedawno powołał do życia ogólno-polonijny i ogólno-amerykański *Fund for Polish Studies at the University of Chicago* i pozyskał dla niego wpływowych protektorów. Są wśród nich niedawny minister poczty i obecny ambasador Stanów w Warszawie John A. Gronouski, senator ze Stanu Maine Edmund S. Muskie, arcybiskup Filadelfii John J. Król, kongresmeni Derwiński, Kluczyński, Puciński, Zabłocki, sędzia federalny Machrowicz i in., zasłużone działaczki społeczne p. Halina Rodzińska i p. Wanda Roehr (założycielka fundacji swego imienia), znani pisarze jak Wierzyński i Janta, redaktorzy jak Białasiewicz („Dziennik Chicagowski") i Piątkiewicz („Dziennik Związkowy"), kierownik polskiego programu telewizyjnego p. Robert Lewandowski (nb. jedynego na świecie poza Polską) oraz finansiści, przedsiębiorcy, fabrykanci, przedstawiciele wolnych zawodów (wśród nich dr Aleksander Rytel, wydawca-mecenas i redaktor cennego periodyku „Polish Medical History and Science"). Stronę czysto amerykańskich reprezentują były *Attorney General*, obecny senator, brat przedostatniego prezydenta, Robert Kennedy i gubernator stanu Illinois Otto Kerner oraz senator Paul Douglas i przedstawiciele University of Chicago. Przewodniczącym komitetu wykonawczego jest sędzia sądu apelacyjnego na stan Illinois Thomas Kluczyński, sekretarzem wspomniany poprzednio p. Kruszewski, będący jednocześnie sekretarzem oddziału „Midwest" Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce. Osiągnięcie półmetka, jakim jest stabilizacja katedry literatury polskiej zapewne pobudzi działalność tego funduszu.

Zdobycze kilku ostatnich lat można uważać za „półmetek" a nie metę ostateczną z tego powodu, że poza tą katedrą rysuje się jako dezyderat katedra historii Polski i jej kultury, katedra etnografii, może katedra specjalizująca się w zagadnieniach społeczno-gospodarczych itd., coś co by odpowiadało treścią amerykańskiemu *area studies*, wielostronne studium określonego obszaru geograficznego i kulturalnego. Jest to oczywiście w tej chwili marzenie, muzyka przyszłości, ale bodaj możliwa do urzeczywistnienia. Tym łatwiej, że historia języka polskiego jest już reprezentowana przez dwóch znakomitych przedstawicieli: wychowanka Harvardu, prof. Edwarda Stankiewicza i wychowanka uniwersytetu krakowskiego, prof. Zbigniewa Gołąba (obaj są też znawcami języków południowo-słowiańskich, Stankiewicz serbo-chorwackiego i słowiańskiego, Gołąb macedońskiego). Do „polskiej" obsady chicagowskiego departamentu slawistycznego należy również częściowo zaliczyć Amerykanina polskiego pochodzenia, komparatystę ze szkoły harwardzkiej, prof. Edwarda Wasiołka.

Wszystko razem osiągnięcia i perspektywy, aktualny stan posiadania i plan maksymalny — nabiera pełnej wagi, gdy się to zobaczy w szerszym tle, wpisze w historię uniwersytetu chicagowskiego. Powstał on od razu jako pełna uczelnia akademicka z fundacji Rockefellera w r. 1892 i do dziś jest instytucją prywatną, całkowicie niezależną, przenikniętą duchem szlachetnego liberalizmu. Stanowi najwybitniejszy ośrodek naukowy na zachód od Gór Apalachijskich, na „środkowym Zachodzie" *(Midwest)*. Nie jest taśmową fabryką speców, ale ma charakter badawczy: na 6.700 studentów przypada w nim 930 profesorów. Byli wśród nich John Dewey, jeden z twórców filozofii amerykańskiej, Alexis Carrel autor słynnej książki „Człowiek, istota nieznana", genialny fizyk Enrico Fermi, T. G. Masaryk, ekonomista Friedrich Hayek. W tej chwili jego „prezydentem" jest lauerat Nobla za prace z dziedziny genetyki George W. Beadle, (jeden 23 laureatów Nobla związanych z tą wielką uczelnią) do jej pierwszych świateł liczą się: teolog Paul Tillich, wybitny przedstawiciel *political science* Hans Morgenthau, historyk murzyński John Hope Franklin. W zespole profesorskim są co najmniej trzej wybitni Polacy: matematyk o światowej renomie Antoni Zygmund, filozof ze szkoły lwowskiej Henryk Mehlberg, oraz orientalista assyriolog Ignacy Gelb. University of Chicago szczyci się swoją szkołą ekonomiczną, bardzo wysoko postawioną medycyną, pierwszorzędnym studium prawniczym, Instytutem Badań Nuklearnych im. Enrico Fermiego (z własnym budżetem rocznym 97 milionów dolarów), laboratorium badań astronautycznych i td.

Stabilizacja katedry literatury polskiej na takim uniwersytecie jest na pewno sukcesem i powodem do radości. Jest także przykładem do naśladowania.

Listy T. Lenartowicza do oo. Zmartwychwstańców

Lenartowicz, jak wszyscy niemal współcześni mu emigranci polityczni, nie należał, jeśli idzie o warunki materialne, do wyjątków, przeciwnie był ich okazowym przykładem, gdyż borykał się z niedostatkami przez cały okres pobytu na emigracji. Los nie oszczędzał go, bo kiedy szukając osłody w życiu domowym, założył ognisko rodzinne żeniąc się z Zofią Szymanowską, w 1861 r., we Ftorencji, wkrótce stracił jedyne dziecko, które przeżyło zaledwie jeden rok. W sześć lat po śmierci dziecka zmarła i żona, lecz w Miłosławiu, w Poznańskim.

Tragizm życia rodzinnego zaciążył odtąd nad poetą, ale go nie załamał, gdyż siłę pozwalającą mu na przetrwanie dawała mu nigdy niezachwiana wiara w Boga. Nie był przy tym wcale

samotnikiem, za jakiego niektórzy go uważają, przeciwnie lubił towarzystwo, a w stosunkach z ludźmi cechowała go szczerość, serdeczność i otwartość. Gdy raz nabrał do kogoś zaufania, zachowywał je przeważnie przez całe życie.

Świadczą o tym jego znajomości z Włochami[1] pełnymi szacunku dla artysty-poety Polaka oraz długoletnia przyjaźń z niektórymi imigrantami polskimi, często kolegami po piórze, na co zwrócili uwagę niektórzy badacze[2].

Trwałym jego oparciem przez cały okres pobytu we Włoszech, więc na przestrzeni trzydziestu kilku lat, było Zgromadzenie Ojców Zmartychwstańców, nieoficjalna ambasada polska przy Stolicy Apostolskiej. Ojcowie Zmartwychwstańcy zajmują oddzielną, może najważniejszą kartę w jego stosunkach z ludźmi. Przed nimi przede wszystkim, zwłaszcza w ostatnich dziesiątkach lat swego życia, zwierzał się ze swoich trosk, zamierzeń, poczynań, z pracy dokonanej i mającej się dokonać, z myśli o kraju i przyjacielach. Uciekał się do nich w sprawach zdrowotnych, informacyjnych i wielu wielu innych. „Mój serdeczny — zwierzał się O. Kajsiewiczowi — ja ci to mówię nie przeto, iżbym objaśniał, ale iżbym westchnął razem z tobą i utwierdził się w przekonaniu, że wszystko, co dobre, to z ręki Ojca niebieskiego i że wszystko, co ludzkie, liche i mało warte"...

Zachowane w rzymskim domu Zmartwychwstańców listy poety rzucają snop światła na jego działalność rzeźbiarską, na jego religijność, a w pierwszym rzędzie ukazują Lenartowicza jako człowieka.

W listach jawi się poeta jako człowiek wielkiej skromności, bez krzty zarozumiałości, usuwający się w cień nawet w sprawach, w których miał coś do powiedzenia, np. wsprawie literatury polskiej, której wykłady, w formie odczytów, prowadził przez dwa lata w Akademii im. Adama Mickiewicza w Bolonii, przy tamtejszym uniwersytecie. A propos publikacji O. Semeneńki o św. Cyrylu i Metodym[3], poeta z pokorą wyznaje: „Na uroczystość rzymską napisałem i ja coś tam o tych świętych[4], z którego to pisemka Przewielebny Ojciec Dobrodziej, jeśli nie o talencie poetyckim to wierności mojej Kościołowi świętemu naszemu przekonać się raczy". Odnośnie zaś jego działalności jako rzeźbiarza przybywają tu nowe elementy do wymienionych już przez Matuszewskiego w jego krótkiej a przepełnionej faktami rozprawce o Lenartowiczu[5].

Listy są adresowane do ojców: Piotra Semeńki[6], Karola Kaczanowskiego[7], Juliana Felińskiego[8], Hieronima Kajsiewicza[9], Waleriana Przewłockiego[10] i jeszcze innych, których trudno ustalić ponieważ autor ich nie wymienia ani nazwiska ani imienia. Wszystkich listów zachowało się 25, z nich najwięcej, bo 8, adresowanych jest do P. Semeneńki, 3 do J. Felińskiego, 2 do K. Kaczanowskiego, 1 do H. Kajsiewicza, 4 do W. Przewłockiego a w 7-miu wypadkach trudno jest ustalić adresata. Z pewnością jednak, jeśli nie wszystkie to przynajmniej niektóre z nich są skierowane do jednej lub więcej z pięciu wymienionych osób,

bo z każdym z nich łączyła go mniejsza lub większa zażyłość. Najmocniejsza więź przyjaźni łączyła go z Piotrem Semeneńką, który wśród członków zamieszkałych w Rzymie był, bez wątpienia, postacią najwybitniejszą, ponadto po śmierci H. Kajsiewicza kierował Zgromadzeniem przez długie lata, bo od 1873 do 1886 r., tj. do swojego zgonu, nie licząc poprzedniego przełożeństwa.

Przy czytaniu listów nasuwa się pewne spostrzeżenie. Autor rzadko kiedy zamieszcza datę a jeszcze rzadziej swój adres. W. Danek i J. Nowakowski, autorzy studium *Kraszewski i Lenartowicz — dzieje przyjaźni*, podają w przypisach, że Lenartowicz, osiadłwszy we Florencji, zmieniał tak często mieszkanie, że z listów można wypisać aż 20 kolejnych adresów w samej tylko Florencji[11]".

W korespondencji autora do Zmartwychwstańców podane są, na przestrzeni 33 lat, tj. w czasie pobytu we Florencji, tylko cztery adresy zamieszkania: Piazza S. Maria Novella 20 z 16 maja 1874 r.; Piazza S. Maria Novella 22-2 p. z 9 lutego 1876 r.; via Montebello 26 z 7 kwietnia 1877 r. oraz via Montebello 24 z 27 marca 1884 r. Ten ostatni adres powtarza się jeszcze raz, lecz bez daty. Jest więc rzeczą mało prawdopodobną, by w okresie poprzedzającym rok 1874 zmieniał mieszkanie corocznie albo i częściej.

Korespondencję podaję w obowiązującej dzisiaj pisowni z zachowaniem, w miarę możności, tak często u niego powtarzanych pauz i średników. Trudność w odczytywaniu stanowiły często przyimki łączone zazwyczaj z rzeczownikami.

I jeszcze jedno. Układ najwłaściwiej byłoby przyjć chronologiczny. Ponieważ jednak, jak wspomniałem, nie wszystkie listy, a raczej tylko niektóre, zaopatrzone są datą, zaś z treści listu nie zawsze można wywnioskować czas ich napisania, wybrałem więc podział na adresatów.

W końcu składam serdeczne podziękowanie Przełożonym Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego za łaskawe i życzliwe udostępnienie mi korzystania z ich archiwum.

Stanisław PIEKUT

LISTY DO O. PIOTRA SEMENEŃKI

1

Rzym, 1858[12]

Całując rączki Ojca Dobr[odzieja] proszę, aby raczył pożyczyć mi z biblioteki Ojców pierwszego tomu Słownika Lindego najdłużej jeśli na kilka dni, a po zrobieniu użytku natychmiast z podziękowaniem zwrócę.

Łączę wyrazy najgłębszej czci i przywiązania z jakim pozostaję
sługa i brat w Zbawicielu

T. Lenartowicz

Monsieur l'Abbé Semeneńko à Rome[13]

2

Styczeń 1860, Rzym[14]

Najłaskawszy Ojcze Piotrze i Dobr [odzieju],

Józef Zaleski[15] pisze z Fontainebleau, że ksiądz Aleksander przez pana Szlubowskiego[17] wyprawił do Ojca pakę książek, między którymi znajduje się broszura Deotymy dla mnie. Posyłam więc po takową pewny, że już p. Szlubowski książki ojcom oddał a proszę, jeśli co ciekawego między nowościami przyszło, aby najłaskawszy Ojciec Dobr [odziej] podzielić się raczył takowymi ze swoim sługą i bratem w Zbawicielu.

T. Lenartowicz

W Paryżu umarł poseł Zwierkowski[18] bardzo przykładnie i najlżejszą śmiercią. Na jutrzejszą pocztę do Paryża posyłam list z prośbą, żeby Kochany Ojciec polecił takowy odwieźć.

Monsieur l'Abbé
Pierre Semeneńko docteur en théologie
Eglise St. Claude

3

Kochany Serdeczny Ojcze Piotrze,

Nie mogąc wyjść do Was, proszę raczcie odwiedzić chorego, któremu zakazano wychodzić z domu. Potrzebuję waszej równie kapłańskiej jak doktorskiej pomocy. Nie odmawiajcie, Kochany Ojcze, tej przysługi waszemu wielbicielowi.

T. Lenartowicz

Monsieur l'Abbé
P. Semeneńko
Chiesa di S. Claudio
vicolo del Mortaro

4

Kochany Mój Serdeczny Ojcze Piotrze,

Przed chwilą rozszedłem się z jenerałem[19], który mówił mi, że księżna Sapieha życzy sobie mieć jednego z Was nauczycielem swoich córek historii, języka polskiego ect. i tylko przez wzgląd na przyjazne między nami stosunki wstrzymuje się od uczynienia Wam wyraźnej propozycji. Owóż pośpieszam prosić Cię, Kochany Ojcze, abyś się raczył podjąć tej rzeczy tym bardziej, że, ile mnie znacie, musieliście dotychczas poznać, że nigdy osobistego dobra nie miałem na widoku ile razy szło o korzyść drugich, który w tym razie niewątpliwie córki księżnej znaleźć mogą.

Przyjmij, Kochany Mój Serdeczny Ojcze, wyrazy przyjaźni i szacunku z jakim mam zaszczyt pozostawać.

Teofil Lenartowicz

Monsieur l'Abbé
Semeneńko
Chiesa S. Claudio

5

Poniedziałek

Kochany Szanowny Ojcze Dobr [odzieju],

W niedzielę prosiłem był pana Jana[20], ażeby raczył pomówić z którym z kochanych ojców względem wyspowiadania mnie w tych dniach ile że pragnę korzystać z przywilejów jubileuszu w Czasie, którego, jak słyszałem, proboszcz miejscowy obnosi chorym, nie mogącym wyjść z domu, przenajświętszy Sakrament i pan Jan podobno mówił już w tej sprawie z ojcem Hieronimem. Owóż radbym wiedział którego dnia spodziewać się mogę pożądanej ze wszech względów wizyty.

To najważniejsza a teraz zapytanie do Kochanego Ojca jako medyka i homeopaty w kwestii następującej:

Od czasu, jak mi choroba z gardła rozszerzyła się po bronchitach, doświadczam drapania w piersiach wyżej dołka, jak z jednej tak z drugiej strony dają się czuć czasem małe bole i wtedy zwykle wychodzi ślina zmieszana z kwią [piankowa]. Jest li ta awantura straszliwą? Niech mi Ojciec serdeczny raczy udzielić wiadomości. Z gardłem mam się lepiej. Całuję rączki Drogiego Ojca.

przywiązany Teofil

Mój doktor jest, jak widać, jeden z twardych jak sęk homeopatów, kiedy mi na taki cudowny czas wyjść nie pozwala.

Monsieur l'Abbé Semeneńko
docteur en Theologie
Roma
Chiesa S. Claudio

6

Zasyłając Szanownemu Ojcu Dobr [odziejowi] dzień dobry proszę o pożyczenie numeru przedostatniego i, jeśli być może, ostatniego Przeglądu, gdzie się znajduje [wyraz nieczytelny] i o Zendaweście[21].

Potrzeba mi tego jest bardzo przy tym polecam się dobremu sercu Ojca Dobr [odzieja].

Sługa Teofil

Monsieur l'Abbé Semeneńko
docteur en théologie
Chiesa S. Claudio

7

Zasyłając Serdecznemu Ojcu Dobr [odziejowi] dzień dobry oraz obrazek ze zbioru obrazków świętych Wilczyńskiego[22] i dzieje panowania Augusta II Sasa proszę, aby był łaskawy i raczył mi pożyczyć Eneidy Wergiliusza przekładaną Kochanowskiego[23] oraz jakiejś niebądź historii rzymskiej, w

której bym znaleźć mógł potrzebne mi szczegóły do życia Cezara Augusta.

Całuję rączki Kochanego Ojca i modlitwom się Jego polecam.

sługa T. Lenartowicz

Monsieur l'Abbé
P. Semeneńko
S. Claudio

8

Przewielebny Ojcze Dobrodzieju,

Profesor Santagata[24] przysłał mi w dniu wczorajszym znakomitą publikację Przewielebnego Ojca Dobr [odzieja] o świętych Metodym i Cyrylu, którą odczytałem z pożytkiem dla umysłu i serca i za którą oraz i za pamięć o najlichszym z wyrobników literackich pośpieszam złożyć najszczersze podziękowanie.

Na uroczystość rzymską napisałem i ja niegodny coś tam o tych świętych, z którego to pisemka Przewielebny Ojciec Dobr [odziej], jeśli nie o talencie poetyckim to o wierności mojej Kościołowi świętemu naszemu przekonać raczy.

Antoni Malczewski powiedział, że i „silna głowa posępnie czasem się rzuci", a cóż dopiero słaba, pobłażania więc upraszam, jeśli gdzie jakieś się tam słówko nie jak potrzeba wypowiedziało, homines sumus, tyle przynajmniej, że pokory nie brakuje i że, nabroiwszy, poddaję się pod dyscyplinę ojcowską, a warto by wygarbować skórę, bo grzesznik stary i terminów ostatecznych bliski. Czytałem kiedyś Rettela[25] naszego pismo o s.s. Metodym i Cyrylu, dużo gadania i drobiazgowych faktów, ale gdzież jemu do tej jasności poglądów i symetrii w układzie rzeczy jaka się u Przewielebnego Ojca znajduje. W każdym razie i jego książeczka nie jest bez zasługi.

To, co napisał [wyraz nieczytelny], niedostateczne także, ale Przewielebny Ojciec świetniejsze materiały znalazł w Bollandystach[26], a może i w Bibliotece Watykańskiej, które to źródła są mi nie znane.

A teraz, dziękując najuprzejmiej raz jeszcze za wysokiej ceny podarunek i łaskawą pamięć, polecam się dobroci Przewielebnego Ojca i modlitwom.

najniższy sługa T. Lenartowicz

Doszła mnie wiadomość o śmierci śp. Kieniewicza[27]. Upraszam tedy Przewielebnego Ojca, aby rodzinie zmarłego moje słowa współczucia oświadczyć raczył.

Florencja 27/3, 84.
via Montebello 24

Broszurkę moją wyprawiam pod opaską jednocześnie.

LISTY DO O. KAROLA KACZANOWSKIEGO

9

28. 8 60, Florencja

N. b. p. J. Ch.[28]

Najłaskawszy Ojcze Karolu Dobr [odzieju],

Modlitwa Wasza, Serdeczny Ojcze, znać u Pana znalazła posłuch, gdy, jakoś około 21 właśnie, najcięższe bóle ustąpiły i, jako pierwszy raz w

czasie konwulsji, kiedy się przed Wami wyspowiadałem, choroba jak ręką odjął ustąpiła, tak i tą razą doświadczyłem ulgi za co Bogu Wszechmocnemu dzięki składam. Dwumiesięcznym cierpieniem osłabiony ruszać się wprawdzie nie mogę, ale przynajmniej tyle dobrze, że od kilku dni tych gwałtownych ataków nie miewam, które dokuczliwsze są od wszystkich bólów jakie ród ludzki prześladują.

List Wasz, Najłaskawszy Ojcze, pisany do panny Zofii[29], doszedł ją wczora dopiero snać z powodu przerwanych komunikacyj między Rzymem a Toskanią[30], przyniosła mi go czym prędzej z wielką radością ciesząc się, że tak mi życzliwym jesteście. Zacna to dusza i pełna poświęcenia dla drugich a co nade wszystko, że czysta i że jeszcze zła myśl w jej głowie nie postanie. Prawdziwie szlachetna natura. Po całych nocach przesiedziała ona, razem z kobietą szpitalną, przy moim łóżku jak prawdziwa siostra miłosierdzia i razem ze mną odmawiała modlitwy z głęboką wiarą i ufnością w Boga.

W takich to razach i tylko w takich poznać można charakter człowieka.

W chorobie mojej zrobiłem ślub odbycia pielgrzymki do grobu Zbawiciela i, jeśli Bóg Najwyższy zdrowia udzieli, w przyszłym roku, na wiosnę, puszczam się, może razem z naszym miłym bratem w Bogu i patriarchą Józefem Zaleskim, u którego pieniądze na tę podróż posiadam. Zajęty tą myślą już sobie układam, że, jak czas przyjdzie, napiszę do Was, Najukochańszy Ojcze Przyjacielu, o listy do klasztorów i do ludzi na Wschodzie, których tam może znacie.

Od zdrowia także zależy doprowadzenie wiadomego Ojcu zamiaru do skutku, bo jużciż, jeśli z kim żyć, to z doświadczonym przyjacielem.

Tego roku przez miesiąc i więcej byłem na odosobnieniu w kartuzyjskim klasztorze za Pizą, gdzie znalazłem prawdziwie święte dusze poczynając od przeora, dziwnej pobożności starca, aż do najmłodszego braciszka i pokochali mnie tam jak brata. Ojciec prokurator i ojciec przeor prawie co wieczór rozmawiali ze mną w duchu zgody świętej, a kiedym odjeżdżał pierwszy odprowadził mnie do Luki i tam arcybiskupowi przedstawił, od którego i kapłańskie błogosławieństwo otrzymałem.

Mój Najukochańszy Ojcze Karolu. Człowiek czasem rzuca się, czasem plusnie głupim słowem, ale rychło potem żałuje, bo mu coś w sercu gada: ej! dałbyś ty sobie spokój ze swoim rozumem, co ty wiesz, ot kochaj, módl się, a resztę zdaj na Boga.

Z powodu zbyt ciężkiego osłabienia tego roku wątpię już, żebym do Rzymu powrócił. Ciężko mi tu, bo jużem się do Rzymu jak do ojczyzny przywiązał, ale cóż robić? Doktorzy nie obiecują mi poprawy jak za parę miesięcy. Trzeba więc zostać w Pizie na zimę, gdzie przynajmniej że niedaleko będę miał życzliwych mi kilku wiernych i czystych przed Bogiem kapłanów, z którymi, od czasu do czasu, będę się mógł widywać i których, gdybyście kiedyś przejeżdżali przez Pizę, radziłbym poznać jako prawdziwe wzory ubóstwa, pobożności, pracy, miłości i pokory.

A teraz, Kochany Ojcze, coś Wam więcej napiszę. Że Pan Bóg karę dopuszcza na cały świat za kłamstwa, to widzicie własnymi oczami. Oszukują jedni drugich, ale Boga nie oszukują.

Ciężko mi tu patrzeć na triumfy nad papieżem. Ile razy wywieszają chorągwie z powodu zwycięstw czuję, że mi się serce ściska i łzy gwałtem cisną się do gardła, chociaż z drugiej strony wyznaję przed wami, jako ojcem i przyjacielem, że z powodu obstawania kardynała ministra za prawami książąt tego świata, za własnością nieuczciwie nabytą, a tym samym skazywaniem narodów na wieczną niewolę, ołowiem ciąży mi na duszy. Jako Polak i jako chrześcijanin przekonać się nie mogę i boleję nad tym jak nad nieszczęściem.

Patrząc na to co się dzieje, nieraz przychodzi ta myśl do głowy coby to było, gdyby Boga nie było. O! Panie Sprawiedliwy i Miłosierny, oczyść nas, a będziem wolni i szczęśliwi.

Kochany Mój Serdeczny Ojcze. Pozdrów, proszę, najczulej generała i przeproś go jak się gniewa na mnie, chociaż Bóg świadkiem, że nie miałem nigdy zamiaru obrazić go czymkolwiek. Z milczenia jego wnoszę, że się na mnie gniewa i dlatego przepraszam go, nie chcąc nosić na duszy mojej gniewu ojca patriarchy, który mógłby ściągnąć na mnie niebłogosławieństwo Boże.

Pozdrówcie, najkochańszy Ojcze, zawsze łaskawego na mnie ojca Piotra i ojca Hieronima, uściskajcie Mosia[31], pozdrówcie także Malińskiego[32] i wszystkich mnie życzliwych.

Wasz przywiązany w Bogu brat i sługa.

Teofil Lenartowicz

10

Florencja, 13 lipca 1862 r.

Ze smutkiem, Kochany Ojcze Karolu, donoszę Wam, że pomimo najściślejszych poszukiwań w kartuzji pizeńskiej i w Pizie, gdzie się Ojciec zatrzymał z ojcem prokuratorem, modlitewnika jego znaleźć nie mogliśmy. Zaraz po odjeździe Ojca, jak tylko odebrałem jego list pisany z drogi, pojechałem sam do Pizy, żeby się wynalezieniem owej książki zająć, ale wszystko się na nic nie przydało, musiał ją kochany Ojciec albo, w dorożce jadąc, zostawić albo gdzie indziej zawieruszyć, bo przecie w kartuzji nie zginęłaby pomiędzy tymi prawdziwie świętymi ludźmi.

Wyobrażam sobie jak musi być Ojcu przykrą strata takiego przyjaciela, do którego przyzwyczaiły się oczy przez lat kilka nosić, ale cóż począć. Gdyby ofiara modlitewnika z mojej strony mogła ów dawny zastąpić, to ja bym Kochanemu Ojcu swój mszalik rzymski, jaki posiadam, odstąpił, ale tu idzie właśnie o brewiarz ów stary, wyszarzony, a którego ja żadną miarą wynaleźć nie mogę.

Z powrotem z Vichy, gdzie mnie gwałtem doktorzy wysyłają, bo znów zapadam ciężko na kamień, zatrzymam się w Pizie i będę przepytywał się wszystkich dorożkarzy czy który nie znalazł tej książki. Obejdę wszystkie stragany starych książek, to może mi się w końcu i uda wynaleźć, ale nie pierwej zrobić to mogę jak po powrocie to jest jak będę miał dość siły do chodzenia po mieście, której mi dziś brakuje. Na p. Oskara Sosnowskiego[33] stary jego ojciec gadał, że jest kamieniarzem. Otóż nieprawda, bo to ja jestem kamieniarzem jako kamień robiący. Licho nadało z tą biedą.

Z powodu podróży do Bułgarii życzę Ojcu szczęśliwej drogi i proszę Boga, ażeby Was zasłonił opieką swoją najświętszą od burzy na morzu i od złych ludzi na ziemi, od choroby i od wszelkich przeciwności.

Bardzo mi przykro, żem nie poznał ks. Orłowskiego, ale widać, że inną sobie drogę obrał do powrotu do kraju.

A teraz kończę składając najuprzejemniejsze dzięki Kochanemu Ojcu za Jego życzliwość, o której najprzekonańsi jesteśmy. Gdyby Kochany Ojciec przejeżdżał kiedy przez Florencję, prosimy nie zapominać o nas, a na przyjęcie choćby ostatni grosz wysupłać, bo kuraka [sic] zarżniemy i wina fiaskę [fiasca] też postawim na uczczenie tak miłego i kochanego a zawsze pożądanego gościa.

Całuję ręce Kochanego Ojca upraszając, jeśli do pamięci Jego powrócimy, o westchnienie przed Bogiem
prawdziwy sługa i przyjaciel

T. Lenartowicz

Zofia prosi, aby się od niej osobno najuprzejmiej Ojcu pokłonić i za dobre słowo podziękować.

Monsieur l'Abbé Charles Kaczanowski
à Rome
vicolo del Mortaro nr 58

LISTY DO O. JULIANA FELIŃSKIEGO

11

Florencja, niedziela

Drogi Najzacniejszy Księże Julianie Dobr [odzieju],

Oddawca tego listu jest pan hr Mniszech[34], którego polecam twojemu drogiemu sercu i proszę, abyś mu był użytecznym a mianowicie w wyjednaniu audiencji u Ojca Świętego oraz objaśnił o Rzymie i jak tam trzeba chodzić, żeby go poznać dokładnie a za fatygę twoją towarzystwem najprzyjemniejszym, chrześcijańskim i polskim będziesz wynagrodzony.

Jeślibyś ciekawy był wiedzieć co się ze mną dzieje, pan Mniszech odpowie na każde o mnie pytanie wiedząc jak jestem i jak tu żyję.

Smutki ze wszystkich stron, Najdroższy Bracie. Groby po grobach się otwierają a nowego życia na powierzchni nie widać. Czasy ciężkiej grudy, po której przyjdzie wiosna, ale nas już nie będzie. Ściskam Cię najserdeczniej i modlitwom się polecam twój na zawsze

Teofil

Czcigodnemu Księdzu
Julianowi Felińskiemu
w Rzymie
Chiesa S. Claudio

12

Flor [encja] 16/5, 74
Piazza S. Maria Novella, 20

Najukochańszy w Zbawicielu Księże Julianie,

Zasyłam Ci najserdeczniejsze wyrazy przyjaźni i cześci [czci] jaką mam dla Ciebie a razem polecam oddawcę listu W. P. Czerwichowskiego[35], profesora naszej krakowskiej Jagiellońskiej Akademii, abyś raczył być mu pomocnym a mianowicie w objaśnieniu, jako nieświadomemu miejsca, jak ma się po Rzymie obracać. Zrobisz też łaskę, jeśli będziesz mógł odprawić Mszę świętą u grobu św. Piotra, o którą Cię upraszam dla wierzącego, prawego katolika i w myśli, że i ja tam chęcią przynajmniej będę u progu ołtarza.

Pani Zaleska odebrała Twój list i na takowy będziesz miał, Drogi Księże Julianie, odpowiedź.

Udziel także wiadomości czcigodnemu oddawcy, gdzie miaszka Siemieński[36]. Mnie się zdaje, że alla Minerva, alem niepewny, toż i o mieszkaniu X. Pawlickiego[37], do którego parę stron piszę.

Twój najprzywiązańszy brat w Zbawicielu Panu naszym

Teofil Lenartowicz

13

Czcigodny Ojcze Julianie Dobr[odzieju],

Polecam serdecznie dobroci Czcigodnego Ojca oddawcę tej kartki, czcigodnego pana Józefa Strzełeckiego[38], profesora naszego niegdyś War. Uniwersytetu, udającego się do Rzymu dla uczczenia grobu s. Apostoła, Raczcie mu być pomocni informując jak się ma tam obracać a niechby też poznał, jeśli można, jego eminencję kardynała Ledóchowskiego przy czym polecam się dobroci i modlitwom Drogiego Ojca.

Wasz sługa i brat w Zbawicielu

Teofil Lenartowicz

8/4. 78

14

List do O. Hieronima Kajsiewicza

Byłem u Kochanego Ojca Hieronima już po raz drugi i zawsze tak niefortunnie że go nigdy zastać w domu nie mogę, pocieszam się wszakże nadzieją, że jutro koło południa zobaczę Ojca i pogadam z nim o rzeczach najbliżej obchodzących nasze serca. Między myślą a urzeczywistnieniem jej w świecie jakiż to przedział ogromny, jak trudno przekonać ludzi o tym np. że słońe świeci ile razy na dzień człowiek wątpi i spodziewa się. Żeby to znać, trzeba być na wygnaniu i z narodu, który kołowacieje, skręca się w istocie swojej i którego kurczenie się już go nawet nie boli podobnie jak uczłowieka garbatego od urodzenia, którego powiększający się z wiekiem garb zdaje mu się rzeczą zupełnie naturalną i wcale nie szpetną. Gdzie oni idą ci nasi współziomkowie? Indywidualnie tworzą sobie zamki z dymu fantazji i pychy i w te niby świetne progi zapędzają się, ogół tym czasem, przechylając się ze strony na stronę, stoi na miejscu. O dośrodkowaniu się miłościwym o ukształtowaniu jakiejś mocy godzisz i godzisz i w każde słowo rzucasz całe serce i mimo to jakże tępo idzie.

Mój serdeczny. Ja Ci mówię nie przeto, iżbym objaśniał, ale iżbym westchnął razem z tobą i utwierdził się w przekonaniu, że wszystko co dobre to z ręki Ojca Niebieskiego i że wszystko, co ludzkie, liche i małowarte, żebym razem z tobą mógł zaboleć nad marnotrawstwem darów i nad połamanym własnymi rękami mostem do wyjścia z najtrudniejszego położenie. Gdyby mnie jutro coś zaszło nieprzewidzianego, tedy żegnam Was, Kochany Ojcze, a proszę wspomnijcie imię moje w waszych modlitwach.

Brat w Zbawicielu i sługa

T. Lenartowicz

Monsieur l'Abbé Kajsiewicz

LISTY DO WALERIANA PRZEWŁOCKIEGO

15

Florencja 9/2. 76.
Piazza S. Maria Novella nr 22/2 p.

Kochany Najzacniejszy Przyjacielu i Ojcze Duchowny,

Dzięki najserdeczniejsze za gromnicę i pamięć dawnej naszej paryskiej znajomości. Nie myślałem, żebyś mnie sobie, Kochany Ojcze, przypomniał tyle to czasu ubiegło od owych chwil, któreśmy razem spędzili w towarzystwie Jasia Gajewskiego[39], Żórawskiego[40], Kaplińskiego[41], i tylu innych, których już nie ma. Oleś Fredro był tego roku we Włoszech, ale nie miałem sposobności widzieć go nieobecny we Florencji, Panusiewicz gospodaruje gdzieś w kraju, z Zaborskim[42], Kabatem i innymi nie wiem co się dzieje, a tak z licznej niegdyś gromadki dziś nie wielu byśmy naliczyli.

Wiele razy imię Twoje, zacny przyjacielu, obijało się o moje uszy, ale nie byłem pewny czy to ten sam porucznik Przewłocki i nikt mi powiedzieć nie umiał. Nie odzywałem się więc i nie przypominałem z tego jedynie powodu inaczej byłbym już od dawna przerwał peremptio przyjaźni.

Droga duchowa jaką sobie obrałeś najpewniejsza, ja miałem zachcianki, ale to choroba to to, to owo, zawsze coś przeszkadzało, a najwięcej pociąg do świata i głupia ambicyjka, że się coś zrobi, a tymczasem i życie przeszło i nic się nie dokonało, ot vanitas vanitatis.

Tego roku po 27 latach zobaczyłem kraj nasz kochany, dużo tam jest dobrego więcej jak w chwili, w której go opuszczałem, ale i dużo kwasów i zniechęcenia i desperackich wybryków i ospałości, ale dziwić że się temu kiedy cały świat bije na nas jak na sowę. Dusze wielkie, szczgólną łaską Bożą obdarzone, rzadko się pojawiają a mediocritas taką była zawsze i będzie.

Przyjmij, Czcigodny Przyjacielu, raz jeszcze najczulsze podziękowanie za dobroć Twoją i, jeśli łaska, ponieś słowa moje najserdeczniejsze Czcigodnemu Ojcu Piotrowi, Pawlickiemu i Felińskiemu.

Niech Bóg Najwyższy daje Wam wszystko dobre — pokój i miłość i łaskę nauczania.

Wasz najprzywiązańszy sługa

T. Lenartowicz

W Krakowie widziałam księdza pana Kalinkę[43]. Pyszny to autor, miły Boże, czylisz to już klątwa leży na talentach, że muszą być pyszne. Ilu znałem, wszyscy tacy byli,jeśli tak — to lepiej nam nic nie umieć po świecku. Błogosławieni ubodzy duchem.

16

Sobota — Flor[encja]
via Mentebello 24

N. b. p. J. Ch.
Najukochańszy i Najczcigodniejszy Ojcze i Dobrodzieju,

Radbym całym sercem, ale żadną miarą nie mogę z powodu zdrowia, na które ciężko zapadam, a można powiedzieć, że jakby ostatkami gonię

oraz prac porozpoczynanych, które muszę wykończyć gwoli otrzymania kilku groszy za takowe.

Płuca moje najnędzniejsze domagają się też świeżego powietrza jako jedynego lekarstwa a latem trudno, jeśli wszakże w Rzymie nie mogę, to we Florencji czy na wsi wszędzie muszę, inaczej a cóżbym ja począł na świecie? Praca to jedyna rozkosz — wiesz o tym z doświadczenia, Najczcigodniejszy Ojcze Dobrodzieju, a więc będę się starał powoli wyrobić dla was ową wypukłorzeźbę tylko trzeba się raz zgodzić na rysunek, powiedzieć jak sobie życzycie, a stary zrobi ku waszemu zadowoleniu.

Do Krakowa rad był ruszył w maju, przy końcu, żeby i ziemię ojczystą po raz ostatni zobaczyć i coś tam wydrukować jako to, jeśli wiesz, Ojcze Dobr [odzieju] i po trochu poetą także jestem, tak przynajmniej ludzie powiadają.

Obecnie siedzę nad figurką Danta[44], którą cyzeluję w wosku do odlewu w brązie — na wystawę londyńską, trzeba sztukować jak można, kosztuje to, ale może się opłaci.

Przysyłajcież, Najukochańszy Ojcze, swoje uwagi co do pomysłu, a zbliżenie się osobiste odłożymy ad feliciora tempora.

Wasz w Panu Jezusie Zbawicielu naszym brat i sługa... stary dziad wędrowny

Teofil

17

N. b. p. J. Ch.

Najłaskawszy Ojcze i Dobr [odzieju],

Posyłam szkicyk wypukłorzeźbę, gdybym mógł, natychmiast bym ruszył do Rzymu, ale bo kilka nędz przy ziemi trzyma, kamień nerkowy, pęcherz, katar płucowy silny vulgo bronchita ergo trudno, ale to się uspokoi i zrobię wypukłorzeźbę w glinie na trzy części podzielonej, bo całej tak wielkiej wypalić nie można.

Do roboty zabiorę się jak się ociepli, obecnie śniegi tu leżą na dachu, a dziś wicher mi oknisko stare prawie iż wytrącił.

Co będzie kosztować, doniosę; glina do 15 franków co najmniej, studium — 30, modele — kilka franków, wypalenie do 25-30, zapakowanie i ekspedycja do 12 fr., a robotę to już Panu Jezusowi ofiaruję za moje przestępstwa i niegodziwości — darmo.

Napiszcie, Ojsze Najukochańszy, czy wam się kompozycja podoba, a jeśli nie jak sobie życzycie, żeby było.

Wasz stary z rue Tiphaine 25-Faubourg-Grenelles-Paris przyjaciel i brat w Panu Jezusie.

Teofil

Co się stało z Panusiewiczem? Przepadł i ani słowa o nim z Kabatem i tylu naszymi z 48.

Ostoja Chodylski[45] pozdrawia Ojca Dobrodzieja.

18

Najczcigodniejszy Ojcze Walery Dobr[odzieju],

Szalona bronchita i razem larings czyli zaognienie krtani męczące mnie od kilku miesięcy nie dozwalają mi przed uspokojeniem tej biedy pracować w glinie i to jest powodem, że, jakbym najgoręcej pragnął, płaskorzeźbę w tej chwili zająć się nie mogę. Wielkiej pilności wszakże nie ma. Zrobię z prawdziwą, najlepszą chęcią, możecie być najspokojniejsi, tylko że proszę o uwzględnienie stanu, w jakim się znajduję.

Kaszel, oddech krótki, drapanie nieustające w gardle, a przy tym i lat 67 niech mnie na miesiąc jakiś wymówią.

Praca jest mi jedynym towarzystwem, leczę się więc, a proszę Boga, aby mi raczył tyle tylko życia udzielić, żebym mógł roboty moje literackie podrukować (co w tym roku musi być załatwione) i waszą płaskorzeźbę wykończyć.

Rysunek nieco w robocie zmodyfikuję, charakter wszakże ten sam pozostanie, jak na naszym projekcie.

Pisaliście, Czcigodny Ojcze, że straże mają być śpiące; tu zaś widzę obudzone i przerażone. Ja to zrobię tak, jakby były olśnione światłem, ale nie sięgające miecza. Drobne figury świętych niewiast i anioła na obrazie dobrze by wyglądały, ale rzeźba ma swoje osobne warunki. Mój Zbawiciel będzie w stylu XV wieku i cała rzeźba — jedynym najodpowiedniejszym.

Polecam się modlitwom i sercu waszemu drogi, znacy Ojcze.

Wtych dniach śmierć zajrzała do mojego domu. Córka gospodarza umarła prawie że na moich rękach. Pogrzeb, pochodnie, świece, nabożeństwo w kościele a potem dom opustoszony, z którego ojciec odjechał, na mnie chorego wszystko składając, zdenerwowały mnie tak, że jeszcze dziś zdaje mi się, że mnie swąd z trumny zalata.

Rysunek zachowuję sobie, bo są motywa dobre i znać robiony przez artystę.

Wasz brat i sługa w Chrystusie Panu naszym

T. Lenartowicz

Flor [necja]
29/4. 89.

Listy z nieustalonym adresatem

19

Bruksela 27 lutego 52.
Rue de Berlin n. 52

Szanowny Ojcze,

Wyjeżdżając z kraju wziąłem ze sobą list rekomandacyjny od przyjaciela mego Sewruka[46] do Was, Szanowny Ojcze, z którym znajomość, tak droga dla serca polskiego, wielce jest mi pożądaną. Okoliczności stoją na zawadzie przyjazdowi memu do Paryża, da Bóg jednak, że za jaki miesiąc będę mógł wejść w wasze progi. Tym-czasem zaś, ponieważ prócz rekomandacji, w liście swoim p. Sewruk ma podobno osobistą prośbę do was, Szanowny Ojcze, nie zatrzymując rzeczowego listu, ile że prośba może spiesznego załatwienia wymaga, przesyłam takowy łącząc zarazem ze swej strony wyznanie najgłębszej cześci [czci] z jaką na zawsze pozostaję prawdziwy sługa.

T. Lenartowicz

20

18 lutego 58.

Najszanowniejszy Ojcze,

Daruje mi Ojciec Kochany, że go ustawicznie niepokoję, ale kiedy kto chętny to też i ludzie nadużywają. Obecnie idzie mi o dwa następne

tomy Lindego oraz o jaką rzecz historyczną do czasów Augusta. Jeśli jest jaka historia powszechna obszerna albo dzieło pana De Champagny Cezarowie[47], to prosiłbym Ojca Kochanego, bo mi bardzo potrzeba.

Całuję rączki Kochanego Ojca, modlitwom się Jego polecając. Mnie szanowny Luzzi za próg nogę przestąpić nie pozwala. Z gardłem ciągle bieda a kiedy będzie lepiej, Bóg sam wie.

Sługa i brat w Zbawicielu.

Teofil

21

Jeśli łaska, przyślij mi na parę minut list z Paryża, w którym Ci komunikują nowe pismo Towiańskiego do cara, po przeczytaniu natychmiast zwrócę.

Brat w Zbawicielu

Teofil

22

Florencja 7/4 77.
via Montebello 26

Najzacniejszy Księże Dobr[odzieju] a mój stary i ukochany przyjacielu,

Nie rozumię [rozumiem] co znaczy, iż ks. Podolski[48] zgłosiwszy się do mnie o robotę kielicha dla Ojca Świętego a następnie nadesławszy 1200 fr. à conto, dziś na żaden list mój nie odpisuje.

Prosiłem o informacje co do napisu na kielichu, co do figur, kwiatów, ect. Trzy listy pisałem i ani się odezwie; jak to sobie tłumaczyć nie wiem, chyba zapamiętałą niegodziwością polską nieodpowiadania na listy i to nawet w tak ważnym przedmiocie. Posłałem mu wyjątki z listu złotnika, w którego zakładzie robota pod moim okiem się cyzeluje, w którym tenże objaśnia, że nie skończy na czas, jeśli nie będą wszystkie szczegóły dostarczone a mogęż ja co robić nie mając odpowiedzi od Je[g]mść ks. Podolskiego. Bój się Boga (bo przepadniemy), napisz natychmiast do ks. Podolskiego a połaj i wszyscy ojcowie nagadajcie mu tam prawdę.

Jeszcze pozwalam, gdyby o mój osobisty interes szło, ale w takiej sprawie zwłoka i negliżowanie to już nie do darowania.

Proszę też o słówko o zdrowiu najukochańszego ks. Aleksandra. Jeżeli przeciągnął marzec, to się może, da Bóg, i wyłabuda z tej biedy czego życząc i cierpiącemu i Wam wszystkim polecam naprzód interes a potem i siebie także Waszemu, Najzacniejszy Księże Dodr[odzieju], sercu i pamięci

najniższy sługa

T. Lenartowicz

23

J.+M.+J.

Przewielebny Ojcze,

Wypocząwszy cokolwiek z podróży donoszę Ojcu łaskawemu, że odbyłem podróż dość szczęśliwie. Z Rzymu wyjechawszy nocowałem dopiero w Monachium, z Monachium w jednym dniu przybyłem do Lipska, gdzie, dla zmiany kursu pociągów i dla niewiadomości pomieszkania, nie widziawszy

się z bratem, po wypoczynku trzygodzinnym ruszyłem do Poznania. Tu przenocowałem w hotelu pod Czarnym Orłem, a w wtorek na wieczór zawitałem w domu.

Zdrowie moje małe zrobiło dotąd postępy, a widoków ku lepszemu dotąd bardzo mało. Nie wiem jakich środków użyć; doktora się jeszcze nie radziłem, bo jadam i piję, choć mało, ale bez wszelkich złych następstw; głowa bardzo osłabiona. Niech Ojciec łaskawy pamięta o mnie w modlitwie, abym wnet znów był zdolen zawitać w Rzymie, by studia me kontynuować.

Pieniądze w tym tygodniu prawdopodobnie Ojciec łaskawy odbierze.

X. Kozankiewiczowi dziękuję za odsyłanie listów do Łobżenicy, dotąd ich cztery odebrałem; wczoraj nadeszła karta jego korespondencyjna, asygnacje zaś pocztowe nie przybyły do Łobżenicy[49].

List dołączony proszę oddać ks. Jaroszewskiemu.

Ojcu ręce całując, a kolegów serdecznie pozdrawiając pozostaję synem w Chrystusie

Teofil

Łobżenica dnia 12. 11. 79.

P.S. Nie będąc obecnym na imieninach łaskawego Ojca, by móc Mu składać wspólne życzenia przesyłam, choć późno, je z osobna.

Niech Pan Bóg jeszcze przez długie lata zachowa Ojca przy życiu, by z pracy Jego miał chwały jak najwięcej tu na ziemi, Ojciec łaskawy wobec Niego zasługi niezliczone, a kolegium polskie cieszyło się jak dotąd tak i nadal opieką jego troskliwą

Teofil

24

J.+M.+J.

Przewielebny Ojcze,

Pieniądze, wysłane dla mnie do Rzymu, dosyć późno przyszły do mnie do Łobżenicy; dlatego dzisiaj dopiero wysyłam sumę Ojcu łaskawemu winną, dziękując serdecznie za pożyczenie jej na podróż i przepraszając za tak późne wysłanie.

Ponieważ mamy tylko pieniądze niemieckie, nie wiedząc także jak stoją marki we Włoszech, przesyłam Ojcu łaskawemu 120 marek pruskich i 23 franków papierowych, które mi pozostały z podróży, a których tu używać nie mogę. Liczyłem zaś w sposób taki: Ojciec łaskawy dał mi 50 marek — 70 fr. i 110 fr. razem 180 fr., od tych 180 fr. odliczyłem 23 fr., które ciomarkówka.

Doktor, który mnie zrewidował, powiedział, że ma choroba — to przestarzałe przeziębienie żołądka, z którego dopiero po pół roku mogę wydrowieć. Jeść mi nie wolno nic, tylko mleko piję i z niego tylko żyję; na wzmocnienie krzyżów dał mi doktor olejek, a na wzmocnienie apetytu sól nazwaną karlsbadzką. Według sił muszę często przeleżeć dzień lub dwa, czasem wstaję i przechadzam się po pokoju. Nie wiem dotąd jak Pan Bóg mną pokieruje; niech Ojciec łaskawy pamięta o mnie w modlitwie, abym wolę Bożą ochoczo i godnie spełniał.

zwracam Ojcu w walorze włoskim; pozostałe 157 fr. obliczyłem na marki, według kursu 1 mar. — 1,33 fr. Czyni to mniej więcej 117 marek. Przesyłam zaś 120 marek, bo najniższy pieniądz papierowy niemiecki to pię-

Kolegów pozdrawiając serdecznie a Ojcom z uszanowaniem ręce całując, pozostaję ich w Chrystusie synem

Teofil

Łobżenica dnia 24. 11. 79.

25

J.+M.+J.

Przewielebny Ojcze,

Bardzo się ucieszyłem przeczytawszy list łaskawego Ojca i żałowałem tylko, że moja pamięć była powodem nowych trosk dla Ojca. Przejrzawszy zapiski porobione na podróży i przeliczywszy pieniądze mi z niej pozostałe poznałem, że nie namyśliłem się dosyć odsyłając Ojcu łaskawemu dług, z którego się teraz uiszczam.

Ks. Kardynałowi dziękuje serdecznie za błogosławieństwo mi nadesłane; było ono w położeniu mym, gdzie z nikąd nie mam pociechy duchowej prócz modlitwy, wielką i prawdziwą ulgą; oby ono przyczyniło się do osiągnięcia zdrowia rychłego.

Na pierwsze zapowiedzie współcieszę się serdecznie z ks. Kozankiewiczem; życzeniem mym wielkim, aby przy powrotnym zobaczeniu się, mógł go przywitać jako zupełnego sługę Pana Jezusa.

Dziękuję także Ojcu łaskawemu serdecznie za życzenia mi polepszenia zdrowia: zmiany dotąd prawie żadnej nie doznałem, a jak będzie, to wie sam Pan Jezus, na którego wolę zupełnie się zdaję.

W końcu proszę drogiego Ojca, przy zbliżającym się Bożym Narodzeniu, o modlitwę, bym zupełnie nie umarł dla Pana Boga, będąc tak długo od Niego oddzielony.

Całując z uszanowaniem ręce drogim Ojcom pozostaję ich w Chrystusie synem

Teofil

Łobżenica, 16. 12. 79.

PRZYPISY

1. Podkreśla to Annetta Boneschi Ceccoli w swoim studium *Teofilo Lenartowicz, Rassegna Nazionale,* Firenze 1899.

2. W. Danek J. Nowakowski, *Kraszewski i Lenartowicz .. dzieje przyjaźni, Pamiętnik Literacki,* Rocznik LII, Zeszyt 1, Warszawa — Wrocław 1961.

3. E. Elter w przedmowie do *Dziennika — Rzeczy polskie i słowiańskie* P. Semeneńki *(Sacrum Poloniae Millennium* t. II, Rzym 1955) wśród jego pism wymienia *„Mowę pochwalną na cześć św. Cyryla i Metodego, apostołów słowiańskich, mianą wśród uroczystych obchodów w Rzymie,* w kościele św. Klemensa, dnia 3 lipca 1881 r., Kraków 1881. Najwidoczniej to kazanie zostało później wydrukowane i o nim to, jako o broszurce, mówi Lenartowicz. To samo podkreśla biograf Semeneńki W. Kwiatkowski w dziele *La vita di Pietro Semeneńko,* Roma 1953.

4. Z pewnością mowa tu o broszurce *Chorągiew słowiańska do grobu św. Cyryla w Rzymie,* Lwów 1881.

5. I. Matuszewski, *Z życia i działalności artystycznej Teofila Lenrtowicza, Twórczość i twórcy,* Warszawa 1904.

6. Piotr Semeneńko (1814 — 1886) student Uniwersytetu Wileńskiego, uczestnik powstania listopadowego, potem emigrant we Francji, współzałożyciel i pierwszy generał Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego.

7. Karol Kaczanowski (1800 — 1873), inżynier, oficer powstania listopadowego, potem ksiądz, współzałożyciel Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego.

8. Julian Feliński brat Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, arcpa warszawskiego, studiował teologię w Rzymie, potem wstąpił do Zmartwychwstańców.

9. Hieronim Kajsiewicz (1812 — 1873), student Uniwersytetu Warszawskiego, oficer powstania listopadowego, po jego upadku emigruje do Francji. Jest, podobnie jak Semeneńko i Kaczanowski, współzałożycielem Zgromadzenia Zmartwychwstańców.

10. Walerian Przewłocki (1828 — 1895), żołnierz kampanii węgierskiej 1848 r., następnie emigrant. W 1864 r. wstąpił do Zmartwychwstańców, gdzie kierował przez pewien okres domem w Adrianopolu, w Bułgarii. Po śmierci Semeneńki został generałem.

11. W. Danek i J. Nowakowski, op. cit. s. 40.

12. Miejsce i data dopisane są obcą ręką i czerwonym atramentem.

13. Powyższy adres, jak i wszystkie następne, jeśli są podane, zamieszczony jest na odwrotnej stronie listu, złożonego w formę koperty.

14. Data i miejsce — dopisane obcą ręką.

15. Józef Zaleski (1789 — 1864) nie był bratem, lecz długoletnim przyjacielem poety Bohdana Zaleskiego.

16. Zapewne ksiądz Aleksander Jełowiecki, uczestnik powstania listopadowego, potem emigrant osiadły w Paryżu. Do Zmartwychwstańców wstąpił w 1843 r.

17. Stanisława Szlubowskiego wspomina kilkakrotnie P. Semeneńko w swoim *Dzienniku,* pp. cit.

18. Walenty Zwierkowski (1786 — 1859), rodem z Krakowskiego, publicysta, poseł na sejm, po powstaniu 1831 r. przeniósł się do Francji, gdzie napisał kilka dzieł z historii Polski.

19. Leon Sapieha (1811 — 1884), syn Pawła i Pelagii Potockiej, linia kodeńska, poślubił Joannę hr. Tyszkiewiczównę, zmarłą później we Florencji. Z tego małżeństwa miał dwie córki: Leontynę i Pelagię. Lenartowicz mylnie nazywa go jenerałem (R. Sanguszko i B. Gorczak, *Sapiehowie,* t. 3. Petersburg 1894, s. 435).

20. Zapewne Jan Koźmian (1803 — 1877), redaktor *Przeglądu,* periodyktu poznańskiego, ożeniony z Zofią Chłapowską, wstąpił, po śmierci żony, do stanu duchownego w Rzymie w 1857 r. Ze zmartwychwstańcami pozostawał w zażyłych stosunkach. List zatem poety był pisany w latach pobytu Koźmiana w Rzymie (1957 — 1859), gdyż później ten ostatni wrócił na stałe do kraju.

21. *Zendavesta* — nazwa ksiąg zawierających zasady religii Zaratustry. Właściwą nazwą jest wyraz Avesta, zaś zenda (zendo) zostało dodane później jako komentarz.

22. J. K. Wilczyński zasłużył się jako wydawca obrazków świętych, *Albumu* oraz *Herbarza szlachty polskiej* (kilku zeszytów).

23. *Enejdę* Wergilego przełożył Andrzej Kochanowski, brat Jana, wydaną po raz pierwszy w Krakowie, w 1590 r.

24. Domenico Santagata założył, wspólnie z grupą ludzi przyjaznych sprawie polskiej, Akademię Adama Mickiewicza przy uniwersytecie w Bolonii, w 1879 r. Akademia miała na celu rozpowszechnianie dziejów narodów słowiańskich, w pierwszym rzędzie zaś narodu polskiego. Lenartowicz był, w latach 1880 — 1882, profesorem tej Akademii, przy czym jego działalność przejawiała się tylko w formie odczytów. Ostatnio krótką historię tej instytucji podała Marina Bersano Begey w swoim studium *L'Accademia Adamo Mickiewicz di Bologna e Teofilo Lenartowicz, Ricerche slavistiche*, vol. IV, 1955 — 1956, Roma.

25. L. Rettel (Lenartowicz pisze Retel) wydał w Paryżu, w 1871 r., swoje studium *Cyryl i Metody, streszczenie najnowszych poszukiwań*, zob: Ilińskij. *Opyt Sistematiczeskoj Kirillo-Metodiewskoj bibliografii*, Sofia 1934.

26. Bolland Jean (1596 — 1663), z łacińska Bollandus, jezuita belgijski, kontynuował wydawnictwo *Acta sanctorum*, założone przez Rosweyde. Od Bollanda nazwano współpracowników jego bollandystami. Dziś obok *Acta sanctorum* wydają również *Analecta Bollandiana*.

27. Hieronima Kieniewicza wspomina L. Gadon, *Z życia Polaków we Francji, Rzut oka na 50 letnie koleje Towarzystwa Historyczno Literackiego w Paryżu* 1832 — 1882, Paryż 1883.

28. N. b. p. J. Ch. — skrót pozdrowienia Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

29. Z pewnością Zofia Szymanowska, przyrodnia siostra Celiny Mickiewiczowej, z którą poznał się poeta we Włoszech, a później, 8 maja 1861 r. wziął z nią ślub we Florencji.

30. W nawias podwójny są ujęte wyrazy czy zdania użyte przez poetę.

31. Prawdopodobnie mowa tu o Mosiewiczu, kleryku seminarium unickiego w Chełmie. Na rozkaz rządu carskiego seminarzyści tej szkoły zostali rozesłani do różnych schizmatyckich seminariów, niektórzy zaś, jak Mosiewicz i Malczyński, udali się do Rzymu i tu, przez pewien okres, znaleźli schronienie u Zmartwychwstańców (W. Kwiatkowski, *Historia Zgromadzenia Z. P.*, Albano 1942, s. 216-217).

32. Józef Maliński, malarz, jeden z pierwszych uczniów Bogdana Jańskiego zamieszkały w jego „Domku" w 1836 r. przy ul. Notre Dame de Champs, 11. Przebywał potem w Rzymie, lecz nigdy do Zmartwychwstańców nie wstąpił.

33. Oskar Sosnowski, rzeźbiarz i malarz, studiował w Berlinie. Od 1845 r. zamieszkał na stałe w Rzymie.

34. Andrzej Mniszech, malarz, sprzedał swe dobra w Wiśniowcu i osiadł w Paryżu. Posiadał dużą kolekcję obrazów szkoły francuskiej i holenderskiej.

35. Być może, iż Lenartowicz nie podał dokładnie nazwiska, bo nie figuruje ono w żadnej encyklopedii ani w syntezach historii czy literatury ubiegłego wieku.

36. Bliżej nieznany.

37. Stefan Pawlicki (1839 — 1916), wychowanek Uniwersytetu Wrocławskiego, następnie docent filozofii w Szkole Głównej w Warszawie, wstąpił, w 1869 r., do Zmartwychwstańców. Od 1881 r. był profesorem filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego.

38. Bliżej nieznany.

39. Jan Gajewski (1827 — 1858), uczestnik tajnych związków w Warszawie, potem członek Komitetu Młodej Emigracji, inżynier, zginął tragicznie od wybuchu lokomotywy.

40. Szymona Żórawskiego wspomina L. Gadon (op. cit. s. 133).

41. Leon Kapliński (1826 — 1873), poeta, pisarz i mal. Studiował początkowo prawo w Warszawie, potem filozofię we Wrocławiu. W 1848 r. był więziony w Berlinie, a po uwolnieniu osiadł w Paryżu.

42. Zarówno uprzednio wymienieni jak i Panusiewicz, Zaborski oraz Kabat byli, z pewnością, przyjaciółmi Lenartowicza w Warszawie, a później na emigracji. Jeden z tych ostatnich — Władysław Zaborski, dał się poznać jako inżynier. W późniejszym życiu wstąpił do Jezuitów i redagował *Misje Katolickie*.

43. Walerian Kalinka (1826 — 1887) wstąpił do Zmartwychwstańców w 1868 r., w Rzymie. Zwiedziwszy dom misyjny w Adrianopolu wrócił do kraju, gdzie obok obowiązków zakonnych poświęcił się studium nad dziejami Polski.

44. Wymienia ją I. Matuszewski w swoim studium, op. cit. podobnie jak i *Kielich*, o którym będzie mowa w następnych listach. Nie wspomina natomiast powyższej rzeźby przedstawiającej Chrystusa Zmartwychwstałego.

54. Bliżej nieznany.

46. Walentego Sewruka wspomina L. Gadon *(Emigracja polska*, Kraków 1901, t. III, s. 722). Należał do przyjaciół „Domku" Jańskiego w Paryżu.

47. Champagny Giambattista Nompère de (1756 — 1834), Francuz, dyplomata i minister w okresie pierwszego cesarstwa, napisał dzieło *Cezarowie*.

48. Józef Podolski, redaktor *Przeglądu Lwowskiego* i autor dzieła — *Pius IX — obrońca Polski*.

49. Łobżenica, powiat Wyrzysk, dziś w wojew. bydgoskim.

Komunikaty

NAGRODY FUNDACJI A. JURZYKOWSKIEGO

Fundacja Alfreda Jurzykowskiego w Nowym Jorku ustanowiła po raz drugi nagrody z zakresu sztuki i nauki, które przyzna Polski Instytut Naukowy.

Nagrody przeznaczone są bądź dla Polaków bądź dla osób pochodzenia polskiego, bez względu na miejsce ich zamieszkania, a dla tłumaczy bez względu na ich narodowość.

Nagrody obejmują: literaturę, teatr, plastykę, kompozycje muzyczne, humanistykę oraz nauki społeczne i ekonomiczne i przyznane zostaną za pojedyncze dzieło lub za całą twórczość w latach 1963-1965.

Ogółem przyznanych będzie sześć nagród, każda w wysokości 1000 dolarów oraz dwie nagrody w wysokości 2000 dolarów każda za całość twórczości.

Przyznana zostanie również nagroda w wysokości 1000 dolarów za przekłady utworów polskich na obce języki. Nagroda ta może być podzielona na dwie po 500 dolarów każda.

Polski Instytut Naukowy przyzna nagrody w grudniu 1965.

PRZYJAŹŃ POLSKO-SZWAJCARSKA

W dniu 12 września 1965 roku w Solurze w Szwajcarii, odbyło się wręczenie nagrody trzem laureatom Nagrody Anny Godlewskiej.

Na życzenie fundatora Juliana Godlewskiego w roku obecnym nagrodą wyróżniono obywateli szwajcarskich, zasłużonych dla sprawy przyjaźni polsko-szwajcarskiej. Jest to rok w którym przypada dwudziestopięciolecie internowania 2 Dywizji Strzelców Pieszych w Szwajcarii.

Komitet nagrody w składzie: Ojciec Rektor I. M. Bocheński O. P., Ksiądz E. J. Frania, pułk. Stanisław Karolus, Marian Respond, Halszka Vincenz-Poniatowska i Kazimierz F. Vincenz (przewodniczący), postanowił sumę 9000 franków szw. rozdzielić na 3 równorzędne nagrody. Nagrodzeni zostali: p. Marguerite Emery, prof. Wilhelm Oswald i p. Adele Tatarinoff-Eggenschwiler.

Równocześnie z wręczeniem nagród laureaci otrzymali od Juliana Godlewskiego pamiątkowe srebrne tace i iluminowane dyplomy, a od Kiermaszu Książki Polskiej w Szwajcarii wspaniale oprawne tomy przekładów z literatury polskiej na język francuski i niemiecki.

Uroczystość nagrana została przez radio i telewizję szwajcarską.

Książki

Best-seller 1900 r. we Francji

Przedwcześnie zmarła Maria Kosko podjęła przed laty obronę tezy doktorskiej na Sorbonie, tezy, której tematem były losy *Quo Vadis?* we Francji („La Fortune de *Quo Vadis?* de Sienkiewicz en France[1]"). Praca jej nagrodzona przez Akademię Francuską jest od dawna wyczerpana. Ze względu na znaczenie literacko-obyczajowe sporu, który się rozegrał wokół *Quo Vadis?*, rzadkiego w literaturze światowej zjawiska, autorka powróciła do tego tematu i wydała w 1960 pracę swoją o połowę skróconą ale wzbogaconą nowymi materiałami pt. *Un „Best-Seller" 1900 „Quo Vadis?"*[2] Warto przypomnieć tę książkę polskiemu czytelnikowi nie tylko ze względu na Sienkiewicza cieszącego się od szeregu pokoleń i niezależnie od przewrotów politycznych rzadką poczytnością, ale też ze względu na kryzys francuskiej literatury, która uległa trzykrotnie fazom ostrej ksenofobii w obronie zagrożonej jakoby twórczości narodowej.

Pierwszy tego rodzaju kryzys, pod przewodnictwem Jules Lemaitre'a, w 1894, był skierowany przeciwko literaturom skandynawskim, drugi, wyjątkowo ostry, został wywołany niespotykanym dotychczas sukcesem *Quo Vadis?* Jednocześnie z dziełem Sienkiewicza zaatakowała ówczesna krytyka francuska dzieło wielkich prozaików rosyjskich. Rozgłos powieści Sienkiewicza buchnął wielkim płomieniem i został następnie bezwzględnie stłumiony pozostawiając po sobie dużo dymu. Trzecia faza ostracyzmu literackiego we Francji została skierowana, już po drugiej wojnie światowej przeciwko amerykańskiej. W Polsce zachowało się wspomnienie wielkiego sukcesu Sienkiewicza we Francji, ale zapomniano lub może nie chciano pamiętać o jego załamaniu i dalszych tego skutkach. *Quo Vadis?* pogrążyło w

1. Paris, Champion 1935, str. 264. Bibl. de la Revue de Littérature Comparée, t. 109.
2. Libr. José Corty 1960, str. 185 i 5nlb.

opinii francuskiej nie tylko dzieło Sienkiewicza ale też na długie lata literaturę polską. Krytycy odnosili się dotąd do niej z dużą nieufnością w obawie nowej kompromitacji.

Maria Kosko przedstawia na wstępie czytelnikowi francuskiemu znaczenie Sienkiewicza i jego niesłabnącą w Polsce popularność. Czas, który wszystko pożera i kruszy, jego oszczędza. Czytano go od końca ubiegłego stulecia, i po półwieku w schronach bombardowanej Warszawy, czytano w obozach niemieckich i rosyjskich, w niewoli i na wolności. Czytają go ludzie wykształceni i zupełnie prości, niby jakąś polską Ewangelię o bohaterskich czynach narodu, o jego wierności nawet przegranej sprawie. Próżno zarzucała mu krytyka literacka łatwizny, płycizny, jednostajność intryg, szablonowość epizodów, ideologię rębacza. Brzozowski zwalczał go namiętnie, przeciwstawiał mu Żeromskiego, Przybyszewskiego, Wyspiańskiego. Dla nich byt społeczny narodu, odpowiedzialność historyczna człowieka były zagadnieniami ich osobistego sumienia. Sienkiewicz ufał automatyzmowi życia, optymizmowi patriotycznych legend, unikał problemów. Był pisarzem, artystą, świetnym stylistą, nieporównanym narratorem i reporterem, pisarstwo jego nie przezwyciężało żadnych oporów, przeciętny czytelnik, każde dziecko i szerokie masy piły Sienkiewicza jak mleko, kochały go, i jeszcze kochają, za swojskość, barwność, rycerskie czyny i nierycerskie rzezie, za tkliwe idylle i tradycyjną nabożność, trafiał do serc, sycił fantazję. Utrzymał też swoją pozycję jak nikt inny. Chyba w Polsce Ludowej, podobnie jak w Polsce pod trzema zaborami nadal „krzepi serca" — i to nie tylko dzieci!

„Glina w glinę wtapia się bez przerwy..."

Ale wróćmy do Marii Kosko i do Sienkiewiczowskiego *best-seller'a*" we Francji. Pani Kosko stwierdza w swoim wstępie autorytatywnie: „Sienkiewicz nie jest może najlepszym powieściopisarzem, ale był w Polsce powieściopisarzem najpotrzebniejszym".

Czy na pewno najpotrzebniejszym i kiedy?

◆

Jakie były dzieje *Quo Vadis?* — powieści wydanej w 1896 — poza granicami Polski?

Już w roku wydania tłumaczenie angielskie Jeremiasza Curtis wywołało entuzjazm w Ameryce a następnie w Anglii. W 1897 ukazały się tłumaczenia rosyjskie i czeskie, w 1898 — włoskie i niemieckie, w 1899 — bułgarskie, armeńskie, duńskie i portugalskie. W sumie przełożono *Quo Vadis?* na 22 języki, francuski był dwudziesty trzeci. W ciągu jednego roku sprzedano w Stanach Zjednoczonych 400 tys. egz. powieści a 150 tys. w Niemczech. W języku rosyjskim ukazało się sześć różnych tłumaczeń, w niemieckim pięć, ale wszelkie rekordy pobiła Francja. Z początku wydawcy nie chcieli słyszeć o „Neronowej powieści", dosyć mieli własnych tego rodzaju płodów od Chateaubrianda

do Flauberta, ale wreszcie awangardowa *Revue Blanche* pod redakcją braci Aleksandra i Tadeusza Natansonów podjęła się wydania *Quo Vadis?* w tłumaczeniu Kozakiewicza i Janasza. Tadeusz Natanson poznał Sienkiewicza u ich wspólnego przyjaciela Abakanowicza i czytał powieść w oryginale. Zaryzykował więc! Sukces był natychmiastowy i niespodziewany. W pierwszym roku rozeszło się 170 tys. egz. wydania *Revue Blanche*. Znamienna jest krzywa poczytności książki: 200 tys. egz. w ciągu pierwszych dwu lat a tylko 15 tys. w ciągu następnych 20-tu. Ale wydanie Natansonów było jednym z wielu. Żadna konwencja pomiędzy Francją a Rosją nie zabezpieczała wtedy praw autora ani wydawcy. Rzucono się więc na poczytne *Quo Vadis?* tłumacząc je byle jak, byle z jakiego języka, skracając, adoptując jak kto chciał. Około dwunastu wydań tego rodzaju ukazało się w ciągu następnych lat. Flammarion, Laffitte, Albin Michel, Arthème Fayard, Collection Nelson i inne jeszcze brały udział w wyścigu. Wydawano powieść w objętości dwu albo trzech tomów aż do skrótów i adaptacji dla młodzieży po 100 i 50 str. Latami mnożyły się jeszcze wydawnictwa popularne nie do poznania zniekształcone. Sam tytuł robił swoje. Wydawcy paryscy obliczali na dwa miliony egzemplarze sprzedane do wojny 1914 r. Powieść została przerobiona na sztukę teatralną, grana w Théâtre de la Porte St. Martin, gdzie cieszyła się długotrwałym powodzeniem, jako opera była grana w Nicei i Paryżu w Gaîté Lyrique. Z księgarni i scen zeszło *Quo Vadis?* do salonów, sal redutowych, stajni wyścigowych. Zamiast obowiązującego *Comment ça va?* pytali Francuzi jedni drugich: *Avez vous lu „Quo Vadis?"* Żywe obrazy, bale maskowe, konie wyścigowe szerzyły sławę Petroniusza i Winicjusza, Lidii i Eunice. Ciasta, cukry, wina, kapelusze, krawaty przybrały nazwę „Quo Vadis". Ten tytuł nadawał się też do przeróżnych żartów politycznych, zasilał repertuar szansonistów. Istny szał ogarnął Francję, a Paryż zapadł na chorobę przezwaną żartobliwie *une sienkievite aiguë* (ostry sienkiewiczyzm). Jedni apoteozowali, drudzy parodiowali.

Poza *Revue Blanche* nikt z dalszych wydawnictw nie zatroszczył się o wypłacenie autorowi jakiegokolwiek honorarium, a Henryk Sienkiewicz nie upominał się nigdy o nic. Stwierdził jedynie ten fakt w liście do przyjaciela. Protestował tylko przeciwko grabieży dzieła i bezkarnemu jego zniekształcaniu — ale to był groch o ścianę. Po *Quo Vadis?* rzucili się pomniejsi wydawcy na *Trylogię, Bez Dogmatu, Listy z Ameryki, Opowiadania* przerabiając, skracając lub dopełniając dowoli.

Jakie były przyczyny tego fenomenu?

Autorka widzi je w ówczesnym wyczerpaniu żywych prądów w literaturze francuskiej. Naturalizm Zoli i jego naśladowców się przeżył, psychologizm Bourgeta wychodził z mody, w braku nowych rozpoznanych kierunków ogół czytelników szukał zaspokojenia w powieści historycznej. *Quo Vadis?* był nią o bardzo złożonych elementach i walorach. Jednych olśnił urodą świata antycznego, przepychem Rzymu, rozwiązłością dworu Nerona, roz-

maitością postaci, innych zachwycił duchem religijnym w okresie prześladowania Kościoła katolickiego we Francji, bogactwem epizodów, urokiem idylli miłosnej, wspaniałym opisem płonącego Rzymu — to wszystko zagrało jednocześnie, ogarniając bardzo różne sfery czytelników. A że Sienkiewicz był mistrzem narracji, tego mu nikt z wrogów nawet zaprzeczyć nie mógł. Sukces powieści zainteresował krytyków. Publicyści przyjęli powieść życzliwie, niekiedy entuzjastycznie, niektórzy wynajdywali nawet w niej analogie do ówczesnej polityki francuskiej, sprawy Dreyfusa. Ale autorytatywne sfery krytyki literackiej milczały, *Quo Vadis?* zdobył niespotykaną poczytność nim się zdążyły wypowiedzieć — był im poniekąd narzucony. Powódź artykułów sławiących „arcydzieło" była czymś wysoce drażniącym dla elity francuskiej.

„Sukces odnosi *Quo Vadis?* — pisał Valéry do Gide'a w październiku 1900 — ciekawe, że te blagi jeszcze biorą. Na ile mogę sądzić, powieść przypomina Munkaczy'ego, albo tę okropną sztukę niemiecką, którą oglądamy na Wystawie — szewskie barbarzyństwo".

◆

I nagle wiatr się odwrócił. Wszystko co się przyczyniło do powodzenia powieści stało się dla niej kamieniem obrazy. Krytyka katolicka uznała ją za nazbyt świecką, sceptycy za zbyt religijną, moraliści — gorszącą, znawcy starożytności rzymskiej — historycznie błędną. *Action Française* podejrzewała w Sienkiekiczu Żyda w owczej skórze polskiego katolika. Wydając *Quo Vadis?*, twierdzili stronnicy Charles Maurrasa, *Revue Blanche* „żydowska i dreyfusarska" *(juive et dreyfussard)* miała w tym jakieś swoje podstępne cele... Zgodnym chórem, zapominając nawet o swoich wewnętrznych antagonizmach, zaatakowali autora i jego rozgłośne dzieło ks. Brémond, Catulle Mendès, Brunetière, Henri Bordeaux, Rémy de Gourmond i Léon Daudet, wreszcie z właściwą mu pasją ruszył do ataku Léon Bloy piętnując powieść jako szczyt banału, dowód wrodzonej polskiej głupoty *(sottise)* samego autora. Powodzenie powieści przypisywał Bloy „niesłychanemu obniżeniu poziomu współczesnej inteligencji francuskiej..."

„Jest to rzucanie psom Chleba Aniołów — pisał — a jednak na tysiąc katolików dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć jest przekonanych, że Sienkiewicz to potężna kolumna Kościoła powszechnego".

A Brzozowski zaklinał w parę lat później:

„...Kto cierpi nad tym, że to nasza myśl wydała to arcydzieło lekkomyślności i beztroskliwego fałszu niech weźmie do ręki choćby norwidowskiego *Quidam*" („Legenda młodej Polski").

„Zabieraj pan swoją książkę z powrotem — pisał ze złością Ch. Méré — niech ją odczytują warszawscy furmani..." *(La Revue Contemporaine* 1900).

Istna furia ogarnęła krytykę francuską. Uznano powieść za nieetyczną, sentymentalną, fałszywą, absolutnie bezwartościową a ponadto jeszcze splagiatowaną. Wszyscy prześcigali się w poszukiwaniu wzorów *Quo Vadis?* w literaturze francuskiej, a nawet angielskiej. Wskazywano na *Les Martyres* Chateaubrianda, *Caligula i Acté* Dumasa, *l'Antéchrist* Renana, *Salambô* Flauberta, *Les Derniers Jours de Pompeï* Bulver Lytton'a i wiele innych. Zarzucano mu nawet widoczne zapożyczenia z Tacyta i Swetoniusza! I tym razem protest Sienkiewicza wyrażony w liście do B. Kozakiewicza drukowanym w *Figaro* (7. V. 1901), w którym stwierdzał, że nie zna większości książek, które miał jakoby splagiatować — nikogo z przeciwników nie rozbroił, ani nie przekonał.

Jednocześnie mimo drapieżnych ataków krytyki *Quo Vadis?* szedł jak woda. Inne dzieła Sienkiewicza, zwłaszcza jego narodowe powieści, puszczono również w obieg, tłumaczenia były opłakane, ale samo nazwisko służyło za reklamę. Nieznajomość historii polskiej i zupełny brak komentarzy, o które żaden z wydawców się nie postarał, mnożyły nieporozumienia. Tłumacze mylili Moskwę z Kozacczyzną, Ordę z Portą, przekręcali nazwiska polskie, mylili miejscowości, nikt się w tym nie mógł wyznać. Cała ta reszta dzieł Sienkiewicza spaliła na panewce pogrążając ostatecznie wszystko.

Projektowany przez rozgoryczonych krytyków protekcjonizm literatury francuskiej miał ją chronić nie tylko przed Sienkiewiczem ale również przed Tołstojem, Gorkim, Kiplingiem, Ibsenem, Hamsunem, Nietzschem, d'Annunziem i resztą obcokrajowych „intruzów".

Ten ostry kryzys nacjonalizmu literackiego był jednak krótkotrwały. Już w początkach 1902 roku temperatura spadła, spory złagodniały, ale reputacja Sienkiewicza nigdy więcej nie podniosła się w Francji, pociągając za sobą całą literaturę polską. „Neronowa powieść", o której każdy, aż do naszych czasów, coś nie coś zasłyszał, pokryła całkowitą ignorację Francuzów tyczącą Polski i jej pisarstwa.

Po dalszych latach sądy o *Quo Vadis?* złagodniały, do jego częściowej rehabilitacji przyczynił się Henri de Montherlant stwierdzając na ile mocno i trwale naznaczył *Quo Vadis?* jego dziecięcą wyobraźnię. W liście do Marii Kosko z 1959 r. przyznaje, że powieść jest powierzchowna, ale jej fabuła wyjątkowo interesująca. Co zaś do plagiatów, które zarzucano Sienkiewiczowi — „to niedorzeczność." (... *c'est grotesque).*

„*Quo Vadis?* — streszcza swój sąd autor *Bestiaires* — nie jest *wielkim dziełem*, ani nawet *wielką powieścią*, ale jest *bardzo dobrą powieścią*, całkowicie zasługującą na duży sukces, który ją spotkał". (podkr. H. de M.).

Niezwykłość losów *Quo Vadis* — we Francji polegała na tym, że spór który powstał wokół niego, wystąpił poza zagadnienia literackie, objął problem kosmopolityzmu i nacjonalizmu w li-

teraturze, sięgając spraw społecznych, naukowych, moralnych i religijnych.

Maria Kosko wywiązała się ze swego zadania z taktem, nawet z humorem, zachowując odpowiedni dystans do zagadnienia.

W bezbłędnej i swobodnej francuszczyźnie dała nam pełny obraz procesu, bez urazów właściwych polskiemu patriotyzmowi, ale też bez ustępstw na rzecz opinii francuskich krytyków. Pani Kosko nie objęła niestety swoją analizą przyczyn odznaczenia Sienkiewicza nagrodą Nobla w 1905 r. Nie wiemy na ile sukces *Quo Vadis* i późniejsze reakcje wpłynęły na zapoznanie się z twórczością pisarza i co zdecydowało o jego zwycięstwie.

Książkę dopełniają bibliografia prac poświęconych Sienkiewiczowi we Francji, wykaz adaptacji *Quo Vadis?*, oraz chronologiczne zestawienie tłumaczeń powieści i ich wydań we Francji.

Maria CZAPSKA

« Medal » im. Ossietzky'ego

Wśród setek stowarzyszeń i komitetów, prosperujących w (zachodnim) Berlinie, istnieje również taki, który — w najszlachetniejszych na pewno intencjach — przyznaje nie nagrody lecz „medale", za to imienia Karola Ossietzky'ego. „Medalem" takim obdarzono niedawno osiadłego w tymże Berlinie p. Józefa Wulfa, ponieważ wydał on w języku niemieckim pewną ilość książek, poświęconych męczeństwu żydostwa pod hitlerowską okupacją w Polsce. Redaktor „Kultury" zaproponował mi sporządzenie notatki, ze szczególnym uwzględnieniem tego co z okazji przydzielenia wymienionego „medalu" pisała prasa żydowska.

Muszę Redaktora „Kultury" i jej Czytelników rozczarować: — prasa żydowska nie napisała nic. Dlaczego?

Odważny bojownik i męczennik Karl von Ossietzky jest bardzo chlubnym symbolem nie cudzoziemców, lecz Niemców: „innych, *(das „Andere Deutschland")*. Tych, którzy — jako Niemcy! — umieli wyzwolić się z niemieckiej buty, megalomanii, grabieżczego nacjonalizmu i rasizmu. Jeśli „medal" im. Ossietzky'ego (który — nawiasem mówiąc — „medali" nie znosił) trzeba było w Berlinie przydzielić nie Niemcowi lecz cudzoziemcowi, na domiar Żydowi z Polski, cała impreza przypomina kapitalne refleksje Gombrowicza o pewnych inicjatywach „nierzeczywistego" Berlina.

Gorzej, że tym obecnym „medalonością" prasa żydowska *musiała* zająć się kilkakrotnie już wcześniej i z niejaką brutalnością a to właśnie wskutek jego berlińskiej działalności „naukowej".

Zwłaszcza bardzo ostro wystąpił największy dziennik żydowski w Europie, „Unzer Wort", wydawany w Paryżu. Pierwszy artykuł w tej sprawie ogłosił w nim A. Rudy, 10 III. 1956. Ponieważ p. Wulf jednak, jak gdyby nigdy nic, kontynuował swoje metody „badawcze", które Rudy ujawnił i napiętnował, Rudy powrócił do tej sprawy w gwałtownych artykułach ogłoszonych w „Unzer Wort" 16. VI. 1959 i 28. XI. 1959. Tym razem do A. Rudego przyłączyli się inni autorzy (w artykułach zamieszczonych w tymże piśmie, m. in. 26. XII. 1959). Ostatnio wreszcie, 19 XII. 1964 (czyli akurat w okresie przydzielania „medalu", chociaż bez żadnego z tym związku) ukazał się w „Unzer Wort" bardzo ostry artykuł, wywołany kolejną książką p. Wulfa. Ujawniając osobliwości tej publikacji, autor artykułu sumuje w nim metody produkcyjne owego — jak je nazywa — „przemysłu wydawania przez p. Wulfa rezultatów cudzych prac pod jego własnym nazwiskiem".

Wymienione wyżej artykuły A. Rudego z r. 1956 dotyczyły jedynie pierwszej książki, która p. Wulfa w Niemczech „postawiła": „Trzecia Rzesza i Żydzi" *(Arami-Verlag,* Berlin 1955). Reklamowany w Niemczech jako istna rewelacja (nie z racji nieistniejącego w nim tekstu autorskiego, ale dla ogłoszonych w nim *materiałów),* tom ten składa się z dwóch części: z dokumentów z hitlerowskich archiwów i zeznań świadków (do których dołączono rodzaj wypisów z pewnych rozpraw). Otóż: olbrzymia większość tych rzekomo do owej pory „nieznanych" dokumentów była (o licznych przedrukach i analizach już nie mówiąc!) ogłoszona w r. 1946 (czyli o całe 9 lat wcześniej) przez żydowskiego uczonego M. Weinreicha, w pracy pt. *„Hitler's Professors"* (wydanej zarówno w języku angielskim jak i w języku żydowskim przez Centralny Żydowski Instytut Naukowy „Yivo", przy czym — w jednym i drugim wydaniu — tekst dokumentów zamieszczony jest również w niemieckich oryginałach, często z dodaniem nawet fotokopii). O prof. M. Weinreichu nie ma jednak u p. Wufla najmniejszej wzmianki, choćby petitem, w odsyłaczu. I nie bez przyczyny: nie byłoby „rewelacji". W części drugiej (zeznania świadków, rozprawy) podał p. Wulf kilka referencji. Posłużył się wszakże już gotowymi i dokładnie uporządkowanymi *antologiami,* jakie ukazały się wcześniej, przede wszystkim w języku polskim: „Dzieci oskarżają" (Mariańskiej i Grüssa), „Słowa niewinne" (N. Blumentala) itd. oraz gotowymi, cudzymi rozprawami (G. Reitlingera i szeregu innych). W sumie, już po pierwszej części składającej się z dokumentów (figurujących w wydanej 9 lat wcześniej książce M. Weinreicha), *przepisał* p. Wulf *dalszych* co najmniej 150 stronic podwójnego formatu, czyli w istocie 300 stronic. — „Przy takich metodach badawczych — pisał „Unzer Wort" z 26. XII. 1959 (w artykule autora, który dopełniał ujawnione przez A. Rudego fakty dotyczące dokumentów archiwalnych) — można co tydzień wyprodukować (nożyczkami) nowy i imponujący rozmiarami tom rewelacji". Dla ukoronowania, umieszczono na tym tomie następu-

jącą „zwyczajową" formułę: „Copyright-Verlag Arami, Berlin. Wszystkie prawa, zwłaszcza przedruków, tłumaczeń, nawet w wyjątkach, zastrzeżone". „Wynikałoby z tego — pisał „Unzer Wort" — że w razie nowego wydania ich własnych książek, wszyscy ci *przepisani* przez niego badacze i pisarze, winni płacić honoraria p. Wulfowi".

Jakby dla potwierdzenia wyżej cytowanych słów krytyka że „przy takich metodach" można w szybkim tempie produkować coraz to nowe „tomy rewelacji", poczęły się pojawiać dalsze książki p. Wulf. „Imponujące"... rozmiarami, lecz z reguły na te tematy, które były już *gruntownie opracowane* przez innych, za granicami Niemiec: raz o getcie Warszawy, kiedy indziej o getcie Łodzi, jeszcze innym razem o pełnej poświęcenia działalności szwedzkiego dyplomaty R. Wallenberga na Węgrzech. W samym fakcie nie byłoby zresztą nic złego: popularyzatorzy a nawet tylko „kolporterzy" mogą pełnić rolę pożyteczną. P. Wulf wolał jednak uchodzić w Niemczech za „źródłowego naukowca" i za odkrywcę „rewelacji". Ponieważ chodziło głównie o teksty dokumentów (a te należą do tzw. „dziedziny publicznej"), cytował „źródłowo" ich numery archiwalne (za to bez wzmiankowania pierwodruków). Odnośnie innych materiałów, dawał „referencje" globalne, albo zbite w odnośnikach zbiorowych i „oryginalnie" „selektywnych".

Te same artykuły prasy żydowskiej *(streszczane tutaj z pominięciem wszystkich ustępów szczególnie gwałtownych!)* wracają systematycznie do auto-reklamiarstwa, pod którego znakiem prosperuje rzeczony „przemysł ogłaszania rezultatów cudzych badań" i oświetlają zwłaszcza uporczywie stosowaną przez p. Wulfa metodę sugerowania urojeń: każde „jego" dzieło (do byle broszurki włącznie) wylicza cały łańcuszek nie tytułów naukowych (których nie ma), lecz jego byłych „stanowisk". W prasie żydowskiej, znającej dobrze smutną podszewkę tych „godności", wywołują one u jednych autorów słowa oburzenia („Unzer Wort" Nr 2733, Nr 3558 itd.), u innych „efekt nieodparcie komiczny" („Unzer Wort" Nr 5297). Tytułem małej (i bardzo złagodzonej tutaj!) próbki: b. „Członek Egzekutywy Centralnej Żydowskiej Komisji Historycznej w Polsce", b. „członek Kierownictwa Ośrodka Badań Hist. Żyd. Polskich w Paryżu". W rzeczywistości, w pierwszym wypadku chodziło o to, że w Polsce owa Egzekutywa (składająca się poza tym w całości z nie-komunistów), musiała — *zgodnie z wymaganiami czasu i miejsca!!* — włączyć w swój skład bodaj jednego P.P.R.-owca, popieranego przez tę partię. Włączyła więc nie bez kozery p. Wufla, który — właśnie dlatego, że pozbawiony był jakichkolwiek kwalifikacji fachowych — pełnił rolę figuranta i praktycznie był istotnie nieszkodliwy. W drugim wypadku chodziło o funkcję ściśle administracyjną (która, na domiar, bardzo źle się skończyła!). W żadnym z tych dwóch wypadków nie wykonywał on żadnej pracy naukowej. Inne „godności" są jeszcze bardziej urojone. Dla Niemców natomiast te urojone godności brzmią niby najwyższe rangi i tytuły (coś w rodzaju „Akademii Nauk" itd.). Tym więcej, że „źródłowy" autor nie pomija żadnego pretekstu, by je „dokumentować" nawet... fotografiami. Oto np. w jego „źródłowym" dziele o getcie Warszawy (str. 50) figuruje „źródłowa" fotografia: „autor" i archiwa wydobyte spod gruzów getta Warszawy, w momencie ich wydobycia! Niestety, zdjęcie to było już wiele razy reprodukowane przez innych (przede wszystkim w książkach wydanych w *języku polskim).* Zwykłe porównanie z tamtymi pierwodrukami („Pieśń ujdzie cało", W-wa 1947, wkładka ilustracyjna między str. 48 i 49) wskazuje jednak, że fotografia ogłoszona przez p. Wulfa jest podwójnym fotomontażem: 1) jest to jeden z sześciu fragmentów tej samej sceny i to fragment najbardziej *marginesowy;* 2) nawet z tej (marginesowej!) fotografii odciął p. Wulf i „unicestwił" inne osoby, za to powiększył swoją własną podobiznę. W ten sposób z *figuranta* zmienił siebie w postać centralną i jedyną.

Wszystkie te metody „naukowe", zarówno *przepisywani* przez p. Wulfa badacze, jak inni żydowscy krytycy i publicyści demaskują bez czułości, lecz czynią to wyłącznie na szpaltach prasy wydawanej w języku żydowskim, powstrzymując się do wystąpień „na zewnątrz". Chodzi im o to, że zdyskredytowanie Wulfa w Niemczech może neonazistom posłużyć za pretekst do poddania w wątpliwość ogłaszanych przez niego dokumentów, dotyczących zbrodni hitlerowskich. Tymczasem dokumenty te są *najniewątpliwiej autentyczne a ich publikowanie w Niemczech jest bardzo pożądane.* Znalazłszy się w ten sposób w zastawionej przez siebie pułapce, prasa żydowska sama zbudowała warunki dla rozwoju omawianego „przemysłu wydawania cudzych prac". W miarę jak korzystając z tej sytuacji „przemysłowiec" pozbywał się wszystkich hamulców, prasa żydowska, tracąc cierpliwość usiłuje (ze źle ukrytym zażenowaniem) wyplątać się z własnych sieci. Świadczy o tym obszerny, rzeczowo udokumentowany i b. ostry artykuł pod tytułem „Jak zostaje się autorem książki?" („Unzer Wort", No 5297, 19. XII. 1964), wywołany tym razem „dziełem" p. n. „Yiddish-Gedichte aus den Ghettos 1939-1945" (Arami-Verlag, Berlin 1965).

Mimo że p. Wulf figuruje na okładce — jak zwykle — w charakterze autora, chodzi o garść wierszy, wyjętych z cudzych antologii. Tłumaczenia ich na język niemiecki nie dokonał przy tym wymieniony „autor", lecz (o czym dowiadujemy się z napisu złożonego już dużo mniejszymi czcionkami) p. Iris von Stryk. — „Na czym polega zatem autorstwo p. Wulfa?" Podobnie jak na innych „jego" książkach, mamy i tutaj, nie tylko zwyczajowy „Copyright", ale groźne zastrzeżenie praw autorskich, zabraniające *expressis verbis* wszelkich przedruków, nawet wyjątków, nawet przekładów: „Cynizm, błazeństwo, czy tylko wyrachowany merkantylnie sposób przyklejania własnego 'znaku ochronnego' na cudzych produktach?" pytają autorzy publikacji, z których wyjął owe utwory.

Nie dosyć na tym. Tekst niemieckich tłumaczeń dowodzi, że

(ożywiona niewątpliwie najszlachetniejszymi uczuciami) p. Iris von Stryk nie dokonała ich bezpośrednio z oryginałów, lecz na podstawie „przekładów roboczych", dostarczonych jej przez p. Wulfa. Wynik jest taki, że (chociaż chodzi z reguły o tradycyjne, jednoznaczne zwrotkowce, dalekie od wszelkiego hermetyzmu) akurat najlepsze ich linie utraciły nie tylko zalety oryginałów, ale często również (dosłownie) wszelki sens. W zamian, do tekstu tłumaczonych w ten sposób wierszy, p. Wulf dorzuca lub wplata elementy lub podstawowe, ba — *tytułowe* motywy, „zapożyczone" z innych wierszy (których już oczywiście nie wzmiankuje). Zacytowawszy przykłady (oraz zestawiając teksty oryginałów z ich wersją w „ujęciu" p. Wulfa), autor streszczanego tutaj artykułu podkreśla, że tym razem publikacja p. Wulfa nie jest „imponująca" rozmiarami. Wprost przeciwnie: wśród bardzo licznych już zbiorów i przedruków, wydanych w szeregu języków na ten sam temat, z tymi samymi utworami, właśnie ten jest najuboższy. I — znowu — nie bez przyczyny: zważywszy że chodziło tu o wiersze, nie wystarczyło tylko wyciąć lub przepisać; trzeba było jeszcze aż... tłumaczyć. Ubóstwo wyboru wynagrodził reprodukcjami rysunków powstałych w różnych gettach przedrukowując je, *całymi seriami*, z cudzych antologii, lecz — oczywiście — bez powołania się na pierwodruki. Wszystko to nie przeszkadza, że oprócz reklamowego komunikatu na okładce, sławiącego (dosłownie!) jego „godne wdzięczności zasługi *diese Dokumentation... sichtig gemacht zu haben*", znowu poświęcił sobie stronę z wyliczeniem swoich byłych pseudo-stanowisk, a w samym tekście dał m. in. fotokopię (nie wiadomo w jakim związku) okładki innej swojej książki, oraz fotokopię.... własnego rękopisu, w którym poświęca owe wiersze swojej rodzinie. W cytowanym arykule czytamy jeszcze: „Na jakiej podstawie p. Wulf uważa się za uprawionego, aby dedykować cudze wiersze, wyjęte z obcych antologii i przełożone przez trzecią osobę?". Wyliczywszy szereg innych jeszcze rzeczy, spreparowanych w ramach tej samej książki, cytowany artykuł konkluduje: „Twórczość, dokumenty i różne inne materiały związane z epoką zagłady należą do tzw. dziedziny publicznej i nikt korzystania z nich nie zabrania. Nie oznacza to wszakże, że są one bezpańskie. A świadome, rozmyślne *świętokradztwo*, zawsze, i u wszystkich narodów, uważane było za..." itd.

W ostatnich latach p. Wulf wydał jednak całych pięć dalszych tomów. Poświęcił je „Sztuce i Kulturze w III Rzeszy" *(Sigbert Mohn Verlag)*. Jest tego w sumie około 2500 (!!!) stronic dużego formatu, wyprodukowanych w zawrotnym tempie. Nic więc na pozór dziwnego, że nawet polski emigracyjny tygodnik literacki określił ów zespół grubych tomisk jako „imponujący" i wracał do tego epitetu w szeregu ponawianych notatek, „ech", nawet wywiadów. Autorom tych *polskich* odgłosów radbym jednak zadać bardzo niewinne pytanie: — Czy naprawdę czytali oni owych 2500 stronic, czy też (w najlepszej zresztą intencji, o czym jestem głęboko przekonany) sławią je już na oko

i na wagę, względnie na wiarę... reklamowych tekstów figurujących na obwolutach?

Prawda jest bowiem taka, że w tych pięciu „imponujących" tomach, autorski tekst p. Wulfa nie jest ani zły, ani dobry: on nie istnieje. Na około 2500 stron druku, jest go tam (już wszystkie wstępy razem wziąwszy) stron może 10, może 20. Za to resztę tych 2500 stronic wypełniają niemal w całości *przedruki makulatury hitlerowskiej* i to — z reguły (bo o to tutaj idzie) — hitlerowskich tekstów typu *propagandowego!* „Opracowanie autora" redukuje się do zaopatrywania pojawiających się w tekście nazwisk biografiami danych osób i osobników, przy czym również te życiorysy są — bardzo po prostu! — *przedrukami* z odnośnych encyklopedii, kiedy indziej z kalendarzy, i to bardzo często właśnie z leksykonów i z *Jahrbuch*'ów hitlerowskich (ciągle tytułem... „dokumentacji").

Całość „zdobią" bardzo liczne ilustracje. Jakie? W tomie o „Sztukach plastycznych", około setki (dokładnie 92!) reprodukcji. Czyżby dzieł artystów — ofiar hitleryzmu? Wprost przeciwnie: „arcydzieł" architektów, rzeźbiarzy i malarzy hitlerowców, o tematyce (i wykonaniu) bojowo hitlerowskim. Zespół tych ilustracji, odbitych przez p. Wulfa z głębokim pietyzmem na całym pliku kredowych wkładek (*ibid.*, po str. 256) stanowi — już sam dla siebie! — propagandowy album hitlerowskich *dewocjonalii*, jakiego nie powstydziłaby się żadna oficyna samego Goebbelsa. W tomie o „Muzyce" (po str. 224), podobnie okazała pinakoteka reprodukcji, na podobnie kredowym papierze. Czy może portretów muzyków i kompozytorów pognębionych przez hitleryzm? Przeciwnie: Hitler w ślicznie zadumanej pozie przed biustem muzyka; Hitler z „czarująco" serdecznym uśmiechem słucha ludowego grajka; Hitler przybywający na otwarcie festiwalu; Hitler słuchający koncertu; Hitler podczas inauguracji „domu Wagnera"; Hitler całujący dystyngowanie rączkę damy; Hitler w mundurze, Hitler we fraku, Hitler w deszczowcu; Goebbels w „ujmująco" naturalnej pogawędce, i td. Toż samo w tomie o prasie i o radiu... Po co zresztą wyliczać?

Pozornym argumentem przeciw propagandowo-hitlerowskiej wymowie omawianego wydawnictwa (argumentem, którym p. Wulf nie przestaje się chełpić!) jest okoliczność, że byli producenci tych reprodukowanych przez niego hitlerowskich elukubracji pisują do niego — i to nieraz z góry — listy z prośbami, by ich nie wymieniał. W rzeczywistości „argument" jest najwyraźniej pozorny, a samo (bardzo *uboczne)* zjawisko najpraktyczniej zrozumiałe: zważywszy, że owi byli bardowie, trębacze, dobosze i basiści hitleryzmu pragną obecnie uchodzić za „odwiecznych" demokratów i liberałów, przypominanie ich podpisów pod tekstem tych ich dawnych przemówień, artykułów, instrukcji, rozpraw, motywacji i td. jest im rzeczywiście nie na rękę: *l'inconveniant d'ordre pratique*. Stwierdzenie ich byłej roli i — co za tym idzie — ich „ideowej" formacji, rodowodu, może być więc na prawdę pożyteczne. Czyżby na to trzeba było (na

nowo!) przedrukowywać i (na nowo!) rozpowszechniać ich elukubracje, reprodukować i rozpowszechniać ich rzeźby i obrazy? Czy nie uczyniłaby tego dużo celowiej odpowiednia rozprawa? Różnica jest jednak taka, że „zwykła" rozprawa, licząca np. „tylko" 250 stronic wymagałaby kilku lat i to solidnej pracy. Natomiast takich pięć tomów i takich 2500 stron, jakimi p. Wulf raczy niemieckiego czytelnika, można wyprodukować w kilka tygodni: z tym, że trzy czwarte z tego typu „naukowej" roboty wykonuje nie autor, lecz... maszynistka. Za to niemiecki czytelnik otrzymuje kilka tysięcy stron lektury najautentyczniej... hitlerowskiej.

Nie dosyć i tego: by wszystkie te twory hitlerowskiej inspiracji mogły (na nowo!) dotrzeć nawet pod niemieckie strzechy, zanosi się (jak informują londyńskie „Wiadomości" nr 1017) na „tanie wydanie (tejże) 5-tomowej serii o kulturze w III Rzeszy".

Metodę przedruków hitlerowskiej makulatury pod pretekstem ogłaszania „dokumentów" stosują już od dawna różne grupy neo-nazistowskie i podstęp ten nie raz już wywoływał protesty ze strony organizacji b. uczestników ruchu Oporu. W danym wypadku rzecz jest bardziej złożona: któryż demokratyczny recenzent *niemiecki* ośmieli się podać w wątpliwość wydźwięk tomów podpisanych (na okładce!) przez Żyda, i to przez Żyda, który posiada (na okładce!) aż tak liczne tytuły „badawcze", anty-hitlerowsko „bojowe" i td.? *Toteż w miarę mnożenia się tych tomów, mnożą się również i potęgują (na okładkach!) również owe „tytuły" p. Wulfa.* W tych poprzednich jego „biografiach" (które prasa żyd. określiła — przypominam — jako „wywołujące efekt nieodparcie komiczny"), podawał się on m. in. za b. „członka Żyd. Org. Bojowej", Dawni bojowcy tejże organizacji kiwali na to z uśmieszkiem głowami, ale: — określenie „członek" („Mitglied") jest w końcu tak ogólnikowe, że... Oto jednak, w tych ostatnich jego (okładkowych!) życiorysach stał się p. Wulf aż... „przywódcą żyd. grupy oporu" („Im Krieg *führte* er eine jüdische Widerstandgruppe"). W poprzednich jego życiorysach podawał się on za *członka* egzekutywy Żyd. Kom. Hist. w Polsce" i za *członka* egzekutywy Żyd. Ośrodka Badań w Paryżu". Teraz zaawansował siebie aż na „kierownika", a wzmiankowany „Ośrodek" (którym rzekomo aż „kierował"!) na... „Centralę" (*„Leiter* der *Zentrale* für die Geschichte der polnischen Juden in Paris").

Tutaj winienem Czytelnikowi pewne wyjaśnienie: Referując, w pierwszej części niniejszego artykułu, głosy prasy żydowskiej (mocno je zresztą łagodząc!), uczyniłem to dlatego, ponieważ taki był punkt wyjścia propozycji Redaktora „Kultury" (który prawdopodobnie nie przeczuwał, jaką treść mają owe głosy!). Nie znaczy to jednak, jakobym czynił to z myślą uciekania się do przysłowiowej „odpowiedzialności cytowanych autorów". Przeciwnie: biorę osobiście odpowiedzialność za ścisłość każdego przytoczonego szczegółu. Tym więcej, że (nawiasem mówiąc) jestem chyba najbardziej do tego powołany: To przecież ja

byłem dyrektorem Woj. Żyd. Kom. Hist. w Krakowie i to ja — w rezultacie usilnej interwencji P.P.R. — przyjąłem p. Wulfa do tej komisji. To ja, jako wice-dyrektor Centralnej Ż.K.H. w Polsce, *wbrew oporowi innych kolegów, zarzucających mu absolutny brak kwalifikacji zawodowych,* przeparłem na siłę zaliczenia p. Wulfa do egzekutywy (woląc mieć w niej P.P.R.-owca nieszkodliwego, bo nie-fachowca, więc tylko figuranta). To przecież ja byłem dyrektorem tego paryskiego „Ośrodka Badań", którego obecnie p. Wulf mieni się b. „Leiterem", podnosząc „Ośrodek" do rangi "Centrali". Toż w odniesieniu do fałszowanych przez p. Wulfa fotografii (o których była wzmianka w pierwszej części niniejszego artykułu), i td.

Z tym wszystkim, byłoby absurdem posądzać p. Wulfa o *świadomą* chęć propagowania w Niemczech hitlerowskich tekstów oraz (tak bliskiej jeszcze sercom pewnych niemieckich czytelników) hitlerowskiej *imagerie,* hitlerowskiego *sanctuaire imaginaire.* Czym zatem wytłumaczyć ową (nie wiem: psychologiczną, socjologiczną, koniunkturalną, czy komercjalną) zagadkę?

Michał BORWICZ

Polscy przyjaciele Szewczenki

W grudniu ubiegłego roku ukazała się w tłumaczeniu polskim praca kandydata nauk historycznych W. A. Djakowa pod powyższym tytułem.

Niezależnie od zastrzeżeń, o których mowa niżej, jest to najpełniejsze studium o polskich znajomych Szewczenki i o jego związkach z naszymi wygnańcami politycznymi. Znano od lat szereg nazwisk jego polskich przyjaciół, niektórych dość wybitnych (Zygmunt Sierakowski, Edward Żeligowski (Antoni Sowa), Bronisław Zaleski, Spasowicz), ale Djakow rozszerzył wydatnie ten krąg. Badania archiwalne, idące po śladach nazwisk wymienionych w korespondencji poety-malarza, pozwoliły autorowi przynieść nowe dane o skazańcach politycznych ze sprawy Szymona Konarskiego i lat 1846-1848, których wielki Ukrainiec zachował we wdzięcznej pamięci, głów-

W. A. Djakow: Polscy przyjaciele Tarasa Szewczenki, Warszawa, Książka i Wiedza, 1964, s. 172 + 4nlb.

nie z lat zesłania. Ponad 30 nazwisk Polaków, druhów Szewczenki z Wilna, Petersburga, przymusowej służby wojskowej i ostatnich lat wolności w stolicy caratu, świadczą o żywych więzach przyjaźni.

Dalszą zasługą Djakowa jest zwrócenie uwagi na pogłębiającą się u Szewczenki znajomość języka i literatury polskiej. Okres wileński (1829-1830), lata kijowskie (ciekawe świadectwo pisarza ukraińskiego Atanazego Czużbińskiego o silnym wpływie lektury „Dziadów"), rozczytywanie się w polskich książkach (m. in. „Estetyka" Libelta) dostarczanych na wygnaniu przez kolegów-zesłańców — pozwalają lepiej naświetlić wpływ polskiej myśli na światopogląd pisarza.

Trzecim wartościowym osiągnięciem książki jest podkreślenie uczestnictwa Szewczenki w działalności niepodległościowej, która w latach po śmierci Mikołaja I-go łączyła rozbieżne (jeśli nie przeciwstawne) dążenia Polaków, Rosjan i Ukraińców, marzących, w jak najidealniejszym odosobnieniu szczepowym, o polepszeniu bytu narodowego. Djakow przynosi dowody, że w latach 1857-1861 Szewczenko był zorientowany w działalności podziemnej Zygmunta Sierakowskiego, niezależnie od polskich przygotowań powstańczych, jednego z promotorów rosyjskiej „Ziemi i Woli". Ponadto Djakow wiąże nazwisko Szewczenki z drugim wybitnym działaczem powstania styczniowego. Obok kółka rewolucyjnego Jarosława Dąbrowskiego, które grupowało wyłącznie wojskowych istniało drugie, „cywilne", o charakterze mieszanym, Zygmunta Padlewskiego; brali w nim udział m. in. Sierakowski, Spasowicz i Szewczenko.

Po doskonałym drugim rozdziale „Przyjaciół poznajemy w biedzie", trzeci „We wspólnym szeregu bojowników o wolność", świadomie zamazujący antagonizm rosyjsko-ukraiński, ukazuje zamierzenie historyka. Jak szydło z worka wychodzi ów cel w rozdziale końcowym „Dzieła Szewczenki w walce o przyjaźń między narodami". Wśród pokaźnej liczby polskich tłumaczy Szewczenki nie ma oczywiście wzmianki o jednym z najlepszych, Łobodowskim. Również ataki na „sanację", na nacjonalistów ukraińskich i polskich, na emigrantów obu narodów były ceną, którą musiał zapłacić historyk.

Niemniej, wiele można skorzystać z jego wywodów nacechowanych wyraźnie dobrą wolą.

Fakty ustalone przez Djakowa a także pokaźna wiązka jego sugestyj kierują naszą uwagę — ponad omawianą książką — ku zasadniczemu pytaniu: jaki był stosunek Szewczenki do Polski i Polaków? Ten niełatwy problem naświetlano zwykle z subiektywnego punktu widzenia, w zależności od orientacji politycznej Ukraińców, Rosjan, Polaków. Najczęściej Ukraińcy (o tych głównie idzie) z lewego brzegu Dniepru, wychowani przez wieki w inspirowanej przez Rosję nienawiści religijno-politycznej do „polskich panów", uważali Szewczenkę za wroga Polski. Uczeni z prawobrzeżnej Ukrainy, o ile nie podlegali inspiracjom z Berlina lub Pragi, zajmowali stanowisko bardziej obiektywne. Jak zawsze, szowinizm i ciasny nacjonalizm utrudniały odpowiedź.

Djakow, w myśl obowiązującej go wykładni, podkreśla nienawiść Szewczenki do Polaków; „jednak nienawiść ta nie jest skierowana przeciwko narodowi polskiemu lecz tylko przeciwko polskim panom, gnębiącym ukraińskich chłopów i utrzymującym w jarzmie olbrzymią część Ukrainy" (s. 27).

Przede wszystkim trzeba zaznaczyć, że gnębili chłopa nie tylko polscy panowie lecz i rosyjscy a nawet ukraińscy, wywodzący się z rodzin dawnej starszyzny kozackiej. O nienawiści nie decydowała stosunkowo większa, rzucająca się w oczy, własność polska, lecz odmienne wyznanie, będące kością niezgody dla cerkwi prawosławnej. Po drugie nie można zapominać, że przeważająca większość polskich przyjaciół Szewczenki to byli „panowie", często właściciele pokaźnych majątków ziemskich; stanowili oni aktywny element ruchu wyzwoleńczego o charakterze zarówno narodowym jak i rewolucyjnym w dziedzinie społecznej. Fakt że byli oni ożywieni poglądami szczerze demokratycznymi pozwolił im okazywać przyjaźń niedawno wykupionemu chłopu pańszczyźnianemu. Przytaczają oni lojalnie wypowiedzi Szewczenki, które odnoszą się w głównej mierze do zachłannych właścicieli „martwych dusz". Oto np. wspomnienie Kaspra Maleckiego, powstańca z 1863 r. i emigranta: „Szewczenko lubił mówić o prześladowaniach chłopów przez polską szlachtę, której nienawidził. Bijąc się w piersi, powtarzał przy tym: „Oto macie na mnie żywy przykład" (s. 121).

Lecz ograniczenie niechęci poety do pewnej kategorii słusznie oskarżanej klasy społecznej nie tłumaczy dostatecznie jego postawy ideowej. Poeta szukał uparcie sprawców antagonizmu polsko-ukraińskiego i znalazł go w duchowieństwie. Początkowo byli nimi wyłącznie „Księża, jezuici" („Hajdamacy", 1841 r.). Z czasem, na zesłaniu orenburskim, podtrzymując ów zarzut pod adresem twórców unii brzeskiej, Szewczenko zabiegał o porozumienie polsko-ukraińskie przez nawrót do przeszłości:

Kiedyśmy byli Kozakami
A unia nie istniała jeszcze,
Nie znaliśmy ni trosk, ni nieszczęść
W przyjaźni żyjąc z Polakami...

...Aż tu z imieniem Zbawiciela
Wtargnęli księża i pożogę
Wzniecili w naszym cichym raju.
I morze krwi i łez olbrzymie
Wezbrało. I w Chrystusa imię
Sieroty w mękach umierają...
...Krwawym
Żniwem oprawca się lubuje,
A ksiądz w szalonej swojej mowie
Krzyczy: Te Deum! Alleluja!...

Tak nas, Polaku, druhu, bracie,
Niesyci księża i magnaci
Skłócili, rozdzielili... Przecie

Do dziś by wspólny los nam świecił.
Dłoń podaj Kozakowi znowu
I swoje serce daj mu czyste,
Aby z imieniem Chrystusowym
Nasz dawny cichy raj zmartwychwstał!

(tłum. Eug. Żytomirski)

Lata zesłania wpłynęły na pogłębienie tych poglądów. Tak np. patrząc na obraz Briułłowa „Oblężenie Pskowa", wskazując na scenę przedstawiającą Rosjan i Polaków idących ze świętymi sztandarami i krzyżami na śmiertelny bój przeciw sobie, poeta potępił surowo fanatyzm religijny *obu* stron: „Ileż w tym myśli zawartych. W imię Chrystusa i jego sławy jedni i drudzy mordują się nawzajem. Strach i przerażenie ogarnia na myśl, ile krwi przelano, ile zła uczyniono i wszystko to, jak myśleli, myślą i teraz nadal w to wierzą — w imię Chrystusa!" (s. 119).

Szewczenko zdawał sobie sprawę z nieszczęścia, którym był spór polsko-ukraiński. Julian Belina-Kędrzycki, zapomniany poeta i powstaniec 1863 r., przytacza jego wypowiedź jeszcze sprzed zesłania: „Wszystko przepadło! Biliśmy się, panie bracie, zadręczali nawzajem i doigrali wspólnej niewoli!" (s. 34). Wniosek, który zapamiętał z rozmowy z autorem „Hajdamaków" inny Polak, Staniewicz, najbliższy współpracownik petersburski Zygmunta Sierakowskiego, ukazywał jasno groźbę imperializmu rosyjskiego: „Zawsze powiadał, że Polski i Ukrainy jeden wróg wspólny — moskal" (s. 37).

Pod tym względem poglądy Szewczenki nie uległy zmianie. W posłowiu do „Hajdamaków" stwierdzał: „Serce boli, lecz opowiadać trzeba, niech baczą synowie i wnuki, jak mylili się ich ojcowie, niech znowu się bratają ze swoimi wrogami" (s. 28). Zdania o pomyłce ojców Szewczenko nie cofnął, natomiast, obcując w dalekim Orenburgu z Polakami gnębionymi przez tego samego nieprzyjaciela, umiał wskazać prawdziwe niebezpieczeństwo grożące obu narodom.

Dziś, gdy wspólni wrogowie podsycają świadomie spór polsko-ukraiński, warto pamiętać o ciągle żywym wskazaniu poety, który, głosząc porozumienie polsko-ukraińskie, wyciągał pozytywny wniosek z błędów przeszłości.

Zygmunt MARKIEWICZ

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia:
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Listy do Redakcji

Londyn, 10. 10. 1965

Drogi Panie Redaktorze,

W nrze październikowym „Kultury" pojawił się list Dr. Tymona Terleckiego polemizujący z notatką, która ukazała się w nrze wrześniowym redagowanego przeze mnie miesięcznika „Kontynenty" (Londyn). Czytelnicy „Kultury", obawiam się, nie znają może tła całej sprawy i dlatego szkoda, że list Dr. Terleckiego nie został przesłany do „Kontynentów", gdzie by się pojawił w całej rozciągłości. Czytelnikom „Kultury", którzy chcieliby się zapoznać z meritum sprawy polecam przeczytanie notatki w nrze. wrześniowym „Kontynentów": niepodpisana notatka była wyrazem opinii redakcji. Istotnie, uprzedzała ona pojawienie się książki, a zatem II tomu „Literatury" redagowanej przez Dr. Terleckiego i nie mogło być inaczej, albowiem zabieg z dodaniem uwag p. Grocholskiego do szkicu Dr Lidii Ciołkoszowej dokonany był w czasie druku książki, ale nie będzie już śladu tej interwencji redaktorskiej w wydanym tomie.

Notatka w nrze wrześniowym „Kontynentów" oraz recenzja t. I. „Literatury" na łamach redagowanego przeze mnie miesięcznika nie były cząstką żadnej „systematycznej kampanii' przeciw pracy redagowanej przez Dr. Terleckiego, były tylko krytyką obyczajów niewskazanych i niepraktykowanych. Jeżeli wytykamy — i słusznie — Polsce współczesnej przejawy „kumoterstwa", cenzury, niedozwolonych praktyk redaktorskich i td. to musimy przede wszystkim oczyścić nasze własne podwórko emigracyjne z tego rodzaju praktyk.

Dr Terlecki poświęca całej sprawie aż 8 punktów skarg i wyjaśnień. W rzeczywistości chodzi o odpowiedź na dwa pytania:

1. Grupa polityczna NiD miała wszelkie prawo do ogłoszenia szkicu o własnej działalności publistycznej. Dlaczego jednak szkic ten został wstawiony bez porozumienia się z Dr Ciołkoszową do jej szkicu o politycznej publicystyce emigracyjnej?

2. Dlaczego Zw. Pisarzy w Londynie odmówił rozpatrzenia sprawy Ciołkoszowa-Terlecki przed sądem koleżeńskim?

Skarżenie się na „jarmark próżności" nie przystoi chyba pisarzowi, któremu poświęcono najwięcej miejsca ze wszystkich autorów polskich na emigracji w szkicu J. Bujnowskiego o eseju w t. I. „Literatury". Jest powiedzenie angielskie, które mówi że „człowiek siedzący w szklarni nie powinien rzucać kamieniami". Wydaje mi się, że to porzekadło angielskie oddaje wcale ściśle sytuację redaktora pracy, która powinna być dalej przedmiotem krytycznej analizy, ażeby ci co w przyszłości będą redagowali opracowania o literaturze emigracyjnej ustrzegli się rażących błędów olbrzymiej, dwutomowej pracy, dalekiej od rzeczowości i sprawiedliwego wymiaru sądu.

Serdeczne wyrazy łączę

Zbigniew GRABOWSKI

Freiburg, 12. 9. 1965

Szanowny Panie Redaktorze,

Bardzo poruszyły mnie „wtrącenia" p. J. Mackiewicza w ostatnim numerze „Kultury". Pragnę w związku z tym stwierdzić, że niestety mogły się zdarzać rozmaite głupie i okrutne zabawy à la cytowana przez p. Mackiewicza zabawa z lisem. Podobne rzeczy są zresztą nagminne w Hiszpanii, Ameryce Południowej, czy też na bliskim Wschodzie (choć w innych formach), Ale jeśli p. Mackiewicz nie widzi różnicy między tym, a zabawą SS w Oświęcimiu to muszę pogratulować mu wielkiej i nieporównanej „bystrości umysłowej". Jeśli zaś chodzi o naszych ziemian na kresach, to mimo oszczerstw komunistów i lisów Mackiewicza możemy, a właściwie musimy być z nich dumni.

Druga sprawa: Może p. Mackiewicz będzie łaskaw powiedzieć konkretnie jaki to „prałat" usprawiedliwiał gwałcenie i mordowanie Niemek. Jestem sam muzułmaninem, nie katolikiem, polskim Tatarem spod Oszmiany, ale w coś takiego to nie wierzę. Po drugie choć w czasie wojny Goebbels, a dziś tzw. przesiedleńcy i „Deutsche Soldaten Zeitung" ciągle o tym mówią to mogę tylko powiedzieć z tego co sam widziałem po ucieczce w r. r. 1945 na Mazury, że *Niemek nikt nie potrzebował gwałcić.* Same się kładły i leciały na mężczyzn bez względu na wiek i narodowość lecz ze względu na możliwość otrzymania tytoniu. Czy było inaczej w strefach zachodnich tego nie wiem. Ale na wschodzie (by dodać otuchy mężom) mogły sobie pozwolić na opowiastki o gwałtach, bo nikt tego nie mógł obiektywnie ocenić.

Wraz z wyrazami szacunku

Mustafa KARAJEWICZ

◆

Jarraville-Melbourne, 8 września 1965

Szanowny Panie Redaktorze,

Kocioł garnkowi przygania, a sam smoli. To przysłowie można w zupełności zastosować do listu p. Komara („Kultura" Nr 6/212 z 1965 r.). Komar wytyka p. Zbyszewskiemu niewłaściwe zastępowanie słowa „jak" przez słowo „co" w jego artykule w Nr 5/211 z 65 r. „Kultury".

A tymczasem p. Komar pisze w tym liście tak:

1) „Do przesadnych purystów językowych *się* nie zaliczam..."
2) „Tymczasem obecnie coraz częściej *się* spotyka..."
3) „Skąd *się* to wzięło..."

A powyższe zdania powinny brzmieć:

1) „Do przesadnych purystów językowych nie zaliczam *się*..."
2) „Tymczasem obecnie coraz częściej spotyka *się*..."
3) „Skąd to wzięło *się*..."

W całym liście p. Komar użył w trzech zdaniach „się" i we wszystkich zdaniach źle.

Właśnie są pewne formy przyjęte od dawna, które zmian nie potrzebują, do których należy powyższy wypadek tj., że „*się*" stawia się po czasowniku, jak to uczono w szkołach.

Ładnie wyglądałyby nasze wypracowania z takimi błędami!

Zostawmy język Wiecha w książkach Wiecha.

Nie rozumiem co miał na celu list p. Komara? Bo gdyby p. Komar zakwestionował treść artykułu to byłoby zrozumiałe, ale wyciągnąć z 20-stronicowego elaboratu zastępowanie drobnych słów, wtedy gdy samemu jest się nie bez grzechu, to jest dla mnie czepianiem się.

Zamiast cieszyć się, że jeszcze są tacy pisarze lub publicyści jak. p. Zbyszewski, Mieroszewski, Kozłowski, Jordan i inni, którzy zasilają swoimi doskonałymi artykułami nasze emigracyjne pisma, bo coraz mniej mamy już ich prac na emigracji — to p. Komar pisze do „Kultury" list otwarty, który dla treści i jakości artykułu nie ma żadnego znaczenia, tylko zabiera miejsce w „Kulturze" i czas czytelnikowi. Czy nie byłoby właściwej aby p. Komar list ten z przyjacielskim spostrzeżeniem wysłał bezpośrednio do p. Zbyszewskiego?

Z poważaniem

Jadwiga LINDNEROWA

◆

Mulhouse, 6. 10. 65

Szanowni Panowie.

W załączeniu przesyłam Panom artykuł wyciągnięty z niemieckiego tygodnika Der Spiegel, który wyszedł w dniu 6. 10. 65 pod numerem bieżącym 41.

Powyższy artykuł ujawnia akcję wysyłania wszystkich uchodźców, którzy zostają przychwytani przez niemieckie patrole graniczne do swych rodzimych krajów, o ile nie udowodnią, że zostali prześladowani przez reżym komunistyczny i nie zasługują na statut uchodźcy politycznego.

Nie ulega wątpliwości, że władze niemieckie zdają sobie z tego sprawę, że każdy odstawiony do swego kraju uchodźca wyląduje w więzieniu. Ja otrzymałem wyrok dwa i pół roku. Ci którzy uciekali z kraju i nosili przy sobie dowód osobisty lub książeczkę wojskową otrzymali trzy lata za granicę i dwa lata za dowód ale z reguły dawano w takim wypadku wyrok opiewający na cztery lata więzienia.

Niemcy wysyłają ludzi z powrotem, ponieważ tłumaczą, że ci uchodźcy przyszli wyłącznie z pobudek materialnych, czyli w poszukiwaniu pracy. Nie wolno zapominać, że u nich brak około 700.000 ludzi do pracy ale to nie przeszkadza im, by otrzymaną siłą roboczą wysyłać z powrotem.

Szanowni Panowie. Wysyłam ten artykuł z nadzieją, że Panowie będą mogli cośkolwiek uczynić, a bynajmniej drogą propagandową, by powstrzymać ten handel żywym towarem. O ile się nie mylę jest w strasburskim parlamencie komisja dla ochrony praw człowieka. Być może, że można by między innymi tych ludzi tym niemieckim postępowaniem zainteresować.

Załączam wyrazy szacunku i poważania.

Henryk NOCH

Szanowny Panie Redaktorze,

Londyn, wrzesień 1965.

List p. St. Żochowskiego (Nr 9/215 „Kultury") był naturalną konsekwencją arcypożytecznej pracy p. Cz. Dobka i wyciągnięciem logicznego wniosku.

Chciałbym w związku z tym przypomnieć, że chyba w r. 1950 wydany był dekret o powołaniu sądów obywatelskich, że sądy te działały, niezawsze doprowadzając do końca rozpoczęte już nawet sprawy.

O konieczności podjęcia zdecydowanej akcji w zakresie przez p. Żochowskiego wskazanym poświadczyć może m. in. znany na terenie W. Brytanii wypadek, w którym prezes zarządu, ukarany (łagodnie) naganą za działalność sprzeczną z ogólnie uznawanymi zasadami postępowania i interesem organizacji społecznej, ustępując w końcu kadencji, nie tylko został do władz głównych wybrany, ale wybrani zostali również wskazani przez niego właśnie — jego następca i niektórzy inni członkowie nowego zarządu tej organizacji. Przypadkowo nie jest to tylko wewnętrzna sprawa tej organizacji, ale problem ogólnoemigracyjny i społeczny. Sądy obywatelskie miałyby w podobnych wypadkach najwięcej do powiedzenia.

A w ogóle — czas by już największy otrząsnąć się z tego marazmu, tej obojętności wobec przejawów krzewiącego się zła w naszym życiu społecznym, tej „znieczulicy" — walnie przyczyniających się do pogłębienia rozbicia i rozkładu, obalających podstawowe normy życia społecznoorganizacyjnego, zniechęcających do czynnego w nim udziału ludzi wartościowych i pożytecznych, pogłębiających brak zaufania — do wszystkich i wszystkiego.

J. OBERLEITNER

◆

Dn. 15 października 1965

Do Redakcji „Kultury"

Przykro mi, jako komuniście, zwracać się do pisma zwalczającego nas na całej linii, ale skoro inaczej się nie da — to dla dobra sprawy trzeba.

Poruszono na Waszych łamach sprawę tajnych sądów kapturowych w Polsce. Otóż nie wiadomo dlaczego ci, co w tych sądach brali udział i za to mieli być ukarani, nadal sądzą, oskarżają, a nawet zajmują wysokie stanowiska.

Sądy te odbywały się w więzieniu na Mokotowie. Skazywano za nic na śmierć i dożywocie byłych Akowców i wszystkich, których można było nazwać wrogami, albo niewygodnymi dla rządu. Wyroki śmierci wykonywano w więzieniu na miejscu.

Wiem, że z sędziów, którzy brali udział w tej parodii sądów — sądzą teraz: sędzia Rubinow, sędzia Sabina Pawelec (vide „Przekrój" z 3. X. 65 — artykuł Wandy Falkowskiej), którzy nadal są znani z bardzo surowych wyroków. To dla nas hańba! Czy nie ma już innych o czystych rękach i sumieniu?

A dlaczego jest nadal Generalnym Prokuratorem pan Kosztirko — co był w tym haniebnym okresie stalinowskim dyrektorem departamentu, który nadzorował te sądy i urzędy bezpieczeństwa, które te procesy przygotowywały? Czy też nie mamy lepszego?

Wszyscy się po cichu dziwią, że także nic nie zrobiła Rada Adwokacka takiemu mecenasowi Maślance i innym co bronili fikcyjnie, z urzędu w sprawach sądów kapturowych — po to, żeby za to móc od nieszczęsnych rodzin brać drugi raz duże pieniądze. Wiadomo, że jak im się nie dało kilkuset tysięcy — to kara śmierci była niechybna. Jak to nazwać?

Dlaczego dalej pracuje w Generalnej Prokuraturze na wysokim stanowisku prokurator Paulina Kern, która w czasie tych tajnych rozpraw żądała za nic kary śmierci i brała udział przy wykonywaniu wyroków na miejscu?

Czy wiadomo jakie były wyniki śledztwa Ministerstwa Sprawiedliwości przeciw tym sędziom, prokuratorom i adwokatom? Czy ich uniewinniono, bo się tłumaczyli jak hitlerowcy, że mordowali na rozkaz?

Nic dziwnego, że umorzono czy też odłożono do archiwum bez zakończenia sprawy przeciw pracownikom urzędu bezpieczeństwa, którzy mordowali ludzi w czasie śledztwa. Czy ci też dalej pracują, bo lepszych nie ma?

Żadna idea nie tłumaczy mordowania skrytobójczo niewinnych, a co dopiero idea komunistyczna.

U nas o to zapytać, nam komunistom, nie wolno — może Wasza Redakcja może?

PRAWDZIWY KOMUNISTA

◆

Montreal, dn. 3 września 1965

Szanowny Panie Redaktorze,

Pani Ludwika Ciechanowiecka pisze w „Kulturze" (Nr 213-214). str. 182, że Tadeusz Dołęga-Mostowicz zginął od bomby niemieckiej.

Lepiej poinformowany wydaje mi się p. Zbigniew Mitzner, który w wybitnie demagogicznym wstępie do książki pt. „Nikodem Dyzma" (Czytelnik, 1956) pisze: „Tadeusz Dołęga Mostowicz został zmobilizowany do wojska w stopniu kaprala. Osłaniał ze swoim oddziałem ucieczkę sanacyjnych dygnitarzy, Dyzmów i przyjaciół Dyzmy. Sam nie chciał uciec. Poległ". „Twórca Dyzmy umarł przywalony resztkami domku z kart". Łatwo się domyśleć dlaczego p. Mitzner stara się raczej ukryć niż wyjaśnić okoliczności śmierci Mostowicza. Zimą roku 1939/40 w jedynym legalnym dzienniku polskim ukazującym się w Wilnie („Kurier Wileński"?) czytałem obszerne wspomnienie pośmiertne pt. „Życie i śmierć kaprala Mostowicza". Autor, jeśli pamiętam, naoczny świadek śmierci Tadeusza Dołęgi Mostowicza opisywał, że Mostowicz został zabity w czasie rozbrajania jego oddziału przez jednostki armii sowieckiej, w okolicznościach podobnych do opisanych przez Ryszarda Kiersnowskiego w książce pt. „Młodość sercem pisana". Mostowicz posiadał rewolwer, który nie dość szybko rzucił na ziemię.

Ponieważ nigdy nie spotkałem się ze sprostowaniem ani z bardziej wiarogodną i szczegółową wersją śmierci Tadeusza Dołęgi Mostowicza, należy przyjąć, że poległ on od kuli i dopiero po śmierci został przywalony kłamstwami panów Mitznerów.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

A. TYMIŃSKI

Paryż, dn. 16 września 1965

Szanowny Panie Redaktorze,

Pragnę dorzucić parę szczegółów do wspomnienia poświęconego Aleksandrowi Kawałkowskiemu w Nr 9/215 „Kultury".

Znam z własnego opowiadania śp. A. Kawałkowskiego okoliczności powierzenia gen. Sikorskiemu dowództwa nad Wojskiem Polskim we Francji przez amb. Łukasiewicza i z relacji tej zapamiętałem dokładnie, że inicjatywa i działania w tym kierunku podjęte były przez A. Kawałkowskiego zgodnie z jego przyjacielem, Wiesławem Dąbrowskim, urzędnikiem ambasady w Paryżu, i że obaj oni, wspólnie, udali się w tej sprawie do gen Sikorskiego i wspólnie odbyli z nim rozmowę w Hôtel du Danube.

Na skutek tej ich interwencji i w wyniku wywołanej przez nich wizyty generała Sikorskiego u ambasadora Łukasiewicza, mógł gen. Sikorski stawić się nazajutrz na umówione uprzednio spotkanie z gen. Gamelin już w charakterze dowódcy wojska polskiego we Francji, z polskiej a nie francuskiej nominacji, mając w ręku odnośne pismo (bodaj rulon?) i oznajmiając (podobno) ten swój tytuł zaraz na wstępie spotkania swemu rozmówcy.

Ta wspólna śp. Al. Kawałkowskiego i śp. Wiesława Dąbrowskiego interwencja dokonana była w imię konieczności zachowania polskiej niezależności w zwierzchnictwie nad polskim wojskiem zagranicą. Tak też była ona rozumiana — i przyjęta — przez gen. Sikorskiego.

Ile z tej niezależności umiano zachować i ustrzec następnie, to już inna sprawa... Nie odbiera to jednak znaczenia i zasługi działaniu podjętemu wówczas przez Kawałkowskiego i Dąbrowskiego, tym bardziej więc godzi się, by oba ich nazwiska utrwalone były w tym rozdziale naszej historii.

Łączę serdeczne pozdrowienia

Władysław ŻELEŃSKI

◆

Londyn, 14. 10 1965 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Ufam, że pozwoli mi Pan odpowiedzieć w swym piśmie na list p. Tymona Terleckiego w poprzednim numerze „Kultury".

1. P. Terlecki pominął sprawę najistotniejszą, a właściwie jedyną istotną w zatargu pomiędzy nami. Sprowadza się ona do zasadniczego zagadnienia, czy redaktor pracy zbiorowej ma prawo dokonywać przeróbek (poza konieczną adiustacją) w pracach w jej skład wchodzących — bez wiedzy i zgody autorów. Twierdzę, że odpowiedź na to pytanie może być tylko jedna: nie ma prawa.

Na prośbę p. Terleckiego jako redaktora zamierzonej książki o literaturze polskiej na obczyźnie zgodziłam się napisać rozdział o publicystyce emigracyjnej. Rozdział ten wszedł w skład II tomu książki. W grudniu ubiegłego roku niespodziewanie odkryłam w wydrukowanym już tekście mojego opracowania wstawione cztery strony tekstu, pióra p. Stanisława Grocholskiego. Tekst ten został wstawiony przez p. Terleckiego bez mojej wiedzy i zgody i gdyby nie przypadek, dowiedziałabym się o wstawce dopiero po pojawieniu się książki na półkach księgarskich, kiedy to byłabym zupełnie bezsilna wobec operacji, dokonanej na mej rozprawie.

P. Terlecki nie tylko nie zawiadomił mnie o swym zamiarze „uzupełnienia" przez inną osobę mego tekstu, nie tylko nie poinformował mnie o dokonanej zmianie, ale ją przede mną zataił. Wynika to z faktów następujących: a) p. Terlecki przesłał mi do korekty odbitki w szpaltach bez wstawki p. Grocholskiego; b) odmówił mi wglądu w rewizję pagin, zasłaniając się brakiem na to czasu; c) w korespondencji ze mną ani słowem nie wspomniał o dokonanej zmianie, co gorzej, w liście z dnia 26 października ub. r. usiłował wprowadzić mnie w błąd. Mianowicie, na skutek jakiegoś nieporozumienia w drukarni kilkanaście wierszy z mej pracy weszło do pracy p. Kowalika (jak się potem okazało, stało się to w konsekwencji przerabiania przez p. Terleckiego mojego tekstu). Powiadomiona przez drukarnię i przekonana, że zaszła tu po prostu omyłka przy łamaniu, zwróciłam się do p. Terleckiego z prośbą o jej naprawienie. Jakoż p. Terlecki zawiadomił mnie, że stało się po mej myśli, a jednocześnie napisał: „Nie mam żadnego powodu i interesu ani przenosić tekstu Pani do cudzej pracy, ani włączać wstawki kogoś innego do opracowania Pani. Przecież to nie miałoby żadnego sensu, nikomu i niczemu by nie służyło". To zapewnienie dał mi p. Terlecki już po samowolnym dokonaniu zmiany w mej rozprawie, kiedy sporządzona przez niego makieta z wstawionym do niej tekstem p. Grocholskiego była już od tygodni w drukarni! Zatajenie przede mną przeróbki mego tekstu da się wytłumaczyć tylko tym, że p. Terlecki, wiedząc z góry iż nie zgodzę się na żadną wstawkę do mej pracy, chciał mnie postawić wobec dokonanego faktu. Twierdzę kategorycznie, że p. Terlecki jako redaktor książki nie miał prawa do przeprowadzenia — bez mej wiedzy i zgody — przeróbki mego opracowania, a mianowicie wstawienia do niej tekstu, napisanego przez inną osobę oraz, że dokonana na moim tekście operacja była nadużyciem jego uprawnień jako redaktora w stosunku do mnie jako autora. Nie ma tu żadnej analogii z wspomnianymi przez p. Terleckiego tekstami p. Zofii Kozarynowej i p. Jana Ostrowskiego, ponieważ p. Terlecki działał w tym wypadku w porozumieniu z autorami.

Po wykryciu wyżej opisanego nadużycia w stosunku do mnie popełnionego, zwróciłam się w dniu 7 grudnia ub. r. do p. Terleckiego jako redaktora i do p. Bolesława Świderskiego jako wydawcy książki o usunięcie tekstu p. Grocholskiego z mej pracy. Rzeczywiście zagroziłam skierowaniem sprawy na drogę sądową o „injunction"... przecież nie mogłam czekać bezczynnie, aż książka znajdzie się w obiegu. Jednakże akcja sądowa okazała się zbyteczna. P. Świderski od razu uznał słuszność mego żądania i zapewnił mnie, że wstawkę p. Grocholskiego usunie z mojej rozprawy, nawet gdyby p. Terlecki miał przeciw temu zastrzeżenia. Wobec tego, że odnośny arkusz (str. 289 — 304) był już wydrukowany, trzeba było go na nowo przełamać i wydrukować; udało się tego dokonać dzięki zrozumieniu sytuacji przez p. Pawła Zarembę, dyrektora drukarni „Gryf". Jak stąd widać, tak wydawca jak i dyrektor drukarni zachowali się w stosunku do mnie bez zarzutu. Natomiast p. Terlecki jeszcze i teraz (w liście do „Kultury") broni zastosowanej do mnie praktyki redakcyjnej jako rzekomo uzasadnionej i stwierdza, że tylko pod groźbą skargi sądowej zgodził się na spełnienie mych żądań. Oto więc prawdziwa treść konfliktu między mną a p. Terleckim. Uważałam i uważam, że należała mi się satysfakcja ze strony p. Terleckiego, a ponieważ sprawa, jako dotycząca uprawnień redaktora w stosunku do autorów ma zasadnicze znaczenie, usiłowałam ją skierować do sądu Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, tym bardziej, że Związek

„Literaturę Polską na Obczyźnie" firmuje. Nie moja wina, że zarząd Związku do takiego załatwienia sprawy nie dopuścił. Mogła ona być zamknięta w ramach sądu związkowego, lecz w konsekwencji stanowiska zarządu weszła na forum publiczne. Zdaniem p. Terleckiego sprawa została zamknięta z górą pół roku temu i nie ma w niej już nic do zrobienia. Moim zdaniem jest inaczej, a do zrobienia pozostało: ujawnić niedopuszczalną metodę, zastosowaną przez p. Terleckiego, w nadziei, że jej ujawnienie uchroni na przyszłość innych autorów przed tego typu niespodziankami.

2. A teraz co do treści wstawki p. Grocholskiego. Wstawka ta kłóci się całkowicie z moją pracą zarówno jeśli chodzi o jej temat jak i o sposób opracowania. Nie ma tu także żadnej analogii z wspomnianymi przez p. Terleckiego kontrastowymi opracowaniami o prozie beletrystycznej prof. Z. Markiewicza i p. M. Sambora. Wstawka p. Grocholskiego nie jest opracowaniem publicystyki emigracyjnej, dokonanym z innego punktu widzenia niż moje opracowanie, jest to natomiast monografia pewnego ugrupowania politycznego. Nie jest też ona żadnym uzupełnieniem mej pracy, jest pracą na inny temat. W rozprawie mej ugrupowałam publicystykę emigracyjną wedle rozpatrywanych przez nią problemów, a nie wedle stronnictw politycznych. Oto powód, dla którego w żadnym wypadku nie mogłabym zgodzić się na wstawienie tekstu p. Grocholskiego do mego tekstu, ani na jakiekolwiek jego powiązanie z mym tekstem, nawet gdyby p. Terlecki we właściwym czasie i we właściwej formie zwrócił się do mnie z taką propozycją. Nie mogłabym również dać swej zgody ze względów metodologicznych. Gdy przystępowałam do pisania „Publicystyki", ustaliliśmy wspólnie z p. Terleckim, że w pracy mej uwzględnię wyłącznie publicystykę w języku polskim, pominę zaś publikacje w językach obcych, ponieważ miały one być omówione w pracach innych autorów. Ustaliliśmy również wspólnie, że uchwały, oświadczenia i odezwy stronnictw politycznych nie są materiałem, kwalifikującym się pod rubrykę publicystyki. Zasad tych trzymałam się w mej pracy od początku do końca. Natomiast praca p. Grocholskiego opiera się częściowo właśnie na tych materiałach, za zgodą p. Terleckiego z góry wyeliminowanych z zasięgu opracowania na temat publicystyki. Jak nieprzemyślane było to rzekome uzupełnianie mej pracy, świadczy fakt, że p. Grocholski cytuje (str. 300 — 301) ten sam ustęp z rozprawy p. Zbigniewa Jordana o federalizmie, który w swym opracowaniu przytoczyłam na str. 279.

3. P. Terlecki postawił mi zarzut, jakobym powodowana stronniczością pominęła całe jedno ugrupowanie polityczne — Polski Ruch Wolnościowy „Niepodległość i Demokracja". W rzeczywistości pominęłam także Polską Partię Socjalistyczną, Stronnictwo Narodowe, Stronnictwo Ludowe i różne inne ugrupowania polityczne. Omówienie ich nie wchodziło bowiem w zakres mej pracy. Gdybym miała za temat polskie stronnictwa polityczne na obczyźnie, zarzut p. Terleckiego byłby usprawiedliwiony, lecz temat mój był inny. Gdzież tu moja stronniczość?

4. Jeśli chodzi o dobór osób i cytat z publicystyki, to nic nie mam sobie do wyrzucenia. Spośród publicystów NiDu uwzględniłam pp. Bregmana, Grocholskiego, Jordana, Klingę, Nowaka, Pomiana i Terleckiego, w sumie siedmiu publicystów. Dla porównania przytoczę, że spośród socjalistów uwzględniłam tę samą liczbę, bo siedmiu: pp. Ciołkosza, Gamarnikowa, Feliksa Grossa, Grudzińskiego, Liebermana, Pragiera i Zygmunta Zarembę. Faktyczny ten parytet nie był — rzecz jasna — zamierzony, wynikł natomiast z mej metody pracy. Pisząc swoją rozprawę oceniałam poszczególnych autorów nie wedle walorów wykazanych w działalności politycznej, lecz w publicystyce; nie oceniałam ich wedle przynależności organizacyjnej, kierowałam się jedynie względem, czy w tym lub innym zagadnieniu mieli coś

interesującego do powiedzenia. W świetle tych cyfr trudno byłoby powiedzieć, że skrzywdziłam NiD. Zresztą, przed przystąpieniem do pracy, zestawiłam listę imienną publicystów, których zamierzałam uwzględnić w mej rozprawie, listę tę uzgodniłam z p. Terleckim i konsekwentnie jej się trzymałam, także w odniesieniu do publicystów NiDu. Nie mogę przy tym ponosić odpowiedzialności za to, że niektórzy z nich później z NiDu wystąpili. Jedyne w gruncie rzeczy novum, które praca p. Grocholskiego pod tym względem wnosi, to cytaty z wypowiedzi p. Rowmunda Piłsudskiego, którego na liście publicystów, ustalonych przeze mnie wspólnie z P. Terleckim — w ogóle nie było i p. Terlecki o uzupełnienie mej listy tym nazwiskiem nigdy się nie upominał. Widocznie zmieniła się później geografia wewnętrzna NiDu i p. Terlecki zmienił zdanie, o czym mnie jednak nie poinformował.

P. Terlecki zarzucił mi, że w pracy swej zacytowałam swego męża, Adama Ciołkosza 21 razy. W rzeczywistości nazwisko mego męża pojawia się w mej pracy 26 razy; cóż z tego? Mąż mój jest z dawien dawna publicystą politycznym, czołowym publicystą socjalistycznym — i ktokolwiek by pisał na temat publicystyki polskiej nie mógłby go pominąć; nie widziałam powodu, bym go miała z mej pracy wyłączyć dlatego tylko, że jest moim mężem. W pracy mej nazwisko Bregmana z NiDu — jak teraz obliczyłam — pojawia się 26 razy, a więc tyle razy co i nazwisko mego męża, nazwisko Wasiutyńskiego również 26 razy, Wacława Zbyszewskiego — 29 razy, Pragiera — 37 razy, Cata-Mackiewicza — 48 razy, a Mieroszewskiego — 55 razy. Jak widać, męża mego nie tylko nie uprzywilejowałam, lecz odwrotnie — raczej pokrzywdziłam. Liczby te przytaczam jedynie dla wykazania, jak infantylny jest zarzut p. Terleckiego. Żonglując liczbami można by wykazać, że p. Terlecki został w zredagowanej przez niego „Literaturze Polskiej na Obczyźnie" wymieniony 348 razy, a Juliusz Słowacki tylko — 83 razy. Osobiście wolę z chwytów tego rodzaju zrezygnować.

5. P. Terlecki zarzucił mi, że tam gdzie w pracy mej była mowa o „przemianach" nie znalazłam miejsca na uwzględnienie „takiej przemiany jaką jest nowy ruch [tj. PRWNiD] bez względu na to co się o nim sądzi". Zarzut jest nieuzasadniony, gdyż miejsce to w mej rozprawie, w rozdziale pt. „Przemiany", znalazłam. Odpowiedziałam w nim najpierw na oskarżenia, że publicystyka emigracyjna stężała na pozycjach okresu przedwojennego i że polska myśl polityczna nie uległa żadnym głębszym przemianom. Powołałam się przy tym na artykuły o. J. M. Bocheńskiego i Stanisława Gryziewicza w „Życiu" oraz na artykuł Stanisława Klingi w nidowskiej „Trybunie" (str. 285). Czyli miejsce dla publicystyki NiDu w „Przemianach" znalazłam. Wobec tego zaś, że — jak napisałam w swej rozprawie — zarzuty skostnienia padają najczęściej pod adresem prądów ideowo-politycznych, które w ciągu dwudziestolecia niepodległości kształtowały świadomość polityczną narodu, rozpatrzyłam w dalszym ciągu bardzo szczegółowo przemiany, jakie zaszły w dwóch przeciwstawnych nurtach myślowych: nacjonalistycznym i socjalistycznym. Naturalnie, nurtu nidowego w tym przeglądzie uwzględnić nie mogłam, gdyż w okresie międzywojennym nie istniał.

6. P. Terlecki zarzucił mi, że w stronniczości swej posunęłam się aż do tego, iż powoławszy raz i drugi „Trybunę", przemilczałam wydawcę. Jednakże w rozprawie mej wskazane jest, że „Trybuna" była organem NiDu (str. 228), a podobnie, że „Myśl Polska" jest organem Stronnictwa Narodowego (str. 175), że „Zielony Sztandar" był organem Stronnictwa Ludowego (str. 172) oraz że „Robotnik we Francji" był organem PPS (str. 171). Ta sama więc praktyka zastosowana została do „Trybuny", co do innych organów stronnictw politycznych. Natomiast wszystkie dane, do-

tyczące wydawców, redakcji itp. należały tematycznie do rozprawy p. Kowalika, a nie do mojej. Sprawdzając obecnie swą rozprawę, stwierdziłam, że przez zwyczajne przeoczenie nie podałam, że „Robotnik Polski w Wielkiej Brytanii" i „Światło" były organami PPS. W tym świetle, gdybym nawet „przemilczała" wydawców „Trybuny", czyż musiałabym koniecznie kierować się stronniczością?

7. P. Terlecki, redaktor książki, w liście do „Kultury" wziął na siebie rolę krytyka mej rozprawy. Zarzucił mi: załatwianie politycznych porachunków, dawanie upustu zacietrzewieniu i nienawiści, eksces i samosąd. Gdyby p. Terlecki zaczął jak ja swój udział w życiu politycznym w młodości a nie dopiero w starszym wieku, to rozumiałby, że nie potrafiłabym żyć na starość atmosferą wiecu akademickiego. Jakże mogłam odczuwać nienawiść do grupy, którą uważam za zjawisko w polskim życiu politycznym przejściowe? Nie wiem, czy pisząc swój list kierował się p. Terlecki zasadami Starego czy Nowego Testamentu, ale wiem, że musiał być mocno zirytowany, gdyż ugodził sam w siebie. Jeśli moja praca ma rzeczywiście taki charakter, jaki jej p. Terlecki obecnie przypisuje, to powinien był ją jako redaktor z miejsca zdyskwalifikować. Tymczasem p. Terlecki przyjął ją bez żadnych zastrzeżeń, nie żądał nigdy zmian ani uzupełnień i zakwalifikował ją do druku. Któż tu jest zacietrzewiony?

W książce poświęconej literaturze — zresztą nie wiadomo po co i dlaczego — znalazła się monografia jednego jedynego stronnictwa i właśnie tego, do którego p. Terlecki należy i w którego władzach naczelnych zasiada. Któż tu tedy załatwił swe interesy partyjne?

8. P. Terlecki połączył mą sprawę z jakąś kampanią, odbywającą się przeciwko „Literaturze Polskiej na Obczyźnie". W żadnej kampanii udziału nie brałam i nie biorę, a prawdę mówiąc nic mi o takiej kampanii nie wiadomo. Ani o całości książki, ani o poszczególnych rozprawach w jej skład wchodzących, nigdy i nigdzie nie pisałam, broniłam jedynie i obroniłam siebie i swoją pracę przed niedopuszczalną i sprzeczną z dobrymi obyczajami redakcyjną metodą p. Terleckiego.

Jeśli przykrości, jakie mnie ze strony p. Terleckiego spotkały, ominą w przyszłości innych autorów w podobnej sytuacji, będzie to w wielkiej mierze zasługą p. Zbigniewa Grabowskiego, który w redagowanych przez siebie „Kontynentach", w artykule pt. „Przeciwko klikom, protekcji i kumoterstwu" sprawę moją podjął jako zasadniczą i obiektywnie udostępnił czytającej publiczności fakty, z sprawą tą związane.

Łączę wyrazy poważania

Lidia CIOŁKOSZOWA

© Copyright by Institut Littéraire, 1965.

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London. W. 4. — Telefon: CHIswick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 4e trimestre 1965

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : **Janusz Kruszynski,** 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	75 cent.	4,20 rand	8,00 rand
ARGENTYNA : **Tadeusz Dabrowski,** « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : **« Vistula » (Australia) Pty Ltd.,** Daking House, Rawson Place, Sydney	10 sh. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
AUSTRIA : **Henryk Odlanicki-Poczobut,** Wien III, Salesianergasse Nr. 2 (Internationale Leih-Bibliotek, godz. 19-21).		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : **Janina Korab Brzozowska-Csaky,** 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560.00 F. b.
BRAZYLIA : **Seweryn A. Hartman,** rua Barao de Itapetininga 221 s. 1203, Cx. Postal 30.750, Sao Paulo, tél. : 35-5584.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : **T. Szpilczynski,** Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
IZRAEL : **« Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyc,** Holon, Sokolow Nr. 40		15 £ Izr.	28 £ Izr.
KANADA : **M. Jaxa-Debicka,** Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., **K. Krakowska,** 2318 Hingston Ave. N.D. de G. Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224 ; **M. Krol,** 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man. ; **« Zwiazkowiec »,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; **W.T. Drymmer,** 31, Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél. : LE 33407. **S. L. Lemanski,** 273 1/2 Selkirk Ave., Winnipeg 4, Man.	1,50 $ Can.	8,00 $ Can	13,00 $ Can.
NIEMCY : **St. M. Mikiciuk,** 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : **Br. Lubinski,** Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : **Maria Wasung,** 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : **Norbert Zaba,** Kallskärsgatan 3/IV Stockholm.	6,00 Kor.	30.00 Kor	58,00 Kor.
U.S.A. : **J. Bienkowski,** 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; **S. Dobczynski, Alma Shipping Co,** 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; **L. Dudarew-Ossetynski,** 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; **S. Dziarczykowski,** 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 46, Cal.; **M.K. Dziewanowski,** 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172 ; **T. Konopacki,** 11849 Edgewater Dr., Cleveland, Ohio 44107 **Ch. M. Kretowicz,** 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; **V.B. Kwast,** 376, Wallingford Terrace, Union, N.J.; **Polish Amer, Book Co,** 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; **E. Posyniak,** 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; **Praca,** 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; **The Polish Book Importing Co,** Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; **R.J. Sas-Babczynski,** 600 Imogen Ave., apt. 101, Los Angeles, Cal. 90026; **Jan Wojcik,** 131, Gold Street, New Britain, Conn., **A. Wisniewski,** 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, **Jan Zych,** 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tel. TA-5-6740	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : **« Gryf »** Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W. 11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WLOCHY : **Witold Zahorski,** Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-77-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Nowości

BIBLIOTEKI "KULTURY"

TOM CXVI

CZESŁAW MIŁOSZ

GUCIO ZACZAROWANY

Nowy tom wierszy Czesława Miłosza świadczący o stałym rozwoju poety. Uderza w tym zbiorze — ułożonym w formie suity poetyckiej — skupiony spokój i rozległość wizji. Prostota i zwięzłość wyrazu idą tu w parze ze złożoną problematyką filozoficzną. Przyroda brzegów Pacyfiku nasyca te wiersze wnosząc nowe motywy do polskiej poezji. Włączone w tom adaptacje Walta Whitmana i Robinsona Jeffersa tematycznie uzupełniają całość.

Str. 56 — Cena 7 F. (10/-; $ 1,50)

◆

TOM CXVIII

JERZY PIETRKIEWICZ

POEMATY LONDYŃSKIE I WIERSZE PRZEDWOJENNE

Utwory z okresu 1935 — 1953

W młodym pokoleniu przedwojennym poezja autora „Prowincji" osiągnęła wielką popularność; na emigracji **Pietrkiewicz** prowadził dalej pracę odkrywczą w budowie poematu aż do „Sielanki stołecznej" w 1952 r. Od 1953 r. pisze po angielsku i zdobył już sobie wybitną pozycję w powieści współczesnej. Ten sukces w nowym języku coraz bardziej zwraca uwagę na oryginalność jego twórczości poetyckiej. Wybór, który ogłaszamy, pozwala po raz pierwszy na ocenę polskiego dorobku Pietrkiewicza.

Str. 200 — Cena 13,50 F. (20/-; $ 3,00)

Imprimerie RICHARD
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe)

Cena 5,00 F